

Patrick Suskind

Pachnidło

Historia pewnego mordercy

CZEŚĆ PIERWSZA

1

W osiemnastym stuleciu żył we Francji człowiek, którego spośród jakże licznych w tej epoce genialnych i odrażających postaci zaliczyć wypada do najbardziej genialnych i najbardziej odrażających. Jego dzieje mają być przedmiotem niniejszej opowieści. Nazywał się Jan Baptysta Grenouille, a jeżeli nazwisko to w przeciwieństwie do nazwisk innych genialnych potworów, jak na przykład de Sade, Saint-Just, Fouche, Bonaparte itd., popadło dziś w zapomnienie, to z pewnością nie dlatego, iżby Grenouille ustępował owym głośniejszym niegodziwcom w pysze, pogardzie dla ludzi, braku moralnych zasad, jednym słowem - w bezbożności, lecz dlatego, że geniusz jego i jedyna ambicja ograniczały się do dziedziny, która w historii nie pozostawia śladów: do ulotnego królestwa zapachów.

W epoce, o której mowa, miasta wypełniał wprost niewyobrażalny dla nas, ludzi nowoczesnych, smród. Ulice śmierdziały łajnem, podwórza śmierdziały uryną, klatki schodowe śmierdziały przegniłym drewnem i

odchodami szczurów, kuchnie - skisła kapustą i baranim łojem; w nie wietrzonych izbach śmierdziało zastarzałym kurzem, w sypialniach - nieświeżymi prześcieradłami, zawilgłymi pierzynami i ostrym, słodkawym odorem nocników. Z kominów buchał smród siarki, z garbarni smród żrących ługów, z rzeźni smród zakrzepłej krwi. Ludzie śmierdzieli potem i nie praną garderobą; z ust cuchnęło im zepsutymi zębami, z żołądków odbijało im się cebulą, a ich ciała, jeżeli nie były już całkiem młodzieńcze, wydzielały woń starego sera, skwaśniałego mleka i obrzękłych, zrakowaciałych tkanek. Śmierdziało od rzeki, śmierdziało na placach, śmierdziało w kościołach, śmierdziało pod mostami i w pałacach. Chłop śmierdział tak samo jak kapłan, czeladnik tak samo jak majstrowa, śmierdziała cała szlachta, ba - nawet król śmierdział, śmierdział jak drapieżne zwierzę, a królowa śmierdziała jak stara koza, latem i zimą. Albowiem w osiemnastym wieku nie położono jeszcze kresu rozkładowej robocie bakterii, toteż nie było takiej ludzkiej działalności, czy to konstruktywnej, czy to niszczycielskiej, nie było takiego przejawu kiełkującego albo ginącego życia, któremu by nie towarzyszył smród.

I, rzecz jasna, najbardziej śmierdziało w Paryżu, Paryż bowiem był największym miastem Francji. A w obrębie Paryża było znowu miejsce, gdzie panował smród zgoła infernalny, pomiędzy ulicami aux Fers i de la Ferronnerie, mianowicie na Cmentarzu Niewiniątek. Przez osiemset lat chowano tu zmarłych ze szpitala

Hôtel-Dieu i okolicznych parafii, przez osiemset lat dzień w dzień tuzinami zwożono tu trupy i zrucano do podłużnych dołów, przez osiemset lat w kryptach i kostnicach składano warstwami kości. I dopiero później, w przededniu Rewolucji Francuskiej, kiedy to niektóre groby zapadły się niebezpiecznie i smród występującego z brzegów cmentarzyska skłonił mieszkańców już nie do gołych protestów, ale do prawdziwych buntów, cmentarz został nareszcie zamknięty i zlikwidowany, miliony piszczeleli i czaszek zsypano do katakumb Montmartre'u, a na tym miejscu urządzono targowisko. Tu właśnie, w najsmrodliwszym zakątku całego królestwa, 17 lipca 1738 roku urodził się Jan Baptysta Grenouille. Był to jeden z najgorętszych dni roku. Upał przygniatał cmentarz ołowianą czapą i tłoczył w sąsiednie uliczki powietrze ciężkie od odoru zgniłych melonów przemieszanego ze swądem palonego rogu. Gdy zaczęły się bóle, matka Grenouille'a stała za straganem rybnym przy ulicy aux Fers i skrobała ukleje, które uprzednio wypatroszyła. Ryby, rzekomo tegoż ranka świeżo złowione w Sekwanie, cuchnęły już tak strasznie, że ich smród głużył smród trupów. Matka Grenouille'a nie zwracała jednak uwagi ani na smród ryb, ani na smród trupów, albowiem nos jej był w najwyższym stopniu uodporniony na zapachy, a poza tym czuła bóle i bóle te zabijały wszelką wrażliwość na zewnętrzne bodźce zmysłowe. Chciała już tylko jednego - żeby bóle ustały; chciała możliwie jak najprędzej mieć to obrzydlistwo za sobą. Był to jej piąty poród.

Wszystkie poprzednie odbyła tutaj, przy straganie; za każdym razem płód był martwy albo na wpół martwy, krwawy strzępek mięsa, który wydobywał się z jej łona, nie różnił się wiele od leżących dookoła rybich wnętrzności i nie wykazywał też więcej życia, wieczorem zaś wszystko razem zgarniano łopatami i wywożono na cmentarz albo spuszczano do rzeki. Tak miało być i dzisiaj, a matka Grenouille'a, kobieta jeszcze młoda, ledwo dwudziestopięcioletnia, która całkiem ładnie jeszcze wyglądała, miała w ustach jeszcze prawie wszystkie zęby, a na głowie jeszcze nieco włosów, zaś poza podagrą, syfilisem i lekkimi suchotami nie cierpiała na żadną poważniejszą chorobę; która miała nadzieję żyć jeszcze długo, może pięć albo dziesięć lat, i może nawet kiedyś wyjść za mąż i jako czcigodna małżonka owdowiałego rzemieślnika czy coś w tym rodzaju mieć prawdziwe dzieci - matka Grenouille'a życzyła sobie gorąco, żeby już było po wszystkim. I kiedy zaczęły się bóle parte, przykucnęła za blatem do oprawiania ryb i tam, podobnie jak cztery razy przedtem, urodziła i nożem od ryb odcięła pępownię. Potem jednak, na skutek upału i smrodu, których jako takich w ogóle nie postrzegala, a tylko czuła nieznośną duchotę - jak na polu lilii albo w ciasnym pokoju, gdzie postawiono za dużo narcyzów - straciła przytomność, osunęła się na ziemię i legła pod straganem, na środku ulicy, z nożem w garści.

Krzyk, rwetes, gapie gromadzący się dookoła, ktoś sprowadza policję. Kobieta z nożem w garści ciągle

jeszcze leży na ulicy i z wolna wraca do siebie. Co to jej się stało? - A nic. A co robiła z tym nożem? - A nic. A skąd ta krew na jej spódnicy? - A z ryb.

Wstaje, ciska precz nóż i odchodzi, żeby się umyć. Wtedy, wbrew oczekiwaniom, spod stołu zaczyna drzeć się nowo narodzony. Ludzie patrzą, pod rojem much, wśród wypatroszonych bebechów i uciętych głów rybich znajdują dziecko, wyciągają je. Z urzędu przydziela mu się mamkę, matkę zaś zabiera się do aresztu. A że przyznaje się do winy i nie zaprzecza, iż chciała robaka zostawić na zatracenie, jak zresztą zrobiła to już z czterema poprzednimi, wytaczają jej proces, skazują za wielokrotne dzieciobójstwo i w kilka tygodni potem na place de Greve ucinają głowę.

W tym czasie dziecko po raz trzeci już zmieniło mamkę. Żadna nie chciała go trzymać dłużej niż parę dni. Zanadto jest żarty, powiadały, ssie za dwoje, zabiera mleko innym, a tym samym mamki pozbawia środków utrzymania, ponieważ przy jednym tylko osesku karmienie nie może się opłacać. Urzędnik właściwego resortu policji, niejaki La Fosse, natychmiast wziął sprawę w swoje ręce i chciał już dziecko odstawić do zbiorczego punktu dla znajd i sierot za miastem, na rue Saint-Antoine, skąd codziennie odchodziły transporty dzieci do wielkiego państwowego przytułku Rouen. Że jednak do transportów używano tragarzy z koszami, do jednego kosza zaś ze względów racjonalnych pakowano po cztery niemowlęta *naraz*; że z tej przyczyny procent śmiertelności w drodze był niezwykle wysoki; że z

uwagi na to tragarzom polecano przyjmować tylko niemowlęta ochrzczone oraz zaopatrzone w przepisowy list przewozowy, który należało w Rouen postemplować; że mały Grenouille nie był zaś ani ochrzczone, ani w ogóle nie miał imienia, jakie w myśl przepisów można by umieścić na liście przewozowym; że z kolei policji nie bardzo wypadało podrzucić dzieciaka *anonimite*r pod drzwiami punktu zbiorczego, co było jedynym sposobem uniknięcia pozostałych formalności - na skutek tedy szeregu komplikacji natury biurokratycznej i administracyjnej, które zdawały się powstawać przy ekspedycji noworodka, La Fosse zaniechał pierwotnej decyzji i polecił przekazać dziecko za pokwitowaniem dowolnej kościelnej instytucji, aby je tam ochrzczone i rozstrzygnięto o jego dalszym losie. Mały trafił do klasztoru Saint-Merri przy rue Saint-Martin. Otrzymał chrzest i imię Jan Baptysta. A że przeor był tego dnia w dobrym humorze, a ponadto rozporządzał jeszcze pewnymi funduszami charytatywnymi, postanowiono nie wyprawiać dziecka do Rouen, tylko oddać na garnuszek na koszt klasztoru. W tym celu umieszczono je u mamki nazwiskiem Joanna Bussie z rue Saint-Denis, która do chwili zapadnięcia dalszych decyzji miała za swoje trudy pobierać trzy franki tygodniowo.

2

W kilka tygodni później mamka Joanna Bussie z kobiałką w ręku stanęła przed furtą klasztoru Saint-

Merri, ojcu Terrier, około pięćdziesięcioletniemu, łysemu, z lekka woniejącemu octem mnichowi, który jej otworzył, rzuciła lakoniczne: „Na!” i postawiła kobiałkę na progu.

- Cóż to jest? - zapytał Terrier, pochylił się nad kobiałką i pociągnął nosem, spodziewał się bowiem czegoś do jedzenia.

- Bękart tej dzieciobójczy ni z rue aux Fers!

Ojciec Terrier pogmerał palcem w kobiałce, aż odsłonił twarzyczkę śpiącego niemowlęcia.

- Wygląda doskonale. Różowiutki i dobrze odżywiony.

- Bo się ze mnie nażarł. Bo mnie wyssał do szpiku kości. Ale teraz już dość. Możecie go sobie sami dalej karmić kozim mlekiem, papką, sokiem z rzepy. Ten bękart wszystko zeżre.

Ojciec Terrier był człowiekiem dobrodusznym. Na jego barkach spoczywało zarządzanie klasztornym funduszem charytatywnym, rozdawanie pieniędzy ubogim i potrzebującym. Oczekiwał, że w zamian rzekną mu „dziękuję” i nie będą więcej zawracali głowy. Techniczne szczegóły budziły w nim odrazę, szczegóły bowiem oznaczały zawsze trudności, a trudności oznaczały zakłócenie spokoju jego ducha, a tego już nie znosił. Zły był, że w ogóle otworzył furkę. Pragnął usilnie, by ta osoba zabrała co prędzej swoją kobiałkę, wyniosła się do domu i nie zanudzała go problemami niemowlaka. Wyprostował się powoli, zaczerpnął tchu i poczuł bijący od mamki zapach mleka i owczej wełny. Był to przyjemny zapach.

- Nie pojmuję, o co ci chodzi. Po prostu nie pojmuję, do czego zmierzasz. Wydaje mi się doprawdy, że maleństwu nic nie zaszkodzi, jeżeli dalej będziesz mu dawała piersi.

- Jemu nie - odburknęła mamka - ale mnie. Ubyło mi dziesięć funtów, a jadłam cały czas za trzy. I za co to wszystko? Za trzy franki tygodniowo!

- A, teraz pojmuję - rzekł Terrier niemal z ulgą - już wszystko jasne: chodzi znowu o pieniądze.

- Nie! - odparła mamka.

- Owszem! Zawsze chodzi o pieniądze. Ktokolwiek stuka do tej furty, chce pieniędzy. Żeby mi się tak raz zdarzyło otworzyć i zobaczyć kogoś, komu chodzi o coś innego. Kogoś, kto na przykład przyszedł podrzucić jakiś miły drobiażdżek. Na przykład owoce albo parę orzechów. Jesienią jest przecież mnóstwo rzeczy, które można by podrzucić. Choćby i kwiaty. Albo żeby tak ktoś przyszedł i powiedział od serca: „Niech będzie pochwalony, ojczyźnie Terrier, życzę ojcu miłego dnia!” Ale nie, to się chyba nigdy nie zdarzy. Jak nie żebrak, to przekupień, a jak nie przekupień, to znowu rzemieślnik, i jak nie po prośbie, to z rachunkiem do zapłacenia. W ogóle nie można już wyjść na ulicę. Ledwo wyjdę, a już mam na karku jakieś indywidua, które domagają się pieniędzy!

- Nie ja - rzekła mamka.

- Ale powiem ci tyle: nie jesteś jedyną mamką w parafii. Są tu setki pierwszorzędných mamek, gotowych bić się o to, która będzie temu rozkosznemu maleństwu za trzy

franki tygodniowo dawała piersi albo przygotowywała papkę czy soczek z rzepy czy jeszcze coś innego...

- To dajcie go któregoś z nich!

-...a z drugiej strony to niedobrze tak szastać dzieciakiem z miejsca na miejsce. Kto wie, czy inne mleko posłuży mu tak jak twoje. Rozumiesz, przyzwyczał się do zapachu twojej piersi i do rytmu twojego serca.

I raz jeszcze głęboko wciągnął ciepłą woń, jaką wydzielala mamka, a spostrzegłszy, że jego słowa nie wywarły na niej żadnego wrażenia, rzekł:

- Zabierz dziecko i wracaj do domu! Pomówię o tym z przeorem. Zaproponuję mu, żeby na przyszłość płacił ci cztery franki tygodniowo.

- Nie - rzekła mamka. - Więc dobrze: pięć! -Nie.

- To ile byś chciała? - krzyknął na nią Terrier. - Pięć franków to masa pieniędzy za takie poślednie zajęcie jak karmienie dziecka.

- Ja w ogóle nie chcę żadnych pieniędzy - powiedziała mamka. - Nie zamierzam dłużej trzymać tego bękarta. -

A to dlaczego, dobra kobieto? - rzekł Terrier i dalej gmerał palcem w kobiałce. - Toż to przecież urocze maleństwo. Różowe na buzi, nie krzyczy, śpi jak zabite i jest ochrzczone.

- Jest opętane przez diabła.

Terrier prędko wyciągnął palec z koszyka.

- Niemożliwe! Absolutnie wykluczone, żeby niemowlę miało być opętane przez diabła. Niemowlę to jeszcze nie człowiek, tylko forma przedludzka i nie ma jeszcze w

pełni wykształconej duszy. A w związku z tym jest dla diabła nieinteresujące. Czy dzieciak może mówić? Rzuca nim? Przenosi przedmioty z miejsca na miejsce? Idzie od niego brzydki zapach?

- On w ogóle nie pachnie - rzekła mamka.

- A widzisz! To niechybny znak. Gdyby był opętany przez diabła, musiałby śmierdzieć.

I, aby uspokoić mamkę oraz dać dowód własnej odwagi, Terrier uniósł kosz do góry i podsunął go sobie pod nos.

- Nie czuję nic szczególnego - rzekł, poniuchawszy chwilę - naprawdę nic szczególnego. Jakkolwiek wydaje mi się, że czuć coś tam z pieluszek.

I podetknął jej kosz, aby mogła potwierdzić to wrażenie.

- Nie o to mi idzie - rzekła szorstko mamka i odsunęła kosz. - Nie idzie o to, co jest w pieluchach. Owszem, jego ekskrementy czuć jak się należy. Ale jego samego, tego bękarta, w ogóle nie czuć!

- Bo jest zdrowy! - krzyknął Terrier. - Jest zdrowy i dlatego go nie czuć! Czuć tylko chore dzieci, to znana rzecz. Jak wiadomo, dziecko, które ma ospę, czuć końskim nawozem, a dziecko ze szkarlatyną - zwiędłymi jabłkami, a znowu dziecko suchotnicze - cebulą. Ten jest zdrowy, ot co! Uważasz, że powinien śmierdzieć? Czy twoje własne dzieci śmierdzą? - Nie - rzekła mamka. - Moje dzieci pachną tak, jak powinny pachnieć dzieci.

Terrier przezornie odstawił kobiałkę na ziemię, czuł bowiem, jak wzbiera w nim fala złości na krnąbrność tej osoby. Niewykluczone, że w dalszym przebiegu

dysputy będą mu potrzebne obie ręce do gestykulowania, a nie chciał narażać na szwank niemowlęcia. Zaczął od tego, że zaplótł ręce na plecach, wypiął sterczący brzuch w stronę mamki i spytał ostro:

- Twierdzisz więc, że wiesz, jak powinno pachnieć ludzkie dziecko, które bądź co bądź - o czym warto przypomnieć, zwłaszcza gdy jest ochrzczone - jest dzieckiem Bożym?

- Tak - rzekła mamka.

-1 twierdzisz ponadto, że jeśli dziecko nie pachnie tak, jak wedle ciebie, mamki Joanny Bussie z rue Saint-Denis, pachnieć powinno, to jest to diabelski pomiot?

Wyciągnął zza pleców lewą rękę i wysunął ku mamce groźnie zakrzywiony palec wskazujący niczym znak zapytania. Mamka zastanowiła się. Nie dogadzało jej, że rozmowa przybrała raptem charakter teologicznej indagacji, tu bowiem musiała przegrać.

- Tego nie mówię - odparła wymijająco. - Czy to ma coś wspólnego z diabłem czy nie, to już wy musicie rozstrzygnąć, ojcie Terrier, to nie moja rzecz. Ja wiem jedno: boję się tego dzieciaka, bo nie pachnie tak, jak powinny pachnieć dzieci:

- Aa! - rzekł Terrier zadowolony i opuścił rękę. Więc z diabła już się wycofujemy. Doskonale. Ale wobec tego powiedz mi z łaski swojej, jakże to pachnie dzieciak, który pachnie tak, jak wedle ciebie powinien pachnieć? Co?

- Ładnie pachnie - rzekła mamka.

- Co znaczy „ładnie”? - ryknął na nią Terrier. - Dużo rzeczy ładnie pachnie. Bukieciak lawendy ładnie pachnie. Mięso rosołowe ładnie pachnie. Ogrody Arabii ładnie pachną. Więc jak pachnie niemowlę, słucham!

Mamka zawahała się. Wiedziała, jak pachną niemowlęta, wiedziała to doskonale, wykarmiła tuziny niemowląt, niańczyła je, kołysała, całowała... mogła węchem trafić do nich po nocy, nawet teraz miała w nozdrzach wyraźny zapach niemowlęcia. Ale nigdy dotąd nie próbowała tego wyrazić w słowach.

- No? - huknął Terrier i niecierpliwie pstryknął palcami.

- No więc - zaczęła mamka - to niełatwo powiedzieć, bo... bo one nie wszędzie pachną jednakowo, chociaż wszędzie pachną ładnie, rozumiecie, ojcze, a więc na przykład w nóżkach pachną tak jak taki gładki, nagrany kamień..., nie, raczej jak garnek..., albo jak masło, tak, właśnie jak świeżutkie masło. A na ciele pachną jak... jak kawałek ciasta zanurzony w mleku. A znowu główka, na czubku, gdzie robi się wicherek, tu, ojcze Terrier, gdzie wy już nie macie ani kosmyka... - i dotknęła łysiny zakonnika, który wobec tej powodzi idiotycznych szczegółów na moment oniemiał i jak niepyszny opuścił głowę - tu, właśnie w tym miejscu, pachną najładniej. W tym miejscu pachną karmelem, taki słodki zapach, nie macie pojęcia, ojcze! Kiedy się je w tym miejscu powącha, to człowiek zaraz zaczyna je kochać, wszystko jedno, czy to swoje, czy cudze. Właśnie tak i nie inaczej mają pachnieć małe dzieci. A jeśli tak nie pachną, jeśli w tym miejscu, na czubku

głowy, w ogóle nie pachną, nawet tyle co zimne powietrze, tak jak ten tu bękart, to... możecie to sobie tłumaczyć, jak chcecie, ojczy, ale ja - i stanowczym gestem skrzyżowała ramiona pod biustem oraz rzuciła na stojącą u jej stóp kobiałkę spojrzenie tak pełne odrazy, jak gdyby w kobiałce roilo się od ropuch - ja, Joanna Bussie, więcej tego nie tknę!

Ojciec Terrier z wolna podniósł głowę i kilkakrotnie przejechał sobie palcem po łysinie, jak gdyby chciał przygładzić włosy, potem niby przypadkiem zbliżył palec do nosa i poniuchał z namysłem.

- Jak karmel...? - spytał i spróbował wrócić do poprzedniego surowego tonu. - Karmel? Co ty w ogóle wiesz o karmelu? Jadłaś kiedy karmel?

- Nie bezpośrednio - odparła mamka. - Ale byłam raz w jednym pałacu przy Saint-Honore i widziałam, jak z roztopionego cukru i śmietanki robi się karmel. Pachniało tak ładnie, że nigdy tego nie zapomnę.

- Tak, tak. Już dobrze - rzekł Terrier i odsunął palec od nosa. - Proszę, nie mów już nic więcej! Rozmowa na tym poziomie sprawia mi zbyt wiele wysiłku. Stwierdzam, że odmawiasz, wszystko jedno z jakich powodów, dalszego karmienia powierzonego ci niemowlęcia, Jana Baptysty Grenouille'a, a tym samym zwracasz go jego tymczasowemu opiekunowi, klasztorowi Saint-Merri. Uważam, że to przykre, ale nie mam na to wpływu. Możesz odejść.

Z tymi słowy schwycił kosz, raz jeszcze wciągnął zanikającą już ciepłą, wełnisto-mleczną woń i zatrzasnął furkę. Potem ruszył do swojej kancelarii.

3

Ojciec Terrier był człowiekiem wykształconym. Nie tylko odbył studia teologiczne, ale swego czasu czytywał też filozofów, a ponadto zajmował się botaniką i alchemią. Miał dość wysokie mniemanie o możliwościach swego krytycznego umysłu. Wprawdzie nie posunął się do tego, by - jak to się zdarzało niektórym - kwestionować cuda, prorocstwa albo prawdę Pisma Świętego, jakkolwiek ściśle rzecz biorąc, spraw tych nie dawało się wyjaśnić wyłącznie rozumowo, ba - często stały w rażącej sprzeczności z rozumem. Od takich problemów ojciec Terrier wolał trzymać się z daleka, były mu nadto przykre i mogły jedynie przyprowadzić o najbardziej dokuczliwe rozterki i niepokój, a wszak właśnie użytek rozumu wymaga pewności i spokoju. Co jednak gotów był zawzięcie zwalczać, to zabobonne przesady prostego ludu: czary, wróżenie z kart, noszenie amuletów, złe spojrzenie, zamawianie, odczynianie uroków przy pełni księżyca i wszystkie inne hokus pokus. Było doprawdy rzeczą głęboko zasmucającą, że chrześcijaństwo przez ponad tysiąc lat swej niewzruszonej obecności w świecie nie zdołało wytępić owych pogańskich zwyczajów! Również większość przypadków tak zwanych opętań przez diabła oraz konszachtów z szatanem okazywała się przy

bliższym wglądzie w rzecz czystym zabobonem. Terrier wprawdzie nie posunąłby się nigdy do tego, by przeczyć istnieniu szatana i powątpiewać o jego mocy; do rozstrzygania takich kwestii, dotyczących podstaw teologii, powołane były inne instancje niż zwykły skromny mnich. Z drugiej strony, jeśli osoba tak prostoduszna jak owa mamka twierdzi, że wykryła diabelski pomiot, to już na pewno diabeł nie ma z całą sprawą nic wspólnego. Właśnie fakt, iż obstawała przy swoim odkryciu, dowodził niezbitie, że nie było w tym nic diabolicznego, bo znowu diabeł nie był aż taki głupi, by mogła go zdemaskować mamka Joanna Bussie. I to w dodatku nosem! Tym prymitywnym organem powonienia, najpośledniejszym ze zmysłów! Jak gdyby piekło wydzielało woń siarki, a raj - woń kadzidła i mirry! Oto przykład najgorszego zabobonu, tracący otchłanią mrocznych pogańskich czasów, kiedy to ludzie żyli jeszcze jak zwierzęta, nie mieli wyostrzonego wzroku, nie znali kolorów, za to wyobrażali sobie, że umieją wyczuć zapach krwi, węchem odróżnić przyjaciela od wroga, że mogą ich zwietrzyć ludożercze olbrzymy i wilkołaki albo zwęszyć erynie, oraz składali swym obrzydliwym bogom cuchnące, dymiące ofiary całopalne. Ohyda! „Głupiec widzi nosem” więcej niż oczami, i zapewne światło danego przez Boga rozumu musi świecić jeszcze przez następne tysiąc lat, nim wyginą ostatnie ślady prymitywnych wierzeń.

- Ach, i to biedne dzieciątko! Niewinne stworzenie! Leży w swoim koszyczku i śpi, nie domyśla się nawet, że

ściągnęło na siebie tak okropne podejrzenia. Ta bezwstydna kreatura śmie twierdzić, że nie pachniesz tak, jak powinny pachnieć ludzkie dzieci. No, i co na to powiemy? Ziuziziuzi!

Ostrożnie kołysał koszem na kolanach, głaskał niemowlę palcem po główce i od czasu do czasu powtarzał „ziuziziuzi”, w przeświadczeniu, iż jest to zwrot czuły i działa na dzieci kojąco.

- Powinieneś pachnieć karmelem, co za bzdura, ziuziziuzi!

Po chwili cofnął rękę, przytknął sobie palec do nosa i poniuchał, ale wyczuł jedynie zapach kwaszonej kapusty, którą jadł na obiad.

Przez chwilę wahał się, rozejrzał się, czy aby nikt go nie podgląda, podniósł kosz i wetknął do środka swój gruby nochal. Wodził nim tuż przy główce niemowlęcia, tak że cienkie rudawe włoski łaskotały mu nozdrza, i węszył w nadziei, że poczuje jakiś zapach. Nie był pewien, jak powinna pachnieć główka niemowlęcia. Oczywiście nie karmelem, to jasne, bo karmel to przecież stopiony cukier, a jakże by niemowlak, do tej pory karmiony jedynie mlekiem, miał pachnieć stopionym cukrem? Mógł pachnieć mlekiem, mlekiem mamki. Ale nie pachniał mlekiem.

Mógł pachnieć włosami, skórą i może trochę dziecięcym potem. Terrier wąchał przeto, oczekując, że zapachnie mu skórą, włosami i trochę dziecięcym potem. Ale nie zapachniało mu niczym. Zupełnie niczym, mimo wszelkich usiłowań. Prawdopodobnie niemowlęta nie

pachną, pomyślał, tak to musi być. Niemowlę, jeżeli jest utrzymane w czystości, nie pachnie, bo też i nie mówi, nie chodzi i nie pisze. Te rzeczy przychodzą dopiero z wiekiem. Na dobrą sprawę człowiek poczyna wydzielać zapach dopiero w okresie pokwitania. Tak jest i nie inaczej. Czy już Horacy nie pisze: „Koziołkiem czuć wtedy chłopca, dziewczyna jak narcyz pachnie, kiedy rozkwita” - a wszak Rzymianie mieli o tym niejakie pojęcie! Człowiek wydziela zawsze woń ciała -grzeszną woń. Jakże więc niemowlak, który nawet we śnie nie zaznał cielesnego grzechu, miałby pachnieć? Jak powinien pachnieć? Ziuziziuzi? Wcale nie powinien pachnieć!

Znowu postawił sobie kobiałkę na kolanach i kołysał nią delikatnie. Dziecko spało mocno. Prawa piąstka wystawała spod kołderki, mała i czerwona, a od czasu do czasu drgała wzruszająco i dotykała policzka. Terrier uśmiechnął się i nagle ogarnął go nastrój błogości. Przez chwilę pozwolił sobie na fantastyczną myśl, że on sam jest ojcem tego dziecka. Nie wstąpił do zakonu, tylko został zwyczajnym mieszczaninem, porządnym rzemieślnikiem, powiedzmy, ożenił się i spłodził ze swoją żoną synka i oto kołysał go na kolanach, swoje własne dzieciątko, ziuziziuzi, widok stary jak świat, a przecież wciąż nowy i prawdziwy, dopóki świat będzie istniał, o tak! Terrier poczuł ciepło wokół serca i tkliwość w duszy.

Wtem dziecko zbudziło się. Najpierw zbudził się nos. Malutki nosek poruszył się, wysunął w górę i węszył.

Wciągnął powietrze i wydychał je krótkimi sapnięciami, jak przy nieudanym kichnięciu. Potem nosek zmarszczył się i dziecko otwarło oczy. Oczy te miały nieokreśloną barwę, coś między szarym kolorem ostrygi a kremową bielą opalu, powleczone były jak gdyby śluzową mgiełką i najwyraźniej nie bardzo nadawały się jeszcze do patrzenia. Terrier miał wrażenie, że wcale go nie widzą. Co innego nos. Podczas gdy mętne oczka dziecka zezowały w nieokreślony punkt, nos zdawał się kierować ku jakiemuś celowi i Terrier miał zdumiewające uczucie, że celem tym jest on, jego własna osoba. Drobne chrapki i dwie małe dziurki w środku twarzyczki dziecka rozdymały się jak rozkwitający pąk. Albo raczej jak ssawki owych mięsożernych roślin, które hodowano w królewskim ogrodzie botanicznym. I podobnie jak owe rośliny, nozdrza maleństwa zdawały się wsysać to, co znajdowało się wokół. Terrier odnosił wrażenie, że dzieciak widzi go nozdrzami, że patrzy nań ostro i badawczo, wnikliwiej niż można to czynić oczyma, jak gdyby chłonał coś, co on, Terrier, z siebie wydziela i czego nie może powstrzymać ani ukryć... Bezwonne dziecko obwąchiwało go bezwstydnie, ot co! Zwęszyło go! I naraz wydało się Terrierowi, że śmierdzi, śmierdzi potem i octem, kwaszoną kapustą i nieświeżą garderobą. Wydał się sam sobie nagi i odrażający, jak gdyby wydany na łup spojrzeń kogoś, kto sam pozostaje w ukryciu. Cudzy węch przenikał go na wskroś, przez skórę, aż do głębi jego istoty. Najsztelniejsze uczucia,

najbrudniejsze myśli zostały oto obnażone przez chciwy mały nosek, który nie był jeszcze w ogóle prawdziwym nosem, tylko ledwo wykształconym zawiązkiem, marszczącym się bezustannie organem wyposażonym w dwa otwory, nadymającym się i drgającym. Zakonnika zdjęła zgroza. Czuł obrzydzenie. Skrzywił swój własny nos, jak gdyby czując jakiś wstrętny zapach, z którym nie chciał mieć nic wspólnego. Rozwiała się słodka myśl, iż ma tu do czynienia z kością swojej kości i krwią swojej krwi. W gruzach legła ckliwa sielanka ojca, syna i rozkosznie pachnącej mamusi. W strzępy porwał się błogi woal rojeń, w który spowił to dziecko i siebie samego: na jego kolanach leżała oto obca, zimna istota, złowrogie stworzenie, i gdyby Terrier nie był z usposobienia człowiekiem tak statecznym, gdyby nie kierował się zawsze bojaźnią Bożą i racjonalnym wglądem w rzeczy, w przyływie obrzydzenia strząsnąłby ją z siebie jak pajaka.

Podniósł się i postawił koszyk na stole. Chciał się tego pozbyć, tak szybko jak się da, możliwie jak najprędzej, najlepiej zaraz.

A wtedy stworzenie w koszyku zaczęło się drzeć. Zacisnęło oczy, rozwarło czerwoną paszczę i skrzeczało tak przeraźliwie, że Terrierowi krew zastygła w żyłach. Wyciągniętą ręką potrząsnął koszem i krzyknął „ziuzi!”, aby uciszyć dziecko, dziecko jednak wrzeszczało dalej, całkiem posiniało na twarzy i wyglądało tak, jakby miało pęknąć od krzyku.

Precz! - pomyślał Terrier - natychmiast precz z tym... „czortem” chciał już rzec, ale zebrał się w sobie i ugryzł w język - precz z tym potworem, z tym nieznośnym dzieciakiem! Tylko co z nim zrobić? Znał w dzielnicy z tuzin mamek i sierocińców, ale to by było za blisko, miałby dzieciaka zanadto na karku, trzeba go wyprawić gdzieś dalej, tak żeby go nie było słychać, tak żeby nie dało się go znowu w każdej chwili podrzucić pod furta klasztoru, w miarę możliwości do innej parafii, jeszcze lepiej na drugi brzeg, a już najlepiej *extra muros*, na Przedmieście Saint-Antoine, tak, tak będzie najlepiej, odstawi wrzeszczącego bachora daleko stąd, aż za Bastylę, gdzie na noc zamykano bramy.

Podkasał sutannę, schwycił rozwrzeszczany koszyk i pobiegł przez gmatwaninę zaułków na rue du Faubourg Saint Antoine, na wschód w górę Sekwany, za miasto, hen aż do rue de Charonne, i tą ulicą prawie do końca, gdzie niedaleko klasztoru pod wezwaniem Madeleine de Trenelle znał adres niejakiej *madame* Gaillard, która przyjmowała na garnuszek dzieci w każdym wieku i wszelkiego rodzaju, byle tylko ktoś za to płacił, i tam oddał ciągle jeszcze wrzeszczący tłumok, zapłacił z góry za cały rok i umknął z powrotem do miasta. Przybywszy do klasztoru zrzucił z siebie ubranie, jakby było zbrukane nieczystością, umył się od stóp do głów i w swojej izdebce wśliznął się do łóżka, gdzie przeżegnał się wiele razy, długo odmawiał modlitwy, a wreszcie z ulgą zasnął nieprzespanym snem.

Madame Gaillard, jakkolwiek nie dobiegała jeszcze trzydziestki, życie miała już za sobą. Na zewnątrz wyglądała na swoje lata, a zarazem tak, jakby miała ich dwa, trzy, sto razy więcej, mianowicie jak mumia młodej dziewczyny; wewnątrz natomiast była od dawna martwa. W dzieciństwie ojciec zdzielił ją pogrzebaczem w czoło, tuż ponad nasadą nosa, i od tej pory utraciła zmysł powonienia, jak również zdolność odczuwania ludzkiego ciepła i chłodu oraz wszelkich w ogóle namiętności. Tkliwość była jej odtąd równie obca jak odraza, nie znała ani radości, ani rozpacz. Nie czuła nic, gdy potem spała z mężczyzną, i nie czuła nic, gdy rodziła dzieci. Nie płakała po tych, które zmarły, i nie cieszyła się tymi, które jej pozostały, kiedy mąż ją bijał, nie zasłaniała się, i nie doznała żadnej ulgi, gdy mąż zmarł w H^otel-Dieu na cholerę. Jedyne dwa uczucia, jakich doświadczała, to leciutkie zamroczenie umysłu, gdy zbliżała się comiesięczna migrena, i leciutkie rozjaśnienie umysłu, gdy migrena ustępowała. Poza tym ta obumarła kobieta nie czuła nic.

Z drugiej strony - albo raczej właśnie z powodu tego kompletnego braku uczuć - *madame Gaillard* miała bezlitosny zmysł porządku i sprawiedliwości. Nie wyróżniała żadnego z powierzonych jej dzieci i żadnego nie krzywdziła. Wydawała trzy posiłki dziennie i ani kęsa więcej. Przewijała maluchy trzy razy dziennie i tylko do chwili ukończenia dwóch lat. Które później jeszcze robiło w majtki, dostawało wymierzonego bez

gniewu klapsa i o jeden posiłek mniej. Równą połowę pieniędzy przeznaczala na wychowanków, równą połowę za-trzymywała dla siebie. W czasach, gdy wszystko było tanie, nie próbowała podwyższać swoich dochodów; ale i w czasach drożyzny nie dokładała ani solda, nawet gdy szło o życie. W przeciwnym razie cały interes przestałby się opłacać. Potrzebowała pieniędzy. Wyliczyła wszystko bardzo dokładnie. Na starość chciała sobie kupić rentę, a ponadto mieć jeszcze tyle, by móc umrzeć u siebie w domu, a nie szeznać w Hótel-Dieu jak jej mąż. Jego śmierć przyjęła obojętnie. Ale zgrozą napawało ją to publiczne, wspólne umieranie razem z setkami obcych ludzi. Chciała sobie zafundować prywatną śmierć, i w tym celu musiała zatrzymywać dla siebie całą marżę od utrzymania wychowanków. Zdarzały się wprawdzie zimy, kiedy z dwóch tuzinów małych pensjonariuszy umierało jej troje czy czworo. Ale stała pod tym względem i tak znacznie lepiej niż większość innych prywatnych matek zastępczych i biła o parę długości wielkie przytułki państwowe albo kościelne, gdzie straty wynosiły nierzadko dziewięć dziesiątych stanu wyjściowego. Nigdy też nie brakowało uzupełnień. Paryż produkował rokrocznie ponad dziesięć tysięcy znajd, podrzutków, bękartów i sierot. Można było łatwo przeboleć uszczerbek.

Dla małego Grenouille'a zakład *madame* Gaillard był istnym błogosławieństwem. Zapewne nigdzie indziej nie zdołałby przeżyć. Tu jednak, u tej okaleczonej na

duszy kobiety, chował się doskonale. Odznaczał się mocną konstytucją. Kto tak jak on przeżył urodziny na kupie odpadków, nie dawał się już tak łatwo wysiudać z życia. Całymi dniami mógł się żywić wodnistą zupą, zadowalał się najchudszy mlekiem, trawił bez szkody najbardziej zgniłe jarzyny i zepsute mięso. W dzieciństwie przebył kolejno odrę, czerwonkę, wietrzną ospę, cholere, upadek z wysokości sześciu metrów do studni i oparzenie piersi wrzącą wodą. Pozostały mu wprawdzie blizny, dzioby i strupy oraz lekko szpotawa noga, wskutek czego utykał, ale żył. Był niezniszczalny jak odporna bakteria i niewymagający jak kleszcz, który przycupnął na drzewie i obywa się zdobytą przed laty kropelką krwi. Ciało jego potrzebowało minimalnej ilości jedzenia i ubrania. Jego dusza nie miała żadnych potrzeb. Bezpieczeństwo, troska, czułość, miłość - czy jak tam jeszcze nazywa się to wszystko, czego rzekomo potrzeba dziecku - w przypadku małego Grenouille'a były całkiem zbyteczne, a raczej - tak nam się przynajmniej zdaje - stały się dlań zbyteczne i on sam to sprawił, aby w ogóle móc żyć, od początku. Krzyk, jaki wydał po przyjściu na świat, leżąc pod blatem do oprawiania ryb, krzyk, którym skierował na siebie uwagę, a swoją matkę na szafot, nie był bynajmniej instynktownym wołaniem o współczucie i miłość. Był to dobrze wyważony, chciałoby się niemal rzec dojrzały krzyk, którym noworodek opowiadał się p r z e c i w k o miłości, a mimo to z a życiem. W danej sytuacji tak czy inaczej to drugie możliwe było tylko z wyłączeniem tego

pierwszego, i gdyby dziecko domagało się jednego i drugiego, wkrótce przyszyłoby mu zginąć marnie. Miało wprawdzie jeszcze inną możliwość, mogło być milczeć i obrać najkrótszą drogę od urodzin do śmierci, nie zapuszczając się na manowce życia, a w ten sposób oszczędziłoby światu i sobie mnóstwa nieszczęść. Aby jednak tak skromnie usunąć się na stronę, trzeba mieć w sobie choćby minimum wrodzonej życzliwości, tego zaś Grenouille był pozbawiony. Od początku był potworem. Zdecydował się na życie z czystej przekory i z czystej złości.

Oczywiście nie podjął tej decyzji jak człowiek dorosły, który wybiera jedną z dwóch możliwości odwołując się do własnego mniejszego lub większego doświadczenia. Ale zdecydował się wegetatywnie, tak jak rzucone ziarno fasoli decyduje, czy ma zakiełkować, czy też raczej dać sobie z tym spokój.

Albo też jak ów kleszcz na drzewie, który nie może spodziewać się od życia nic prócz wiecznego zimowania. Mały obrzydliwy kleszcz, którego ołowianoszare ciało zwija się w kulkę, aby wystawić się na świat zewnętrzny możliwie najmniejszą powierzchnią; który opancerza się skórą gładką i szczelną, aby nie stracić nic ze swej substancji, aby nie udzielić otoczeniu ani odrobiny z siebie. Kleszcz, który kurczy się i przybiera niepozorną postać, aby nikt go nie zauważył i nie rozduśił. Samotny kleszcz, przycupnięty na drzewie, ślepy, głuchy i niemy, który tylko wietrzy, latami, z odległości wielu mil wietrzy krew chodzących

po lesie zwierząt, daleko, o wiele za daleko, by zdołał o własnych siłach do nich dotrzeć. Kleszcz mógłby się puścić. Mógłby się spuścić na ziemię pod drzewem, mógłby sześcioma malusieńkimi nóżkami przepęłznąć parę milimetrów w tę czy tamtą stronę i zaszyć się w liściach, aby zdechnąć. Bóg świadkiem, że nikt by po nim nie płakał. Ale kleszcz, uparty, wytrzymały i obrzydliwy, trwa przycupnięty, żyje i czeka. Czekając, aż wysoce nieprawdopodobny przypadek dostarczy w pobliżu drzewa krew w postaci jakiegoś zwierzęcia. I wtedy dopiero odrzuca swą powściągliwość, spada, wczepia się, wświdrowuje i wgryza w cudze ciało...

Takim kleszczem był mały Grenouille. Żył opancerzony sam w sobie i czekał lepszych czasów. Światu nie używał nic prócz swych odchodów: nigdy uśmiechu, krzyku, błysku oka, nawet własnej woni. Każda inna kobieta odtrąciłaby to potworne dziecko. Ale nie *madame* Gaillard. *Madame* Gaillard nie czuła, że tego dziecka niczym nie czuć, i nie oczekiwała też od niego żadnych przejawów duszy, ponieważ jej własna dusza była na głucho zamknięta.

Inne dzieci natomiast połapały się od razu. Od pierwszego już dnia nowy wydał im się trochę niesamowity. Omijały skrzynkę, w której leżał, i przytulały się ciasniej do siebie na pryczach, jak gdyby w pokoju pochłodniało. Młodsze krzyczały czasem w nocy; miały wrażenie, że po izbie idzie lodowaty powiew. Innym śniło się, że coś wysysa z nich oddech. Pewnego razu starsze zmówiły się, żeby go udusić.

Przykryły mu twarz szmatami, kocami i słomą, a na wierzchu położyły dla ciężaru cegły. Kiedy następnego dnia *madame* Gaillard go odkopła, był przyduszony, zmiętoszony, siny, ale żywy. Dzieci próbowały jeszcze parę razy - na próżno. Na to, żeby go wprost udusić, za gardło, własnymi rękami, albo zatkać mu nos czy usta, co było pewniejszą metodą, nie starczało im odwagi. Wolały go nie dotykać. Brzydziły się go jak tłustego pająka, którego człowiek wzdraga się rozduścić ręką.

Gdy podrósł, zrezygnowały z morderczych zamachów. Pojęły widać, że jest niezniszczalny. Ale schodziły mu z drogi, uciekały przed nim, wystrzegały się wszelkiego kontaktu fizycznego. Nie czuły doń nienawiści. Nie były też o niego zazdrosne, nie rywalizowały z nim. Do takich uczuć w domu *madame* Gaillard nie było najmniejszego powodu. Po prostu przeszkadzało im, że istnieje. Nie pachniał im. Czuły przed nim strach.

Zarazem, obiektywnie rzecz biorąc, mały Grenouille nie miał w sobie nic, co mogłoby wzbudzać strach. Kiedy podrósł, był niezbyt duży, niezbyt silny, wprawdzie brzydki, ale nie aż tak brzydki, by się bać jego widoku. Nie był agresywny, nie był podstępny ani chytry, nie zachowywał się prowokująco. Najchętniej trzymał się na uboczu. Nie porażał też otoczenia inteligencją. Dopiero w wieku trzech lat zaczął stawać, pierwsze słowo wymówił mając lat cztery, było to słowo „ryby”, które pod wpływem jakiegoś impulsu wybuchło w nim jak echo, gdy daleko na ulicy pojawił się sprzedawca ryb i zachwalał swój towar. Następne słowa, jakie z siebie

wydobył, to „pelargonia”, „chlew”, „kapusta” i „Kuba wstręciuch” - tak zwał się pomocnik ogrodnika w pobliskiej fundacji Panien od Krzyża, który u *madame Gaillard* wykonywał niekiedy grubsze i najgrubsze roboty, a odznaczał się tym, że nigdy w życiu jeszcze się nie umył. Z czasownikami, przymiotnikami i spójnikami szło mu gorzej. Oprócz „tak” i „nie” - które zresztą bardzo późno wymówił po raz pierwszy - wydobywał z siebie tylko rzeczowniki, a właściwie tylko nazwy konkretnych rzeczy, roślin, zwierząt i ludzi, i to tylko wtedy, gdy w owych rzeczach, roślinach, zwierzętach i ludziach przypadkiem coś uderzyło go węchowem. Pewnego razu, siedząc w promieniach marcowego słońca na stosie bukowych polan, które pękały z trzaskiem pod wpływem ciepła, po raz pierwszy wypowiedział słowo „drewno”. Setki razy przedtem widział drewno, setki razy słyszał to słowo. Rozumiał je też, bo wszak zimą często posyłano go po drewno. Ale ów przedmiot drewno - nie zainteresował go dotąd na tyle, by miał zadać sobie trud nazwania go po imieniu. Zdarzyło się to dopiero owego marcowego dnia, gdy siedział na stosie polan. Stos ułożony był niczym ława u południowej ściany szopy *madame Gaillard*, pod daszkiem. Górne warstwy pachniały słodkawo spalenizną, od spodu załatywało mchem, a ściana szopy z sosnowych desek wydzielala na słońcu ulotny zapach żywicy.

Grenouille siedział z wyciągniętymi nogami, oparty o ścianę szopy, zamknął oczy i nie poruszał się. Nic nie

widział, nic nie słyszał, nic nie doznawał. Wdychał tylko zapach, który bił od stosu drewna, wznosił się ku górze i zatrzymywał pod daszkiem, nie znajdując ujścia. Grenouille pił ten zapach, zanurzał się w nim, chłonał wszystkimi porami ciała, sam stawał się drewnem, spoczywał na stosie szczap jak drewniany pajacyk, jak Pinokio, jak martwy, aż po dłuższym czasie, może dopiero po upływie pół godziny, wydusił z siebie słowo „drewno”. Wyrzygał to słowo, jak gdyby wypełnił się drewnem po uszy, jak gdyby podchodziło mu już do gardła, jak gdyby miał brzuch, przełyk i nos pełen drewna. I dzięki temu przyszedł do siebie, to go uratowało, na chwilę przedtem, gdy napierająca obecność drewna, gdy zapach drewna groził mu już uduszeniem. Zebrał się w sobie, ześliznął ze stosu i odszedł jak *gdyby* na drewnianych nogach. Jeszcze przez kilka dni zaprzętało go to intensywne przeżycie zapachowe, a gdy pamięć o nim napływała zbyt potężną falą, mamrotał pod nosem „drewno, drewno”, tonem zaklęcia.

Tak nauczył się mówić. Największe trudności miał ze słowami, które nie oznaczały przedmiotów mających zapach, a więc z pojęciami abstrakcyjnymi. Nie był w stanie ich zapamiętać, mylił je, nawet jako dorosły używał ich niechętnie i często błędnie: prawo, sumienie, Bóg, radość, odpowiedzialność, pokora, wdzięczność itd. to, co słowa te miały wyrażać, było i pozostało dlań niejasne.

Z drugiej strony potoczny język okazał się wkrótce niewystarczający wobec ogromnego zasobu pojęć olfaktorycznych, jakie w sobie nagromadził. Wkrótce bowiem umiał rozróżniać już nie zapach drewna jako taki, ale rozmaite gatunki: klon, dębinę, sośninę, topolę, gruszę, drewno stare, młode, spróchniałe, butwiejące, omszałe, ba - nawet poszczególne polana, szczapy i drzazgi, i rozpoznawał je powonieniem lepiej niż inni ludzie oczyma. Podobnie było z innymi rzeczami. Że ów biały płyn, który *madame* Gaillard co rano serwowała swoim wychowankom, nazywano po prostu mlekiem, gdy tymczasem wedle odczucia Grenouille'a płyn ten każdego ranka pachniał i smakował zupełnie inaczej, w zależności od tego, jaką miał temperaturę, od jakiej pochodził krowy, co ta krowa przedtem jadła, ile ściągnięto śmietanki i tak dalej..., że dym, że owa mieniąca się setką przeróżnych zapachów, coraz to inna, w każdej minucie, ba - w każdej sekundzie składająca się w nową całość substancja, jaką był dym, miała tylko to jedno miano „dym”..., że ziemia, krajobraz, powietrze, które z każdym krokiem i z każdym oddechem wypełniały się inną wonią, a tym samym zmieniały swoją istotę, miały być mimo to określane tylko tymi trzema nieudolnymi słowami - wszystkie te groteskowe dysproporcje między bogactwem świata postrzeganego węchowem a ubóstwem języka kazały małemu Grenouille'owi zważać w sens języka w ogóle; i godził się go używać jedynie wtedy, gdy obcowanie z innymi ludźmi bezwzględnie tego wymagało.

W wieku lat sześciu olfaktorycznie miał już spenetrowane całe najbliższe otoczenie. W domu *madame* Gaillard nie było przedmiotu, w północnej części rue de Charonne nie było takiego miejsca, człowieka, kamienia, drzewa, krzaku czy płotu, nie było skrawka przestrzeni, którego by nie poznał węchem, nie rozpoznawał i nie zapamiętał w jego niepowtarzalnej postaci. Uzbierał dziesiątki, setki tysięcy specyficznych zapachów i w każdej chwili mógł nimi dowolnie rozporządzać, tak pewnie i swobodnie, że nie tylko przypominał je sobie, gdy znowu je czuł, ale faktycznie je czuł, gdy je sobie przypominał; ba, więcej nawet - umiał je w wyobraźni zestawiać w nowe kombinacje i w ten sposób tworzyć w sobie samym zapachy, które w świecie rzeczywistym wcale nie istniały. Posiadał niejako kolosalne słownictwo zapachowe, które opanował zupełnie sam i które po zwałało mu tworzyć dowolnie wielką liczbę nowych zdań zapachowych - i to w wieku, kiedy inne dzieci za pomocą mozolnie wbitych im do głowy słówek ledwie wyjąkują pierwsze, konwencjonalne zdania, zgoła niewystarczające do opisu świata. Najłatwiej można by tę jego zdolność przyrównać do talentu cudownego dziecka, które z melodii i harmonii wyabstrahowało alfabet poszczególnych dźwięków i teraz samo komponuje nowe melodie i harmonie - z tą różnicą, że alfabet zapachów jest nierównie zasobniej szy i bardziej zróżnicowany niż alfabet dźwięków, i z tą też różnicą, że twórcza aktywność cudownego dziecka nazwiskiem

Grenouille odbywała się tylko w jego wnętrzu i znana była tylko jemu samemu.

Na zewnątrz stawał się coraz bardziej zamknięty. Najchętniej włóczył się sam po północnej części Przedmieścia Saint-Antoine, po warzywnikach, winnicach, łąkach. Czasem nie wracał na noc do domu, znikał na całe dni. Należyta karę wymierzana kijem przyjmował bez oznak bólu. Areszt domowy, pozbawienie jadła, przydzielane za karę prace nie były w stanie zmienić jego zachowania. Półtoraroczne uczęszczanie do szkoły parafialnej przy Notre Dame de Bon Secours nie przyniosło widomych rezultatów. Nauczył się trochę sylabizować i pisać własne nazwisko, poza tym nic. Nauczyciel uważał go za upośledzonego umysłowo.

Madame Gaillard spostrzegła natomiast, że ma on pewne dość niezwykle, by nie rzec - nadnaturalne zdolności i właściwości. Tak więc na przykład normalny u dzieci lęk przed ciemnością zdawał się go zupełnie nie imać. W każdej chwili można go było posłać z jakimś poleceniem do piwnicy, gdzie inne dzieci ledwo odważały się zapuszczać z lampą, albo w ciemną noc na dwór do szopy po chrust. I nigdy nie brał ze sobą światła, a mimo to doskonale odnajdywał drogę i przynosił żadaną rzecz nie pomyliwszy się, nie potknąwszy i niczego nie przewróciwszy. Jeszcze osobliwsze wydawało się, że mały Grenouille - tak przynajmniej utrzymywała *madame* Gaillard - przenika wzrokiem papier, tkaninę, drzewo, a nawet murowane ściany. Wiedział, ilu i

którzy wychowankowie znajdują się w danej chwili w sypialni, choć nie przekroczył jej progu. Wiedział, że w kalafiorze siedzi glista, zanim go jeszcze rozkrajano. A raz, kiedy schowała pieniądze tak dobrze, że sama nie mogła ich znaleźć (nieustannie zmieniała schowki), bez chwili wahania wskazał określone miejsce za kominem, i pieniądze faktycznie tam były. Umiał nawet odczytywać przyszłość, mianowicie zapowiadał wizytę jakiejś osoby na długo przed jej przybyciem albo niezawodnie wróżył nadejście burzy, zanim jeszcze na niebie pojawił się najmniejszy obłoczek. Że Grenouille wcale tego wszystkiego nie widział, nie widział oczyma, lecz tylko umiał zwęszyć coraz ostrzejszym i precyzyjniejszym nosem: glistę w kalafiorze, pieniądze za belką komina, ludzi przez ścianę i z odległości wielu ulic - na to *madame* Gaillard nigdy by nie wpadła, nawet *gdyby* ów cios pogrzebaczem nie naruszył swego czasu jej zmysłu powonienia. Była przekonana, że chłopak - upośledzony na umyśle czy nie - musi być jasnowidzem. A ponieważ wiedziała, że tacy ludzie ściągają nieszczęście i śmierć, budził w niej lekką zgrozę. Jeszcze większą zgrozą, zgoła nie do zniesienia, napawała ją myśl, że oto żyje pod jednym dachem z kimś, kto potrafi odgadnąć, gdzie znajdują się starannie ukryte pieniądze, i skoro odkryła tę straszliwą umiejętność Grenouille'a, dążyła do tego, by się go pozbyć, a złożyło się tak pomyślnie, że mniej więcej w tym samym czasie - Grenouille miał wtedy osiem lat - klasztor Saint-Merri bez podania powodu wstrzymał coroczne wypłaty.

Madame Gaillard nie monitowała. Dla przyzwoitości odczekała jeszcze tydzień, a gdy należność nie wpłynęła, wzięła dziecko za rękę i udała się z nim do miasta.

Na rue de la Mortellerie, niedaleko rzeki, znała garbarza nazwiskiem Grimal, który notorycznie potrzebował młodocianych sił roboczych - nie zwyczajnych terminatorów czy czeladników, ale tanich kulisów. Z rzemiosłem tym mianowicie wiązały się prace - oczyszczanie z mięsa psujących się skór zwierzęcych, mieszanie trującej brzezki garbarskiej i barwników, usuwanie żrących garbników - tak niebezpieczne dla życia, że odpowiedzialny majster w miarę możliwości nigdy nie zatrudniał przy tych czynnościach wykwalifikowanych pomocników, tylko bezrobotną hołotę, włóczęgę— albo właśnie bezpańskie dzieci, o które w razie czego nikt się nie będzie upominał. *Madame* Gaillard wiedziała, rzecz jasna, że w garbarni Grimala Grenouille wedle ludzkiej miary nie ma szans przeżycia. Ale też nie była osobą, której by ta wiedza spędzała sen z powiek. Spełniła wszak swój obowiązek. Stosunek opieki ustał. Co stanie się dalej z wychowankiem, to już nie jej sprawa. Jeżeli da sobie radę, dobrze, jeżeli umrze, drugie dobrze, chodzi tylko o to, aby wszystko odbyło się legalnie. Toteż kazała sobie potwierdzić na piśmie przekazanie dziecka, ze swej strony pokwitowała przyjęcie piętnastu franków prowizji i wyruszyła z powrotem do domu przy rue de Charonne. Nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia. Przeciwnie, uważała, że postąpiła nie tylko legalnie, ale i

sprawiedliwie, albowiem przetrzymywanie dziecka, za które nikt nie płacił, siłą rzeczy byłoby z krzywdą dla pozostałych dzieci albo zgoła z krzywdą dla niej samej, i mogłoby narazić na szwank przyszłość pozostałych dzieci albo zgoła jej własną przyszłość, to znaczy jej własną, osobną, prywatną śmierć, a była to jedyna rzecz, jakiej sobie jeszcze w życiu życzyła.

Ponieważ w tym miejscu naszej historii opuszczamy *madame* Gaillard, a później także już się z nią nie spotkamy, opiszemy pokrótce koniec jej dni. *Madame* Gaillard, aczkolwiek wewnętrznie zmarła już w dzieciństwie, na swoje nieszczęście żyła bardzo, bardzo długo. Anno 1782, jako kobieta blisko siedemdziesięcioletnia, porzuciła swoje zajęcie, zakupiła, zgodnie z planem, rentę, siedziała w domu i czekała na śmierć. Ale śmierć nie nadchodziła. Zamiast śmierci nadeszło coś, czego nikt na świecie nie mógł brać w rachubę i co się w tym kraju nigdy dotąd nie zdarzyło, mianowicie rewolucja, to znaczy gwałtowny przewrót ogółu stosunków społecznych, moralnych i transcendentalnych. Zrazu rewolucja ta w niczym nie wpłynęła na osobiste losy *madame* Gaillard. Potem jednak - *madame* Gaillard dobiegała już osiemdziesiątki - okazało się, że człowiek, który wypłacał jej rentę, zmuszony był emigrować, wywłaszczono go, a jego majątek w drodze licytacji przeszedł w ręce pewnego fabrykanta spodni. Przez czas jakiś wydawało się jeszcze, że także i ta zmiana nie wpłynie w sposób nieodwołalny na życie *madame* Gaillard, gdyż fabrykant

spodni dalej akuratnie wypłacał rentę. Ale potem nadszedł dzień, kiedy nie otrzymała pieniędzy w twardych monetach, tylko w formie małych, zadrukowanych kawałków papieru i to był początek jej materialnego końca.

Po upływie dwóch lat renta nie wystarczała już nawet na opał. *Madame* Gaillard musiała sprzedać dom, za śmiesznie małą sumę, gdyż naraz musiało posprzedawać swoje domy całe mnóstwo innych ludzi. I jako równowartość znowu otrzymała tylko owe papierki, i po dwóch latach papierki znowu warte były tyle co nic, a w roku 1797 - *madame* Gaillard miała wówczas bez mała lat dziewięćdziesiąt - utraciła cały swój mozolnie przez lata ciułany majątek i gnieździła się w małym umeblowanym pokoiku przy rue des Coquilles. I dopiero wtedy, o dziesięć-dwadzieścia lat za późno, nadeszła śmierć w postaci przewlekłej choroby nowotworowej, która schwyciła *madame* Gaillard za gardło i najpierw odebrała jej apetyt, a potem głos, tak że nie mogła ni słowem zaprotestować, gdy ją zabierano do Hôtel-Dieu.

Tam umieszczono ją w tej samej, wypełnionej setkami śmiertelnie chorych sali, gdzie zmarł był jej mąż, położono ją we wspólnym łóżku z pięcioma innymi, zupełnie obcymi kobietami, leżały stłoczone jedna tuż przy drugiej, i tam przez trzy tygodnie na widoku publicznym umierała. Potem zaszyto ją w worek, o czwartej nad ranem wraz z pięćdziesięcioma innymi zmarłymi rzucono na wóz oraz przy wątłym dźwięku

dzwonów zawieszono na nowo założony cmentarz Clamart, o milę od bram miasta, gdzie złożono ją na wieczny odpoczynek, w masowym grobie, pod grubą warstwą niegaszonego wapna.

Stało się to w roku 1799. Dzięki Bogu *madame* Gaillard nie miała pojęcia o czekającym ją losie, gdy owego dnia roku 1747 szła do domu, opuściwszy małego Grenouille'a i naszą opowieść. Niewykluczone, że w przeciwnym razie utraciłaby swoją wiarę w sprawiedliwość, a tym samym jedzmy zrozumiały dla niej sens życia.

6

Ledwo rzuciwszy okiem na Grimala - nie, ledwo zwietrzywszy otaczającą go aurę - Grenouille pojął, że człowiek ten zdolny jest przy najmniejszym nieposłuszeństwie zatłuc go na śmierć. Jego życie warte było tyle co praca, którą mógł wykonać, wyrażało się wyłącznie w pożytkach, jakie *monsieur* Grimal obiecywał sobie zeń wyciągnąć. Toteż Grenouille położył uszy po sobie, nie próbując ni razu stawiać oporu. Z dnia na dzień znowu zamknął w sobie całą energię przekory i krnąbrności i wydatkował ją tylko na to, by na modłę kleszcza przetrwać czekającą go epokę lodową: odporny, niewymagający, nie rzucający się w oczy, przykręciwszy światelko życiowej nadziei do najmniejszego, ale dobrze strzeżonego płomyczka. Stał się istnym wzorem posłuszeństwa, skromności i zapału do pracy, biegł na każde zawołanie, zadowalał się byle

ochłapem. Wieczorem dawał się potulnie zamykać w dobudowanej przy warsztacie komórce, gdzie przechowywano narzędzia i gdzie wisały surowe skóry. Spał tam na gołej ubitej ziemi. W dzień pracował, dopóki było jasno, w zimie osiem godzin, latem - czternaście, piętnaście, szesnaście godzin: obdzierał cuchnące ostrą zwierzęcą wonią skóry, moczył je, mizdrował, wapnował, wytrawiał, folował, pociągał zaprawą, łupał drewno, okorowywał brzozy i cisowe polana, włąził do wypełnionych żrącymi wyziewami dołów garbarskich, układał na przemian warstwy skór i kory, tak jak polecali mu czeladnicy, posypywał tłuczoną galasówką, przykrywał potworny stos ofiarny gałęziami cisu i ziemią. Po roku musiał znowu odkopywać dół i wydobywać z grobu zmumifikowane w garbowaną skórę zwłoki skór surowych.

Kiedy nie był zajęty zakopywaniem lub odkopywaniem skór, nosił wodę. Całymi miesiącami nosił wodę z rzeki, po dwa wiadra naraz, setki wiader dziennie, bo garbarski proceder wymaga mnóstwo wody do mycia, zmiękczenia, gotowania, farbowania. Całymi miesiącami od samego noszenia wody nie miewał na sobie suchej nitki, wieczorem jego ubranie można było wyżymać, a jego skóra była zimna, miękka i opuchła jak ircha.

Po roku tej bardziej zwierzęcej niż ludzkiej egzystencji nabawił się wąglika, choroby będącej postrachem garbarzy i zazwyczaj kończącej się śmiercią. Grimal spisał go już na straty i rozglądał się za następcą -

zresztą nie bez żalu, bo nigdy dotąd nie miał pracownika mniej wymagającego, a bardziej wydajnego niż ten Grenouille. Wbrew wszelkim oczekiwaniom jednak Grenouille przezwyciężył chorobę. Pozostały mu tylko, za uszami, na szyi i na policzkach, blizny po wielkich czarnych wrzodach, co go szpeciło i czyniło jeszcze brzydszym niż przedtem. Pozostała mu ponadto odporność na węglik bezcenna zaleta, gdyż od tej pory mógł bez ryzyka ponownego zakażenia nawet ze splekanymi i krwawiącymi rękami obdzierać najpaskudniejsze skóry. Wyróżniało go to korzystnie nie tylko na tle terminatorów i czeladników, ale także na tle jego własnych potencjalnych następców. A że w tej sytuacji nie byłoby go już tak łatwo zastąpić, wartość jego pracy, a tym samym wartość jego życia wzrosła. Nagle nie musiał już spać na gołej ziemi, tylko pozwolono mu zbudować sobie w komórce pryczę, dano słomy i własną derkę. Nie zamykano go już na noc. Dostawał lepsze jedzenie. Grimal nie traktował go już jak byle zwierzę, ale jak użyteczne zwierzę domowe. Gdy miał dwanaście lat, Grimal dał mu wolne pół dnia w niedzielę, a gdy skończył trzynaście lat, wolno mu było nawet w dniu powszednie wieczorem po pracy oddalać się na godzinę i robić co chciał. Odnosił zwycięstwo, ponieważ żył, i miał tyle wolności, ile wystarczało, aby żyć dalej. Okres zimowania się skończył. Kleszcz Grenouille drgnął. Zwiertzył poranne powietrze. Zapragnął wyruszyć na łowy. Leżał przed

nim największy w świecie rewir zapachów: miasto Paryż.

Czuł się tu jak w krainie pieczonych gołąbków. Już najbliższe dzielnice Saint-Jacques-de-la-Boucherie i Saint-Eustache stanowiły wymarzony raj. W zaułkach na tyłach rue Saint-Denis i rue Saint-Martin ludzie żyli tak gęsto stłoczeni, domy, wysokie na pięć-sześć pięter, przytykały tak ciasno do siebie, że nie widać było nieba, a powietrze stało nisko nad ziemią jak w wilgotnych parowach, nieruchome i ciężkie od zaduchu. Mieszały się tu woń ludzi i zwierząt, opary jedzenia i choroby, zapach wody, kamieni, popiołu, skór, mydła i świeżego chleba, jajek gotowanych w occie, klusek i wyszorowanego do połysku mosiądzu, szałwi, piwa i łoż, tłuszczu oraz mokrej i suchej słomy. Setki i tysiące zapachów tworzyły niewidoczną mgłę, która wypełniała kanały ulic, w górze ponad domami rozprasała się bardzo rzadko, a dołem przy ziemi nigdy. Mieszkający tu ludzie nie czuli szczególnego zapachu tej mgły; wysnuwała się z ich ciał i znowu w nie wsiąkała, była powietrzem, którym oddychali i żyli, była jak ubranie, noszone od tak dawna, że nie czuje się już jego zapachu i nie czuje się w ogóle, że sieje na sobie ma. Ale Grenouille wdychał wszystkie te wonie jak *gdyby* po raz pierwszy. I nie tylko wdychał sumę przemieszanych zapachów, ale rozkładał ją analitycznie na coraz mniejsze odrębne części i cząstki. Jego wrażliwy nos wyciągał z kłębowiska wyziewów i smrodów poszczególne nitki woni podstawowych, których dalej

już nie dawało się rozkładać. Wymotywanie i rozplątywanie tych nici sprawiało mu niezwykłą przyjemność.

Często przystawał, oparty o ścianę jakiegoś domu albo przycupnięty w ciemnym kącie, z zamkniętymi oczyma i rozdętymi nozdrzami, cicho, niczym drapieżna ryba pośród wielkiej, mrocznej, z wolna płynącej wody. A gdy wiew powietrza przynosił mu koniuszek jednej z tych delikatnych niteczek, rzucał się i nie popuszczał, węszył już tylko ten zapach, trzymał go mocno, wciągał i zatrzymywał w sobie na zawsze. Mógł to być jakiś dobrze znany zapach albo jego odmiana, ale mógł to być też całkiem nowy zapach, mało albo wcale niepodobny do tego, co zwęszył przedtem, nie mówiąc już o tym, co widział: na przykład zapach prasowanego jedwabiu, zapach naparu macierzanki, zapach przetykanego srebrem brokatu, zapach korka zatykającego butelkę przedniego wina, zapach szylkretowego grzebienia. Grenouille czatował na takie nie znane sobie jeszcze zapachy, łowił je z namiętnością i cierpliwością wędkarza i magazynował w sobie.

Kiedy nawąchał się do syta gęstej brei zaułków, szedł w miejsce bardziej przewiewne, gdzie zapachy były bardziej rozrzedzone, mieszały się z wiatrem i roztaczały swój bukiet niczym perfumy: na przykład pod Halami, gdzie wieczorem w zapachach nadal trwał dzień, niewidzialny, ale tak wyrazisty, jak gdyby nadal tłoczyła się tu ciżba przekupniów, jak gdyby nadal stały tu kosze pełne warzyw i jaj, beczki wina i octu, worki

przypraw, kartofli i mąki, skrzynki z gwoździami i śrubkami, lady rzeźnicze, stoiska uginające się od bel materiału, statków kuchennych, podszew butów i setek innych rzeczy, które tam za dnia sprzedawano - całe to ruchliwe życie było aż po najdrobniejsze szczegóły obecne w powietrzu, jakie po sobie zostawiło. Grenouille widział węchem całe targowisko, jeżeli można się tak wyrazić. I węchem postrzegał je dokładniej niż inni oczami, albowiem postrzegał je *postfactum*, a przeto w pewien wyższy sposób: uobecniała mu się esencja, duch czegoś, co przeminęło, wolny od zwykłych atrybutów obecności, oczyszczony z hałasu i odrażającej fizycznej bliskości ludzi.

Chadzał też tam, gdzie ścięto jego matkę, na place de Greve, wysuwający się ku rzece niczym wielki jezior. Tu, wyciągnięte na brzeg albo umocowane u pali, leżały łodzie i pachniały węglem, zbożem, sianem i wilgotną rosą.

Od zachodu zaś, jedynym duktem, jaki przez środek miasta żłobiła rzeka, napływało potężną falą powietrze niosące zapachy wsi, łąk pod Neuilly, lasów między Saint-Germain a Wersalem, odległych miast, takich jak Rouen albo Caen, albo wręcz zapach morza. Morze pachniało jak wydęty żagiel, na którym zatrzymują się bryzgi wody, sól i chłodne promienie słońca. Morze pachniało zwyczajnie, ale był to zarazem zapach niezwykle i niepowtarzalny, toteż Grenouille wahał się przed rozłożeniem go na zapach ryb, soli, wody, trawy morskiej, świeżości i tak dalej. Wolał zostawić zapach

morza nietknięty, przechowywał w pamięci jego kompletną wersję i napawał się nim w całości. Zapach morza podobał mu się tak bardzo, że pragnął dostać go kiedyś w czystej postaci, bez domieszek, i w takiej ilości, by się nim upoić. A później, kiedy z opowieści innych ludzi dowiedział się, jak wielkie jest morze i że można po nim całymi dniami żeglować, nie oglądając lądu, nie było dlań milszego wyobrażenia nad to, że siedzi sobie na takim statku, wysoko na bocianim gnieździe, i sunie przez bezmierny zapach morza, który właściwie wcale nie jest zapachem, tylko tchnieniem, wydechem, kresem wszelkich zapachów, i że on sam z rozkoszy rozpływa się w tym tchnieniu. To jednak nie miało nigdy nastąpić, albowiem Grenouille, stojący na place de Greve przy brzegu, wciąż na nowo wdychający i wydychający strzępki morskiej *bryzy*, które nawinęły mu się pod nos, nigdy w życiu nie miał ujrzeć morza, prawdziwego morza, wielkiego oceanu leżącego na zachodzie, i nigdy nie miał się zespolić z jego zapachem.

Dzielnicę między Saint-Eustache a Hotel de Ville obwąchał wkrótce tak dokładnie, że orientował się tu doskonale nawet pośród najczarniejszej nocy. I tak rozszerzał swój rewir łowiecki, zrazu na zachód ku Przedmieściu Saint-Honore, potem przez rue Saint-Antoine aż do Bastylji, a wreszcie na drugi brzeg rzeki, do dzielnicy Sorbony i Przedmieścia Saint-Germain, gdzie mieszkali ludzie bogaci. Zza żelaznych krat bram wjazdowych zalatywało skórą powozów i pudrem z peruk paziów, a ponad wysokimi murami z ogrodów

snuła się woń janowca, róż i świeżo przyciętego ligustru. Tutaj też Grenouille po raz pierwszy zwiertzył pachnidła we właściwym sensie: zwykłą wodę lawendową albo różaną, jaką przy uroczystych okazjach pojono ogrodowe fontanny, ale także bardziej złożone i wykwiłtne zapachy tynktury piżma z dodatkiem olejku neroli, tuberozy, żonkili, jaśminu albo cynamonu, które wieczorem ciągnęły się jak ciężki woal za ekwipażami. Rejestrował te zapachy tak samo jak zwykłe wonie, z ciekawością, acz bez zbytniego nabożeństwa. Zauważył wprawdzie, że celem perfum jest działać odurzająco i ponętnie, i rozpoznawał jakość poszczególnych substancji, z jakich się składały. Ale w całości zdawały mu się raczej prostackie i ciężkie, raczej zmieszane jak popadło niż skomponowane, i wiedział, że sam umiałby sporządzić całkiem inne pachnidła, gdyby tylko rozporządzał identycznymi składnikami podstawowymi.

Wiele z tych składników znał już ze stoisk kwiatowych albo korzennych na targu; inne były dlań nowością i te odfiltrowywał z mieszanki i bezimiennie przechowywał w pamięci: ambra, cybet, paczula, drzewo sandałowe, bergamotka, wetiwer, opoponaks, benzoës, kwiat chmielu, strój bobrowy...

Nie był wybredny. Nie rozróżniał - jeszcze nie rozróżniał - tego, co powszechnie nazywano pięknym albo brzydkim zapachem. Był zachłanny. Celem jego wypraw myśliwskich było zawładnięcie wszystkim, ale ta wszystkim, co w zakresie zapachów świat miał do

zaoferowania, pod' warunkiem, by był to zapach nowy. Woń końskiego potu była dlań warta tyleż co delikatny, świeży zapach nabrzmiewających pąków różanych, ostry smród pluskiew nie mniej niż aromat szpikowanej pieczeni cielecej, dochodzący z wielkopańskich kuchni. Pożerał i wchłaniał wszystko. Również w laboratorium jego wyobraźni, gdzie nieustannie zestawiał nowe kombinacje zapachowe, nie rządziła jeszcze żadna zasada estetyczna. Produkował różne dziwaczne kompozycje i natychmiast je unicestwiał, jak dziecko, które bawi się klockami, pełne inwencji i niszczycielskiej pasji, bez widomej zasady twórczej.

Pierwszego września 1753 roku, w rocznicę koronacji, miasto Paryż urządziło na Pont Royal fajerwerki. Nie było to widowisko tak wspaniałe jak sztuczne ognie dla uczczenia zaślubin królewskich albo owe legendarne fajerwerki z okazji narodzin delfina, niemniej jednak robiło wrażenie. Na masztach statków umieszczono złociste słoneczne tarcze. Tak zwane ogniste bestie pluły z mostów płomiennym deszczem gwiazd do rzeki. Co krok wśród ogłuszającego huku wybuchały petardy, po bruku skakały strzelające żabki, w niebo zaś wzbijały się rakiety i malowały na czarnym firmamencie białe lilie. Wielotysięczny tłum, zgromadzony na moście i na nabrzeżach z obu stron rzeki, przyglądał się widowisku z entuzjastycznymi okrzykami, brawami, a nawet wiwatami - jakkolwiek król wstąpił na tron już trzydzieści osiem lat temu i gwiazda jego popularności dawno zmierzchła. Tak wielka jest moc sztucznych ogni.

Grenouille stał cichutko w cieniu Pawilonu Flory, na prawym brzegu, koło Pont Royal. Nie klaskał w ręce, nie unosił nawet wzroku, gdy wlatywały rakiety. Przyszedł tu w przekonaniu, że zdoła zwietrzyć coś nowego, niebawem jednak okazało się, że sztuczne ognie pod względem zapachu są całkiem nieatrakcyjne. To, co się tam tak rozrzutnie iskrzyło, pryskało, strzelało i wybuchało, pozostawiało po sobie w najwyższym stopniu monotonną mieszaninę woni siarki, oleju i saletry.

Już zamierzał opuścić nudną imprezę, aby wzdłuż galerii Luwru udać się do domu, *gdy* wiatr coś mu podrzucił, coś ulotnego, ledwie zauważalnego, jakiś ułamek, atom zapachu, nie, jeszcze mniej: raczej przecucie zapachu niż zapach rzeczywisty - i zarazem niechybne przecucie zapachu nigdy przedtem nie wdychanego. Cofnął się znowu pod mur, zamknął oczy i rozdał nozdrza. Zapach był tak niesłychanie subtelny i delikatny, że nie dawał się schwytać, wymykał się percepcji, tłumił go swąd petard, przytłaczały wyziewy ludzkiej ciżby, rozpraszały i zacierały tysiące innych zapachów miasta. A potem nagle zjawiał się znowu, mały tylko strzępek, ledwo przez mgnienie wyczuwalny węchowo jako wspaniała zapowiedź - i znowu znikał. Grenouille cierpiał męki. Po raz pierwszy nie tylko doznała zniewagi jego zachłanna natura, ale faktycznie cierpiało jego serce. Miał dziwne uczucie, że zapach ten jest kluczem do porządku wszystkich innych zapachów, że nie można mieć pojęcia o zapachach, jeśli nie pojmie

się tego jednego, a on, Grenouille, będzie miał spartaczone życie, jeśli mu się nie uda posiąść tej woni. Musi ją mieć, nie tylko, aby nasycić żądzę posiadania, ale aby ukoić swoje serce.

Z podniecenia zrobiło mu się prawie niedobrze. Nie zdołał nawet jeszcze ustalić, z której strony zapach dochodzi. Niekiedy interwały między jednym a drugim powiewem trwały całe minuty i za każdym razem opadał go okropny strach, że utracił zapach na zawsze. Wreszcie uczepił się rozpaczliwego przekonania, że zapach dochodzi z przeciwległego brzegu rzeki, skądś z południowego wschodu.

Oderwał się od Pawilonu Flory, dał nura w tłum i jął przedzierać się przez most. Co kilka kroków zatrzymywał się, stawał na czubkach palców, aby poniuchać ponad głowami ludzi, był tak przejęty, że zrazu nie czuł nic, potem wreszcie coś zwęszył, zwiertzył ów zapach, nawet wyraźniej niż przedtem, wiedział, że jest na dobrym tropie, znowu dał nura, dalej przebijał się pośród gapiów i ogniomistrzów, którzy raz po raz przytykali pochodnie do lontów rakiet, w gryzącym swędzie dymu zgubił swój zapach, wpadł w panikę, pchał się i napierał dalej, aż po kilku dłużących się w nieskończoność minutach znalazł się na drugim brzegu, na wysokości Hotel de Mailly, quai Malaquest, wylotu rue de Seine...

Tu przystanął, skupił się w sobie i poniuchał. Miał go. Trzymał go mocno. Zapach spływał niczym wstęgą w dół rue de Seine, ten właśnie zapach, aczkolwiek wciąż

bardzo słabutki i bardzo subtelny. Grenouille czuł, jak mu bije serce, i wiedział, że bije tak nie wskutek pośpiesznego marszu, ale z bezradnego podniecenia, jakie ten zapach w nim wywoływał. Próbował przypomnieć sobie coś, co dałoby się z nim porównać, ale zaraz odrzucił wszelkie porównania. Zapach miał w sobie świeżość, ale nie była to świeżość limet czy pomarańczy, ani świeżość mirry, ani liści cynamonu, ani mięty ogrodowej, ani brzoź, kamfory, szpilek jodłowych, ani majowego deszczu, ani mroźnego wiatru, ani źródlanej wody... i zarazem miał w sobie ciepło, ale nie tak jak bergamotka, cyprys czy piżmo, i nie jak jaśmin albo narcyz, nie jak drzewo różane i nie jak irys... Ten zapach był mieszaniną jednego i drugiego, był ulotny i zarazem ciężki, nie, nie mieszaniną, był jednością, a do tego był nikły i słaby, acz z drugiej strony trwały i mocny, niczym strzęp cieniutkiego, mieniącego się jedwabiu... ale znowu nie przypominał wcale jedwabiu, tylko słodkie jak miód mleko, w którym rozpuszcza się biszkopt, czego przy najlepszej woli nie dawało się pogodzić: mleko i jedwab! Niepojęty był to zapach, nie do opisania, nie można go było w żaden sposób zakwalifikować, na dobrą sprawę nie powinien w ogóle istnieć. A przecież istniał i był niezrównanie oczywisty. Grenouille szedł za tym zapachem i serce tłuło mu się lęklawie w piersi, czuł bowiem, że to nie on idzie za tym zapachem, ale że ów zapach schwytał go i nieodparcie ciągnie ku sobie.

Szedł w górę rue de Seine. Na ulicy nie było nikogo. Domy stały puste i ciche. Ludzie byli nad rzeką przy fajerwerkach. Tu nie przeszkadzał mu już zapach rozgorączkowanego tłumu ani gryzący swąd prochu. Ulica pachniała zwyczajnie, wodą, łajnem, szczurami i odpadkami jarzyn. Ale ponad tym wszystkim snuła się delikatna i wyraźna nić, kierująca krokami Grenouille'a. Gdy uszedł parę kroków, wysokie domy przestłoniły słabą poświatę bijącą od nocnego nieba i dalej posuwał się w ciemności. Ale wzrok nie był mu potrzebny. Zapach prowadził go niezawodnie.

Po pięćdziesięciu metrach skręcił w prawo w rue des Marais, jeszcze bodaj ciemniejszy, szeroki ledwo na długość ramienia zaułek. O dziwo, zapach wcale się nie nasilił. Stał się tylko czystszy i przez to, przez tę rosnącą czystość zyskał większą siłę przyciągania. Grenouille szedł bezwolnie. W jakimś miejscu zapach pociągnął go mocno w prawo, niby prosto na ścianę jakiegoś domostwa. Ukazał się niski pasaż, wiodący na podwórze. Grenouille krokiem lunatyka wszedł w pasaż, przebył podwórze, skręcił za róg, znalazł się na drugim, mniejszym podwórku i tu wreszcie było światło. Placyk liczył ledwie kilka kroków wzdłuż i wszerz. Z jednej strony na pewnej wysokości sterczał ukośny drewniany daszek. Na stole pod daszkiem stała umocowana świeca. Przy stoliku siedziała młodziutka dziewczyna i przebierała mirabelki. Lewą ręką wyjmowała owoce z kosza, nożykiem drylowała je z pestek i wrzucała do cebrzyka. Mogła mieć jakieś

trzyście-czternaście lat. Grenouille przystanął. Odgadł natychmiast, skąd brał się ów zapach, który zwęszył z odległości pół mili aż z drugiego brzegu: jego źródłem było nie brudne podwórko i nie mirabelki. Zapach bił od dziewczyny.

Przez chwilę był tak oszołomiony, że naprawdę pomyślał, iż nigdy w życiu nie widział nic tak ślicznego jak ta dziewczyna. A widział tylko jej sylwetkę od tyłu, obrysowaną konturem światła padającego od świecy. Chodziło mu rzecz jasna o to, że nigdy jeszcze nic tak ślicznego nie zwęszył. Ale że znał przecie ludzkie zapachy, tysiące zapachów mężczyzn, kobiet i dzieci, nie mógł pojąć, by źródłem tak cudownej woni mogła być ludzka istota. Zazwyczaj ludzie pachnieli nijako albo kiepsko. Dzieci pachniały mdło, mężczyźni uryną, ostrym potem i serem, kobiety zjełczonym tłuszczem i psującą się rybą. Ludzie pachnieli zgoła nieciekawie, odstręczająco... I oto po raz pierwszy w życiu Grenouille nie dowierzał własnemu nosowi i musiał przywołać na pomoc wzrok, aby uwierzyć, co tak pachnie. Ale to oszołomienie nie trwało długo. W istocie wystarczyła mu owa chwila, aby się upewnić optycznie i zaraz potem oddać się już bez zastrzeżeń doznaniom olfaktorycznym. Teraz czuł już, że to człowiek tak pachnie, czuł zapach potu, dobywający się z jej pach, zapach przetłuszczonych włosów, zalatujący rybą zapach płci, i wdychał te zapachy z najwyższym upodobaniem. Jej pot pachniał tak świeżo jak morska bryza, przetłuszczone włosy tak słodko jak oliwa

tłoczona z orzechów, jej płeć jak bukiet lilii wodnych, skóra jak kwiat moreli..., a połączenie wszystkich tych składników dawało w sumie pachnidło tak bogate, tak wyważone, tak urzekające, że wszystko, co Grenouille zdążył do tej pory w tej dziedzinie poznać, wszystkie konstrukcje zapachowe, jakie dla zabawy stworzył w swej wyobraźni, nagle stały się wprost niedorzeczne. Setki tysięcy zapachów zdawały się nic niewarte wobec tego jednego. Ten jeden zapach był wyższą zasadą, wedle której należało uporządkować wszystkie pozostałe. Był czystym pięknem.

Grenouille pojmował jasno, że jeżeli nie posiadzie tego zapachu, życie jego utraci wszelki sens. Musi poznać go w najmniejszych szczegółach, aż po ostatnią najdrobniejszą niteczkę; zwykłe ogólne wspomnienie tego zapachu nie mogło wystarczyć. Chciał, by apoteotyczne pachnidło odcisnęło się wieczystą pieczęcią w zamęcie jego czarnej duszy, chciał zbadać je najdokładniej i od tej pory rozmyślać już tylko o wewnętrznej strukturze tej czarodziejskiej formuły, nią tylko żyć, tylko ją wdychać. Wolno posuwał się w stronę dziewczyny, coraz bliżej, wszedł pod daszek i stanął o krok za nią. Nie usłyszała go. Miała rude włosy i nosiła szarą sukienkę bez rękawów. Ramiona jej były bardzo białe, a ręce żółte od soku drylowanych owoców. Grenouille pochylił się nad nią i wdychał teraz jej zapach bez przymieszek, w takiej postaci, w jakiej szedł od jej karku, włosów, z wycięcia sukni, i pozwalał się temu zapachowi przenikać na wskroś, jak łagodnym

podmuchom wiatru. Nigdy jeszcze nie czuł takiej błogości. Ale dziewczynie zrobiło się zimno.

Nie widziała Grenouille'a. Jednakże zdjął ją jakiś niepokój, dziwny dreszcz, jaki czujemy, gdy nagle owładnie nami dawny, zapomniany lęk. Jak gdyby zawiało ją od tyłu chłodem, jak gdyby ktoś otworzył drzwi wiodące do kolosalnej lodowatej piwnicy. Odłożyła nóż, przycisnęła ręce do piersi i odwróciła się.

Ujrzawszy go, zdrętwiała ze strachu tak doszczętnie, że miał dość czasu, aby objąć rękoma jej szyję. Nie próbowała krzyczeć, nie poruszyła się, nie zrobiła żadnego obronnego gestu. Zresztą wcale na nią nie patrzył. Nie widział jej usianej piegami twarzyczki, czerwonych ust, wielkich błyszczących zielonkawych oczu, w których migotały złociste iskry, ponieważ dusząc ją zamknął oczy i skupił się tylko na tym, aby nie strwonić ani odrobiny z jej zapachu.

Gdy była nieżywa, złożył ją na ziemi pośród pestek od mirabelek, zdarł z niej suknię i strumyczek woni zmienił się w rzekę, dziewczyna zalała go swoją wonnością. Przypadł twarzą do jej skóry i rozdawszy nozdrza przesunął nosem od brzucha do piersi, szyi, twarzy, włosów i z powrotem po brzuchu w dół, do łona, do ud, do białych nóg. Obwąchał ją od stóp do głów, zgarnął resztki zapachu z podbródka, pępka i wgłębień stawów. Gdy się już nawąchał, przez chwilę trwał jeszcze przykucnięty obok niej, aby się pozbierać, był nią bowiem wypełniony po brzegi. Nie chciał uronić ani kropli jej woni. Musiał najpierw szczelnie zamknąć

wewnętrzne grodzie. Potem podniósł się i zdmuchnął świecę.

W tym czasie w górę rue de Seine poczęli nadchodzić pierwsi powracający z festynu, śpiewając i wiwatując. Grenouille węchem odnalazł w ciemności drogę do wąskiego pasażu i stamtąd na rue des Petits Augustins, biegnącą równolegle do rue de Seine ku rzece. Wkrótce potem odnaleziono trupa dziewczyny. Wszczął się krzyk. Zapalono pochodnie. Przyszły straże. Grenouille był już od dawna na drugim brzegu.

Tej nocy jego komórka zdała mu się pałacem, a drewniana prycza - przepyszny łóżem. Nie wiedział dotąd, czym jest szczęście. Znał jedynie nader rzadkie stany tępego zadowolenia. Teraz jednak drżał ze szczęścia i z czystej błogości nie mógł zasnąć. Czuł się jak *gdyby* urodził się po raz drugi, nie, nie po raz drugi - po raz pierwszy, gdyż dotąd wiódł jedynie egzystencję animalną i miał jedynie bardzo mglistą wiedzę o samym sobie. Od dzisiaj jednak zdawało mu się, że nareszcie wie, kim jest: mianowicie geniuszem; oraz że jego życie ma sens, cel i wyższe przeznaczenie, mianowicie dokonanie przewrotu w dziedzinie zapachów; oraz że on jeden na całym świecie ma po temu wszelkie środki, mianowicie wyborny nos, fenomenalną pamięć i, co ważniejsze, wzorzec zapachu owej dziewczyny z rue des Marais, w którym czarodziejskim sposobem zawierało się wszystko, czym ma być pachnidło: subtelność, moc, trwałość, różnorodność oraz porażające, nieodparte piękno. Odnalazł busolę swego przyszłego

życia. I jak wszyscy genialni łajdacy, którym jakieś zewnętrzne wydarzenie wskazuje prostą ścieżkę pośród chaotycznych spiral wijących się w ich duszach, Grenouille nie odstąpił już od tego, w czym mniemał rozpoznawać właściwą linię swego przeznaczenia. Pojmował teraz jasno, dlaczego tak twardo i zawzięcie czepiał się życia: miał być twórcą zapachów. I to nie byle jakim. Miał zostać największym perfumiarzem wszechczasów.

Jeszcze tej samej nocy dokonał - wpierw na jawie, a potem we śnie - przeglądu kolosalnego usypiska swojej pamięci. Przetrzęsnał miliony klocków, z których składało się uniwersum woni i ułożył je w systematycznym porządku: piękne do pięknych, brzydkie do brzydkich, subtelne do subtelnych, ordynarne do ordynarnych, smrody do smrodów, ambrozje do ambrozji. W ciągu następnych tygodni porządek ten stawał się coraz bardziej „precyzyjny, katalog zapachów coraz bogatszy i bardziej szczegółowy, hierarchia coraz wyraźniej szał. I niebawem mógł już przystąpić do wznoszenia pierwszych planowych konstrukcji zapachowych: domów, murów, schodów, wież, piwnic, pokoiów, tajnych zakamarków... codziennie rozszerzającej się, co dzień piękniejszej i doskonalszej wewnętrznej twierdzy najwspanialszych kompozycji zapachowych.

Jeżeli w ogóle uświadamiał sobie, że u podstaw tych wspaniałości legło morderstwo, było mu to najzupełniej obojętne. Nie pamiętał już, jak wyglądała dziewczyna z

rue des Marais, nie pamiętał jej twarzy ani ciała. Zachował i przyswoił sobie to, co miała najlepszego: zasadę jej zapachu.

9

W owym czasie było w Paryżu tuzin z okładem perfumiarzy. Sześciu zamieszkiwało na prawym brzegu, sześciu - na lewym, a jeden osiedlił się dokładnie pośrodku, mianowicie na Pont au Change, łączącym prawy brzeg z wyspą Cite. Most ten był z obu stron tak gęsto zabudowany czteropiętrowymi domami, że przechodzień ani przez chwilę nie widział rzeki i mógł mniemać, a'46 A' A'47A.

iż znajduje się na normalnej, mocno osadzonej, a w 'dodatku jeszcze nader eleganckiej ulicy. W istocie Pont au Change uchodził za bardzo wytworny adres dla firmy. Tu znajdowały się najbardziej renomowane sklepy, tu osiedlili się złotnicy, ebeniści, najlepsi perukarze i kaletnicy, producenci najwykwintniejszej bielizny i pończoch, ramiarze, cholewnicy, hafciarze epoletów, goldgiserzy i bankierzy. Tutaj również mieściła się firma i dom mieszkalny perfumiarza i rękawicznika Giuseppe Baldiniego. Nad oknem wystawowym rozpięty był przepyszny, zielono lakierowany baldachim, obok widniało godło Baldiniego, całe w złocie, złocisty flakon, z którego wyrastał bukiet złocistych kwiatów, a przed drzwiami leżał czerwony chodnik, również ozdobiony emblematem Baldiniego, wyhaftowanym złotą nicią.

Gdy otwierało się drzwi, rozbrzmiewał perski dzwoneczek, a dwie srebrne czaple poczynąły pluć wodą fiołkową do połączanego naczynka, mającego także kształt flakonu z godła Baldiniego.

Za kantorkiem z jasnego drzewa bukowego stał zaś sam Baldini, stary i sztywny jak słupek, w srebrno przypudrowanej peruce i błękitnym, lamowanym złotem surducie. Woda Frangipaniego, którą zwykł się co rano spryskiwać, tworzyła wokół niego wprost widzialny obłoczek zawiesiny i odsuwała jego postać gdzieś w zamgloną dal. Stojąc tak nieruchomo, wyglądał jak element własnego wyposażenia.

Tylko kiedy rozlegał się dzwoneczek, a z dziobów czapli poczynąła lać się woda - jedno i drugie nie zdarzało się bynajmniej często - w Baldiniego wstępowało życie, kurczył się, gwał i jak *gdyby* porwany potężnym strumieniem powietrza wynurzał się zza kantorka tak szybko, że obłoczek wody Frangipaniego ledwo za nim nadążał, podsuwał klientowi krzesło i przystępował do prezentacji najbardziej wyszukanych perfum i kosmetyków.

Baldini miał ich tysiące. Jego asortyment obejmował wszystko, od *essences absolues*, olejków kwiatowych, tynktur, wywarów, ekstraktów, balsamów, żywic i innych artykułów drogeryjnych w formie suchej, płynnej lub woskowatej, poprzez najrozmaitsze pomady, pasty, pudry, mydła, kremy, saszetki, bandoliny, brylantyny, fiksatory, maści na kurzajki, muszki, aż po płyny do kąpieli, mleczka kosmetyczne, sole trzeźwiące, octy

toaletowe i nieprzeliczone mnóstwo właściwych perfum. Baldini wszelako nie poprzestawał na tych klasycznych środkach kosmetycznych. Jego ambicją było zgromadzić w swoim magazynie wszystko, co pachnie lub w jakiś sposób służy rozkoszom powonienia. Toteż oprócz aromatycznych pastylek, wonnych papierków i trociczek znajdowały się tu także wszelkie korzenne przyprawy, od ziaren anyżku po korę cynamonową, syropy, likiery i nalewki, wina z Cypru, Malagi i Koryntu, miody, różne gatunki kawy i herbaty, suszone i kandyzowane owoce, figi, karmelki, czekolady, kasztany, ba, nawet konserwowane kapary, ogórki i cebula oraz marynata z tuńczyka. A dalej wonny lakier do pieczęci, perfumowany papier listowy, pachnący olejkami różanym atrament sympatyczny, safianowe teczki, obsadki z drzewa sandałowego, cedrowe szkatułki i puzderka, *pots-pourris* i naczynka na suche kwiaty, mosiężne kadzielnice; kryształowe flakony i tygielki o szlifowanych korkach z bursztynu, pachnące rękawiczki, chusteczki do nosa, wypchane kwiatem muszkatołowym poduszeczki na szpilki i nasycone piżmem tapety, które mogły przez ponad sto lat napępniać pokój aromatem.

Wszystkie te artykuły nie mieściły się naturalnie w paradnym, położonym od ulicy (albo od mostu) sklepie i, w braku piwnicy, nie tylko spiżarnia domu, ale także całe pierwsze i drugie piętro oraz niemal wszystkie wychodzące na rzekę pomieszczenia parteru służyć musiały za magazyny. W rezultacie w domu Baldiniego

panował nieopisany chaos zapachów. Jakkolwiek jakość poszczególnych towarów zadowolić mogła najbardziej wybredny smak - gdyż Baldini sprowadzał wyłącznie towary przedniej jakości - to ich zestrój był nieznośny, niczym tysiącosobowa orkiestra, gdzie każdy muzyk wygrywa *fortissimo* inną melodię. Sam Baldini i jego personel byli nieczuli na ten chaos jak podstarzali dyrygenci, z reguły mający przytępiony słuch, a jego żonie, rezydującej na trzecim piętrze i zawzięcie broniącej swego terytorium przed inwazją magazynów, również żaden już zapach nie mógł przeszkadzać. Co innego klient, który po raz pierwszy przekraczał próg sklepu. Panująca tam mieszanina woni waliła go jak obuchem w głowę, w zależności od konstytucji podniecała bądź otepiała, w każdym razie do tego stopnia mąciła mu zmysły, że często nie wiedział już, po co właściwie tu przyszedł. Chłopcy na posyłki zapominali o zleceniach. Pewni siebie panowie spuszczały z tonu. Niejedna z dam zaś doznawała histeryczno - klaustrofobicznego ataku, mdlała i dopiero najostrzejsze sole trzeźwiące z olejku goździkowego, amoniaku i spirytusu kamforowego mogły jej przywrócić przytomność.

W tej sytuacji doprawdy trudno było się dziwić, że perskie dzwoneczki u drzwi Giuseppe Baldiniego rozbrzmiewały coraz rzadziej, a srebrne czaple coraz rzadziej pluły wodą fiołkową.

Chenier! - krzyknął Baldini z za kantorku, gdzie od wielu godzin stał nieruchomo jak słup i wpatrywał się w drzwi. - Niech no pan nałoży perukę!

Chenier, czeladnik Baldiniego, nieco odeń młodszy, ale też już wiekowy mężczyzna, wynurzył się spomiędzy beczulek oliwy oraz wiszących szynek bajońskich i postąpił ku elegantszej części sklepu od frontu. Z kieszeni surduta wyciągnął perukę i nałożył na głowę.

- Pan wychodzi, panie Baldini?

- Nie - rzekł Baldini - chcę się na parę godzin wycofać do pracowni i nie życzę sobie, by mi przeszkadzano.

- Ach, pojmuję! Szykuje pan nowe perfumy. BALDINI Tak jest. Żeby uperfumować safian dla hrabiego Verhamont. Żąda czegoś zupełnie nowego. Żąda czegoś w rodzaju... w rodzaju... to się chyba nazywa „Amor i Psyche” i pochodzić ma jakoby od tego... tego partacza z rue Saint-Andre-des-Arts, jak mu tam... CHENIER Pelissier.

BALDINI Tak. Pelissier. Słusznie. Ten partacz nazywa się Pelissier. „Amor i Psyche” Pelissiera. Zna pan to?

CHENIER Tak. Owszem. Wszędzie teraz tym pachnie.

„Amora i Psyche” czuć na każdym rogu. Ale, jeżeli pan mnie pyta o zdanie - nic nadzwyczajnego! W żadnym razie nie może się mierzyć z tym, co pan skomponuje, panie Baldini.

BALDINI Jasne, że nie.

CHENIER W najwyższym stopniu pospolita perfuma.

BALDINI Wulgarna?

CHENIER Na wskroś wulgarna, jak wszystkie produkty Pelissiera. Prawdopodobnie zawiera olejek lunetowy.

BALDINI Doprawdy? I co jeszcze?

CHENIER Może esencję kwiatu pomarańczy. I może tynkturę z rozmarynu. Ale tego nie jestem pewien.

BALDINI Zresztą to mi obojętne.

CHENIER Oczywiście, panie Baldini.

BALDINI Wszystko mi jedno, co ten tuman Pelissier pakuje do swoich perfum. Nie zamierzam stąd czerpać natchnienia!

CHENIER Święta racja, *monsieur*.

BALDINI Jak pan wie, nigdy nie szukam natchnienia w cudzych pomysłach. Jak pan wie, sam wymyślam swoje perfumy.

CHENIER Wiem, *monsieur*.

BALDINI Są od początku do końca moim własnym dziełem!

CHENIER Wiem.

BALDINI I zamierzam stworzyć dla hrabiego Verhamont coś, co naprawdę zrobi furorę.

CHENIER Jestem tego pewien, panie Baldini. BALDINI Pan przejmie sklep. Ja muszę mieć spokój. Niech pan się wszystkim zajmie, Chenier...

I z tymi słowy wymknął się ze sklepu, wcale już nie posagowym krokiem, tylko, jak przystało jego wiekowi, pochylony, ba - niemal jak zbity, i z wolna wspiał się po schodach na pięterko, gdzie miał swoją pracownię.

Chenier zajął miejsce za kantorkiem, przybrał dokładnie tę samą postawę jak przedtem jego mistrz i

nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w drzwi. Wiedział, co się wydarzy w ciągu najbliższych godzin: w sklepie mianowicie nic, a na górze w pracowni jak zwykle katastrofa. Baldini zdejmie swój błękitny, przesiąknięty wodą Frangipaniego surdut, siądzie przy biurku i będzie czekał na natchnienie. Otóż natchnienie nie przyjdzie. Baldini rzuci się do szafki, w której stoją setki flaszeczek i na chybił trafił sporządzi jakąś mieszankę. Mieszanka się nie uda. Baldini będzie klął, otworzy okno i wyrzuci swój produkt do rzeki. Spróbuje czegoś innego, i znów mu się nie uda, będzie wrzeszczał i szalał i w pomieszczeniu, gdzie sam zapach mógł przyprowadzić o utratę przytomności, dostanie spazmów. Około siódmej zejdzie pokornie na dół, drżący i zapłakany, i powie: „Chenier, nie mam już nosa, nie mogę spłodzić perfum, nie mogę dostarczyć hrabiemu Verhamont safianu, jestem stracony, jestem wewnętrznie martwy, chcę umrzeć, Chenier, niech mi pan pomoże umrzeć!” A Chenier zaproponuje, aby posłać do Pelissiera po flaszeczkę „Amora i Psyche”, a Baldini się zgodzi pod warunkiem, że żaden człowiek nie dowie się nigdy o tej hańbie. Chenier przysięgnie i nocą potajemnie nasącza skórę dla hrabiego Verhamont cudzymi perfumami. Tak będzie i nie inaczej, i Chenier pragnął tylko jak najprędzej mieć już cały ten cyrk za sobą. Baldini nie był już wielkim perfumiarzem. Owszem, kiedyś, w czasach młodości, trzydzieści, czterdzieści lat temu, wynalazł „Różę Południa” i „Wdzięczny Bukiet Baldiniego”, dwa naprawdę wybitne

pachnidła, na których zrobił majątek. Ale teraz był stary, zużyty, nie orientował się w aktualnej modzie ani nowych gustach, i jeśli w ogóle jeszcze udawało mu się złożyć jakąś własną kompozycję, to była to rzecz całkiem niemodna, rue nadająca się do sprzedaży, którą po roku, dziesięciokrotnie rozcieńczoną, zbywali jako dodatek do wody źródlanej. „Biedak - pomyślał Chenier i sprawdził w lustrze, czy peruka dobrze siedzi mu na głowie - szkoda staruszka, szkoda tego pięknego sklepu, bo Baldini doprowadzi go do ruiny, i szkoda mnie, bo zanim to się stanie, będę za stary, żeby przejąć interes...”

11

Giuseppe Baldini zdjął wprawdzie swój wonny surdut, a e to tylko z przyzwyczajenia. Zapach wody Frangipaniego od dawna już nie przeszkadzał mu w wachaniu, nosił się z tym zapachem od lat i w ogóle już gonie zauważał. Zamknął się w pracowni i nakazał, by go zostawiono w spokoju, ale nie usiadł za biurkiem, by dumać i czekać, aż natchnienie coś mu podszepta, wiedział bowiem daleko lepiej niż Chenier, że natchnienie nic mu nie podszepta, ponieważ w ogóle nigdy nic mu nie podszeptało. Owszem, był stary i zużyty, to prawda, i prawda też, że nie był już wielkim perfumiarzem; ale wiedział, że w ogóle nigdy nie był wielkim perfumiarzem. „Różę Południa” odziedziczył był jeszcze po swoim ojcu, a recepturę „Wdzięcznego Bukietu Baldiniego” odkupił od przejezdnego kupca korzennego z Genui. Inne jego perfumy były banalnymi

mieszankami. Był gorliwym zwolennikiem zapachów sprawdzonych, był jak kucharz, który mając rutynę i przepisy umie dobrze gotować, wszakże nigdy nie wymyślił własnej oryginalnej potrawy. Cały ten rytuał z pracownią, eksperymentowaniem, natchnieniem i tajemniczymi minami odprawiał tylko dlatego, że należało to do zawodowej roli każdego *maitre parfumeur et gantier*. Perfumiarz to niemal alchemik czyniący cuda, tego oczekiwali odeń ludzie, więc dobrze, niech im będzie! Że jego kunszt jest rzemiosłem jak każde inne rzemiosło, to wiedział tylko on sam i był z tego dumny. Wcale nie chciał być wynalazcą. Wynalazki były dlań czymś bardzo podejrzanym, ponieważ oznaczały zawsze pogwałcenie jakiejś reguły. Wcale też nie zamierzał dzisiaj wieczora wynajdywać dla hrabiego Verhamont nowego pachnidła. Ale Chenier nie będzie go tym razem przekonywał, by posłać do Pelissiera po flaszeczkę „Amora i Psyche”. Baldini miał już tę flaszeczkę. Stała na jego biurku pod oknem, mały szklany flakonik zamknięty szlifowanym korkiem. Zakupił je parę dni temu. Oczywiście nie sam! Nie mógł przecież osobiście iść do Pelissiera i kupować perfum! Nabył je przez pośrednika, a ten znowu przez pośrednika... Należało zachować ostrożność. Baldini nie chciał bowiem po prostu użyć tych perfum do sporządzenia wonnego safianu, na to zresztą ta nieduża ilość nie mogła wystarczyć. Baldini zamyślał coś gorszego: chciał skopiować perfumy.

Właściwie nie było to zabronione. Było tylko czymś bardzo niestosownym. Podrobić potajemnie perfumy konkurencji i sprzedawać pod własnym nazwiskiem było czymś ogromnie niestosownym. Ale czymś daleko bardziej niestosownym było dać się na tym przyłapać i dlatego Chenier nie mógł o tym nic wiedzieć, bo Chenier był papłą.

Jakież to przykre, gdy porządny człowiek musi zapuszczać się na takie pokrętne ścieżki! Jakież to przykre -plamić w ten sposób najcenniejszą rzecz, jaką się ma: własny honor! Ale cóż miał zrobić? Hrabia Verhamont był klientem, którego Baldini w żadnym razie nie chciał stracić. I tak miał niewielu klientów. Musiał znowu latać za klientami, jak na początku lat dwudziestych, kiedy zaczynał swoją karierę i chodził po ulicach z ladą uwieszoną na brzuchu. Bóg świadkiem, że Giuseppe Baldini, właściciel największego składu artykułów perfumeryjnych w Paryżu, w okresie największego rozkwitu interesów wiązał koniec z końcem tylko dzięki temu, że chodził ze swoim kuferkiem po domach. A bardzo tego nie lubił, bo miał już ponad sześćdziesiąt lat i nienawidził czekania w zimnych przedpokojach i prezentowania starym markizom wody kwiatowej czy octu Siedmiu złodziei albo namawiania ich na balsam przeciwko migrenie. Poza tym w owych przedpokojach panowała obrzydliwa konkurencja. Pakował się tam na gwałt ten arywista Brouet z rue Dauphine, który utrzymywał, że posiada największy asortyment pomad w całej Europie;

albo Calteau z rue Mauconseil, który dochrapał się stanowiska nadwornego dostawcy hrabiny d'Artois; albo ten kompletnie nieobliczalny Pelissier z rue Saint-Andre-des-Arts, co sezon lansujący jakieś nowe pachnidło, za którym szalał cały świat.

Jedne perfumy Pelissiera mogły zachwiać całym rynkiem. Jeżeli któregoś roku modna była woda węgierska i Baldini już zaopatrzył się odpowiednio w lawendę, bergamotkę i rozmaryn, aby zaspokoić popyt, Pelissier wyjeżdżał ze swoim „Air de Musc”, superciężkim pachnidłem piżmowym. Każdy człowiek musiał nagle pachnieć jak zwierzę, a Baldiniemu nie pozostawało nic innego jak zużyć rozmaryn na płyn do włosów, a lawendę na aromatyczne saszetki. A jeżeli za to w następnym roku zamówił odpowiednie ilości piżma, cybetu i stroju bobrowego, Pelissierowi strzelało do głowy wymyślić perfumy o nazwie „Leśne Kwiecie”, które natychmiast stawały się przebojem. Kiedy zaś Baldini w drodze mozolnych eksperymentów albo dzięki wysokim łapówkom zdołał wreszcie ustalić skład „Leśnego Kwiecia”, Pelissier już święcił triumfy z „Turecką Nocą”, „Wonnością Lizbony”, „Bukietem Dworskim” albo czort wie czym jeszcze. Nieposkromiona inwencja tego człowieka podważała same podstawy rzemiosła. Marzył się wprost powrót do dawnych, surowych praw cechowych. Marzyły się drakońskie sankcje, godzące w tych, co to wyłamują się z szeregu i grają na inflację zapachów. Należało mu odebrać patent, z trzaskiem zakazać wykonywania

zawodu..., a w ogóle taki typ powinien najpierw iść do terminu! Bo Pelissier nie był wcale z wykształcenia perfumiarzem i rękawicznikiem. Jego ojciec był zwyczajnym octownikiem, i sam Pelissier był tylko zwyczajnym octownikiem, i niczym więcej. I tylko dlatego, że jako octownik miał prawo bawić się spirytualiami, zdołał w ogóle wdrzeć się na rewiry prawdziwych perfumiarzy i szaleć tu niczym skunks. Po diabła w każdym sezonie nowe pachnidło? Czy to konieczne? Publiczność była i przedtem całkiem zadowolona poprzestając na wodzie fiołkowej i zwykłych bukietach kwiatnych, które zmieniało się odrobinę może raz na dziesięć lat. Przez tysiąclecia ludzkość zadowalała się kadzidłem i mirrą, kilkoma balsamami, olejkami i suszonymi ziołami. A nawet kiedy już nauczyła się destylować za pomocą kolb i alembików, kiedy nauczyła się w drodze odparowywania wydobywać z ziół, kwiatów i kory pachnącą zasadę w formie eterycznego olejku, dębową prasą tłoczyć ją z ziaren, pestek, łupinek owoców albo przy użyciu starannie przefiltrowanego tłuszczu wywabić ją z płatków kwiatów, liczba pachnideł była nadal skromna. W owych czasach figura taka jak Pelissier w ogóle nie mogła się pojawić, bo w owych czasach już do wyprodukowania zwykłej pomady trzeba było mieć kwalifikacje, o jakich temu octownikowi zgoła się nie śniło. Umiejętność destylacji nie wystarczała, trzeba było znać się na balsamach i aptekarstwie, trzeba było być alchemikiem i

rzemieślnikiem, kupcem, humanistą i ogrodnikiem zarazem. Trzeba było umieć odróżnić tłuszcz z jagnięcej nerki od łoju młodego wołu, a fiołki Wiktorii od fiołków parmeńskich. Trzeba było znać łacinę. Trzeba było wiedzieć, kiedy wypadają zbiory heliotropu, kiedy zakwita pelargonia oraz że kwiaty jaśminu tracą zapach po wschodzie słońca. O tych sprawach Pelissier nie miał, rzecz jasna, najbledszego pojęcia. Prawdopodobnie nigdy w ogóle nie wyściubił nosa poza Paryż, w życiu nie widział kwitnącego jaśminu. Nawet sobie nie wyobrażał, ile to się trzeba naharować, aby z setek tysięcy kwiatów jaśminu wyżyć małą grudkę *essence concrete* albo parę kropli *essence absolue*. Najpewniej znał tylko tę ostatnią, znał jaśmin tylko pod postacią skondensowanej, ciemnobrunatnej cieczy, stojącej w małej flaszeczce w szafie panczernej obok wielu innych flaszeczek, z których zawartości sporządzał swoje modne perfumy. Nie, w dawnych dobrych czasach rzemiosła ktoś taki jak ten łajdak Pelissier nie miałby prawa stąpać po ziemi. Brakowało mu wszystkiego: charakteru, wykształcenia, skromności oraz zmysłu cechowej subordynacji. Swoje sukcesy perfumeryjne zawdzięczał wyłącznie odkryciu, jakiego dokonał przed dwustu laty genialny Mauritius Frangipani - skądinąd Włoch! - a mianowicie, że substancje zapachowe dają się rozpuszczać w alkoholu. Frangipani, zmieszawszy swoje aromatyczne proszki z alkoholem i przeniósłszy w ten sposób ich zapach na lotną ciecz, uwolnił zapach od materii, wysubtylizował zapach, wydobył zapach

jako zapach, krótko mówiąc: stworzył perfumy. Co za czyn! Co za epokowe osiągnięcie! Porównywalne zaiste tylko z takimi wielkimi zdobyczami ludzkości jak wynalezienie pisma przez Asyryjczyków, geometria Euklidesowa, idee platońskie oraz przemiana jagód winorośli w wino, co zawdzięczamy Grekom. Czyn iście prometejski!

A jednak, jako że wszystkie wielkie czyny ducha rzucają nie tylko blask, ale i cienie, i oprócz dobrodziejstw gotują ludziom także utrapienia i biedę, tak i ów wspaniały wynalazek Frangipaniego miał, niestety, przykre skutki: skoro bowiem nauczono się wyciąć ducha kwiatów, ziół, drzewa, żywicy i zwierzęcych wydzielin w tynkturze i przechowywać we flaszeczkach, sztuka perfumeryjna stopniowo jęła się wymykać z rąk nielicznych uniwersalnych znawców rzemiosła i stała się dostępna szarlatanom, o ile tylko mieli jako tako wrażliwe nosy, jak na przykład ten śmierdziel Pelissier. Nie troszcząc się o to, skąd się brała cudowna zawartość flaszeczek, mógł po prostu folgować swoim olfaktorycznym kaprysom i mieszać razem to, co akurat mu się spodobało albo czego domagała się publiczność.

Ten kundel Pelissier w wieku trzydziestu pięciu lat na pewno posiadał już większy majątek niż on, Baldini, zdołał zgromadzić dzięki wytrwałej pracy trzech pokoleń. I Pelissierowy majątek wzrastał każdego dnia, a majątek Baldiniego topniał. Coś podobnego byłoby kiedyś w ogóle nie do pomyślenia! Żeby szanowany

rzemieślnik i doświadczony *commerant* musiał walczyć o nędzną egzystencję - to było możliwe gdzieś dopiero od parędziesiąt lat. Odkąd wszędzie, w każdej dziedzinie poczęła szerzyć się gorączka nowości, ten niepowstrzymany pęd do czynów, to szaleństwo eksperymentowania, ta mania wielkości i rozmachu, w handlu, w stosunkach między ludźmi i w nauce!

Albo ten obłęd szybkości! Po co te wszystkie nowe ulice, które się teraz wszędzie przebija, i te nowe mosty? Po co? Czy to ma być dobrze, że w tydzień można zajechać do Lyonu? Komu na tym zależy? Komu to służy? Albo pchać się przez Atlantycką, w miesiąc dopływać do Ameryki - jak gdyby przez tysiąclecia nie obywano się doskonale bez tego kontynentu. Czego cywilizowany człowiek ma szukać w indiańskich lasach albo u Murzynów? A zapuszczają się nawet do Laponii, na północ, w wieczne śniegi, gdzie mieszkają dzicy ludzie żywiący się surową rybą. I jeszcze jakiś kontynent chcą odkryć, co to podobno leży Bóg wie gdzie na morzach południowych. Po co to szaleństwo? Bo inni robią to samo, bo Hiszpanie, łobuzy Anglicy, bezczelni Holendrzy robią to samo i potem trzeba się z nimi jeszcze użerać, na co przecież nie ma pieniędzy. Taki okręt wojenny kosztuje 300 000 liwrów, a potem jeden strzał z armaty zatapia go w pięć minut - żegnaj, do widzenia na zawsze, a wszystko to za pieniądze podatników. Pan minister finansów zażyczył sobie ostatnio dziesiątej części od wszystkich dochodów, a to

oznacza ruinę, nawet jeśli się nie płaci, bo morale i tak jest już do niczego.

Całe nieszczęście stąd, że człowiek nie chce siedzieć spokojnie w swoim kącie, tam gdzie jego miejsce. Powiada Pascal. Ale Pascal był wielkim człowiekiem, był Frangipanem ducha, prawdziwym rzemieślnikiem, a dzisiaj nikt takich o zdanie nie pyta. Dzisiaj czyta się wywrotowe książki hugonotów albo Anglików. Albo pisze traktaty czy tam te tak zwane dzieła naukowe i wszystko, ale to wszystko, stawia się pod znakiem zapytania. Że niby nic nie jest w porządku, wszystko trzeba zmienić. W szklance wody ostatnio mają niby pływać jakieś małe zwierzątka, których przedtem nikt nie widział; syfilis ma niby być zupełnie normalną chorobą, a nie karą Bożą; Bóg niby nie stworzył świata w siedem dni, ale w ciągu milionów lat, jeżeli w ogóle stworzył go Bóg; dzikusy są ludźmi tak samo jak my; wychowujemy dzieci nie tak jak trzeba, a ziemia nie jest już okrągła, jak do tej pory, ale u góry i u dołu spłaszczona jak melon - jak gdyby to miało jakieś znaczenie! W każdej dziedzinie zadaje się pytania, drażni, węszy i eksperymentuje. Nie wystarcza już, że ktoś powie, jak i co jest -wszystko trzeba jeszcze w dodatku udowodnić, najlepiej za pomocą przyrządów, liczb i jakichś śmiesznych doświadczeń. Tym wszystkim panom Diderot, d'Alembert, Voltaire, Rousseau i jak się jeszcze ci pismacy nazywają a są wśród nich nawet duchowni i osoby szlacheckiego rodu! - naprawdę udało się zarazić całe społeczeństwo swoim przewrotnym

niepokojem, zamięłowaniem do malkontenctwa i nieustannego poszukiwania dziury w całym, krótko mówiąc - bezmiernym chaosem, jaki panuje w ich własnych głowach!

Gdziekolwiek spojrzeć, szerzy się zaraza. Ludzie czytają książki, nawet kobiety. Księża wysiadają po kawiarniach. A gdy od czasu do czasu wkracza policja i wsadza któregoś z co najgłośniejszych łobuzów, wydawcy podnoszą krzyk, składają petycje, a panowie i damy z najwyższych sfer używają swoich wpływów, aż po paru tygodniach ptaszka wypuszcza się na wolność albo pozwala mu wyjechać za granicę, gdzie potem bez żadnych już hamulców może płodzić swoje pamflety. W salonach rozprawia się już tylko o trajektoriach komet, ekspedycjach, Newtonie, budowie kanałów, krążeniu krwi i średnicy kuli ziemskiej.

I nawet król pozwolił sobie zademonstrować jedną z tych nowomodnych bzdur, coś w rodzaju sztucznie wywołanej burzy o nazwie elektryczność: w przytomności całego dworu jakiś człowiek pocierał butelkę i szły iskry, a Jego Królewska Mość, jak opowiadano, był pod głębokim wrażeniem. Nie do pomyslenia, by jego pradziad, prawdziwie wielki Ludwik, pod którego błogosławionymi rządami Baldini miał jeszcze szczęście żyć, tolerował równie niepoważne widowisko! Ale taki jest duch nowych czasów, i to się nie może dobrze skończyć!

Albowiem jeżeli bez skrupowania i najbezczelniej w świecie można podawać w wątpliwość autorytet

Kościół Bożego; jeżeli o nie mniej pobłogosławionej przez Boga monarchii i uświęconej osobie króla mówi się tak, jak gdyby była to jedna z wielu pozycji w katalogu form rządów, między którymi można wedle upodobania wybierać; jeżeli na koniec ludzie posuwają się - a posuwają się! - do twierdzenia, że sam Bóg, Wszechmocny we własnej Jego osobie, jest niepotrzebny, i z całą powagą utrzymują, że ład, dobre obyczaje i szczęście na ziemi możliwe są bez Niego, że wywodzą się z wrodzonej moralności i rozumu samych ludzi - o Boże, Boże! -to nie ma co się dziwić, że wszystko wywraca się do góry nogami, obyczaje wyrodnieją, a kara z rąk tego, którego istnieniu się zaprzecza, jest bliska. To się nie może dobrze skończyć. Wielka kometa z 1681 roku, z której sobie żartowano, uważając ją za zwykłe zgęszczenie gwiazd, była przecież niechybnym znakiem Bożym, zapowiadała bowiem - dziś już nie było co do tego wątpliwości stulecie upadku, rozkładu, duchowego, politycznego i religijnego bagna, które sama ludzkość sobie zgotowała, w którym sama się pograży i na którym wyrastać mogą tylko takie mamiące fałszywym blaskiem, cuchnące kwiatki jak ten Pelissier!

Stary Baldini stał w oknie i wzrokiem pełnym nienawiści patrzył na rzekę w ukośnych promieniach słońca. Dołem płynęły barki i przemieszczały się z wolna na zachód w stronę Pont Neuf i przystani przy galeriach Luwru. Nie było widać nic, co by się posuwało pod prąd, statki idące w górę rzeki mijały wyspę z

tamtej strony. Tutaj wszystko tylko spływało w dół, puste i wyładowane statki, łodzie wiosłowe i płaskie czółna rybaków, woda brudno brunatnej barwy i woda złościście falująca, wszystko oddalało się, uchodziło powoli, szerokim nurtem, niepowstrzymanie. A kiedy Baldini patrzył pionowo w dół, wzdłuż ściany domu, zdawało mu się, że nurt wody wciąga i unosi ze sobą fundamenty mostu, i od tego kręciło mu się w głowie.

Kupienie domu na moście było błędem, a podwójnym błędem było wzięcie domu od strony zachodniej. W ten sposób stale miał przed oczyma spływającą w dół wodę i czuł się tak, jak gdyby on sam i jego dom, i gromadzony przez wiele dziesiątków lat majątek oddalał się, odpływał, unoszony przez wodę, a on sam był za stary i za słaby, by oprzeć się potężnemu nurtowi. Niekiedy, gdy miał coś do załatwienia na lewym brzegu, w okolicach Sorbony albo przy Saint-Sulpice, nie szedł przez wyspę i przez Pont Saint-Michel, ale obierał okrężną drogę przez Pont Neuf, ten most bowiem nie był zabudowany. A potem stawał przy barierce od strony wschodniej i patrzył w górę rzeki, aby raz bodaj zobaczyć, że wszystko płynie do niego; i przez kilka chwil napawał się wizją, że życie jego odmieniło kierunek, interesy kwitną, sprawy rodzinne układają się pomyślnie, kobiety za nim szaleją, a jego egzystencja, miast topnieć, rozwija się i rozrasta.

Ale potem, gdy odrobinę unosił wzrok, widział w odległości kilkuset metrów swój dom, unoszący się niepewnie na Pont au Change, widział okna swojej

pracowni na pięterku, widział samego siebie, jak stoi w oknie, jak wygląda na rzekę i obserwuje uchodzącą wodę, tak jak teraz. I wówczas piękny sen rozwiewał się, a Baldini na Pont Neuf odwracał się, przygnębiony jeszcze bardziej niż przedtem, równie przygnębiony jak teraz, gdy odwrócił się od okna, podszedł do biurka i usiadł.

12

Przed nim stał flakonik z perfumami Pelissiera. Płyn połyskiwał ciemnozłote w promieniach słońca, przejrzysty, doskonale klarowny. Wyglądał całkiem niewinnie, niczym słaba herbata - a przecież oprócz czterech piątych alkoholu jego piątą część stanowiła jakaś tajemnicza domieszka, zdolna wprawić w podniecenie całe miasto. Dodatek ów mógł znowu składać się z trzech albo trzydziestu różnych substancji, pozostających względem siebie w jakiejś określonej proporcji, jednej spośród niezliczonych możliwych. To była dusza perfum - o ile w przypadku czegoś, co wyszło z rąk tego zimnego geszefciarza Pelissiera, można było w ogóle mówić o duszy - i chodziło o to, by odkryć jej budowę.

Baldini starannie wydmuchał nos, opuścił nieco żaluzję okna, gdyż bezpośrednio światło słoneczne wpływało ujemnie na wszelkie substancje aromatyczne i wszelką subtelniejszą koncentrację węchową. Z szuflady biurka wydobył czystą białą koronkową chusteczkę i rozpostarł ją. Potem otworzył flakonik, lekko odkręcając koreczek.

Głowę odchylił przy tym w tył, zwierając nozdrza, ponieważ za wszelką cenę chciał uniknąć przedwczesnego wrażenia zapachu zaczerpniętego wprost z flakonu. Perfumy trzeba wdychać w stanie rozwiniętym, w przewiewie, nigdy w stanie kondensacji. Ulał parę kropel na chusteczkę, pomachał nią w powietrzu, aby usunąć lotne pary alkoholu, a potem podetknął sobie pod nos. Trzema krótkimi, urywanymi haustami zażył pachnidła niczym tabaki, natychmiast wytchnął z powrotem, zawachlował ręką, aby przewietrzyć sobie powonienie, powąchał raz jeszcze w trzytakte, a wreszcie wciągnął potężny niuch, który następnie wolniutko, z wielokrotnymi przestankami wydychał z siebie, jak gdyby spuszczał go po długich, płaskich schodach. Rzucił chusteczkę na stół i odchylił się na oparcie krzesła.

Perfumy były obrzydliwie dobre. Ten nędznik Pelissier niestety znał się na rzeczy. Był mistrzem, na Boga, nawet jeśli nigdy w życiu nie terminował w tym fachu! Baldini mógł sobie tylko żyz *Tyt*, by formuła „Amora i Psyche” była jego, Baldinięgo, dziełem. Nie było w tych perfumach cienia wulgarności. Zapach absolutnie klasyczny, zwarty i harmonijny. A mimo to fascynująco nowy. Był oryginalny, ale nie miał w sobie nic z komercyjnego szlagieru. Był słodki, ale nie ckliwy. Miał głębię, wspaniałą, upojną, urzekającą ciemnobrunatną głębię - ale nie był ani trochę przeładowany czy ciężki. Baldini wstał niemal z szacunkiem i ponownie podetknął sobie chusteczkę pod nos. „Nadzwyczajne,

nadzwyczajne... - wymruczał i zaciągnął się chciwie - ma w sobie coś pogodnego, jest ujmujący, jest jak melodia, po prostu wprawia człowieka w dobry humor... Co za bzdura!" I ze złością rzucił chustkę na stół, odwrócił się i odszedł w najbardziej odległy kąt pokoju, jak gdyby zawstydzony tym wybuchem entuzjazmu.

To śmieszne! Żeby się tak zachwycać! „Jak melodia. Pogodny. Nadzwyczajny. Ujmujący”. Bzdura! Dziecinada! Pierwsze wrażenie. Stary błąd. Kwestia temperamentu. Spadek po włoskich przodkach. Nie sądz, póki wąchasz - oto pierwsza reguła, Baldini, ty stary ośle! Póki wąchasz, wąchaj, a jak skończysz wąchać, wydaj sąd! „Amor i Psyche” to nie jakieś tam tuzinkowe perfumy. Zupełnie udatny produkt. Zręcznie sporządzona tandeta. Aby nie powiedzieć: blaga. Zresztą po kimś takim jak Pelissier nie można było się niczego innego spodziewać. Facet taki jak Pelissier nie produkował tuzinkowych perfum. Ten łobuz mamił najwyższą znajomością rzeczy, oszalał zmysł powonienia doskonałą harmonią, był wilkiem w owczej skórze klasycznej sztuki zapachów, jednym słowem: utalentowanym łajdakiem. A to jednak gorzej niż być prawomyślnym partaczem.

Ale ty, mój drogi Baldini, nie dasz się nabrać. Przez chwilę tylko zaskoczyło cię pierwsze wrażenie. Ale nie wiadomo przecież, jak to będzie pachniało za godzinę, kiedy najbardziej lotne substancje rozproszą się, a na jaw wyjdzie to, co jest pod spodem. Albo jak będzie pachniało dziś wieczorem, kiedy pozostaną już tylko

ciężkie, mroczne składniki, schowane teraz niby w półcieniu pod wdzięcznym kwietnym woalem? Baldini, zaczekaj!

Druga reguła brzmi: perfumy żyją w czasie; mają swoją młodość, wiek dojrzały i starość. I tylko jeżeli w każdej z tych trzech epok wydzielają równie przyjemny zapach, można je uważać za udane. Jakże często zdarza się, że sporządzona przez nas mieszanka przy pierwszej próbie pachnie cudownie świeżo, po chwili czuć ją zgniłymi owocami, a na koniec wydziela już tylko obrzydliwą woń czystego cybetu, który został przedawkowany. Zwłaszcza z cybetem należy uważać! Jedna kropla za dużo powoduje katastrofę. Znany błąd. Kto wie - może Pelissier przesadził z cybetem? Może do wieczora z ambitnej formuły „Amora i Psyche” pozostanie tylko odór kocich szczyń? Zobaczymy.

Powąchamy. Jak ostrze siekiery rozszczepia kłoc drzewa na najdrobniejsze drzazgi, nasz nos rozszczepi na cząstki te perfumy. I wtedy okaże się, że to rzekomo czarodziejskie pachnidło sporządzone zostało przy użyciu całkiem zwyczajnych, dobrze znanych środków. My, mistrz perfumeryjny Baldini, poznamy się na sztuczkach octownika Pelissiera. Zedrzymy mu maskę, pokażemy temu nowinkarzowi, co potrafi stary rzemieślnik. Skopiujemy tę jego modną mieszankę. W naszych rękach powstanie na nowo, skopiowana tak doskonale, że nawet ogar nie odróżni jej od wyrobu Pelissiera. Nie! To nie dość! Jeszcze ją ulepszymy! Wskażemy popełnione przez Pelissiera błędy, usuniemy

je, a potem podetkniemy mu pod nos: jesteś partaczem, Pelissier! Jesteś małym śmierdzielem! Arywistą w sztuce zapachów i niczym więcej!

A teraz do dzieła, Baldini! Wyteż nos i wączaj bez sentymentów! Rozłóż zapach wedle wszelkich reguł sztuki! Do wieczora musisz odkryć formułę!

Wrócił pędem do biurka, wydobył papier, kałamarz i świeżą chusteczkę, ułożył wszystko przed sobą i przystąpił do analizy. Polegało to na tym, że nasyconą perfumami chusteczkę szybko przesunął sobie pod nosem i ze wzbijającej się chmury zapachu usiłował wydobyć ten czy inny składnik, nie dając się zwieść ogólnemu wrażeniu, aby następnie, trzymając chusteczkę z dala od siebie, szybko zanotować nazwę odkrytego składnika, a potem znowu przysunąć chusteczkę do nosa, wychwycić następny element zapachu i tak dalej...

13

Pracował nieprzerwanie przez dwie godziny. Ruchy jego stawały się coraz bardziej gorączkowe, pióro coraz niespokojniej skrzypiało po papierze, coraz większe dozy perfum wylewał z flakonika na chusteczkę i podsuwał sobie pod nos.

Nie czuł już prawie nic, od dawna zamroczony przez eteryczne substancje, jakie wdychał, nie rozpoznawał już nawet składników, które na początku eksperymentu, jak mu się zdawało, zidentyfikował ponad wszelką wątpliwość. Wiedział, że dalsze wączanie nie ma sensu.

Nie zdoła nigdy wykryć składu tych modnych perfum, na pewno nie dziś, ale i nie jutro, kiedy z boską pomocą odświeży sobie nos. Nigdy nie nauczył się tego analitycznego wąchania. Zajęcie polegające na rozkładaniu zapachu było mu wstrętne; cóż to za pomysł, by rozkładać na składniki proste jakąś całość, mniej lub bardziej udaną? To go nie interesowało. I miał już dość.

Ale jego ręka mechanicznie, owym tysiąckroć wyćwiczonym zręcznym ruchem dalej skrapiała chusteczkę, potrząsała nią i szybko przysuwała do twarzy, i mechanicznie przy każdym jej przelocie Baldini wciągał pewną porcję powietrza przesyconego zapachem, a potem wydychał je w regularnych odstępach, wedle prawideł sztuki. Aż do chwili, gdy własny nos uwolnił go od tej męki, nabrzmiał od wewnątrz alergicznie i zaczopował się niczym woskowym koreczkiem. Teraz Baldini nie mógł już wąchać, ledwo oddychał. Nos miał zatkany jak przy silnym katarze, w kącikach oczu gromadziły się łzy. Chwała Panu na wysokościach! Teraz z czystym sumieniem mógł dać sobie z tym spokój. Spełnił swój obowiązek na miarę swoich sił, wedle wszelkich reguł sztuki, i jak już tyle razy przedtem - poniósł klęskę. *Ultra posse nemo obligatur.* Fajrant. Jutro rano pośle do Pelissiera po wielką butlę „Amora i Psyche”, aby uperfumować safian dla hrabiego Verhamont, zgodnie z zamówieniem. A potem weźmie swój kuferek, wypełniony staroświeckimi mydełkami, pachnidełkami,

pomadami i wonnymi saszetkami i wyruszy na zwykły obchód salonów starych hrabin. A pewnego dnia ostatnia stara hrabina umrze i tym samym umrze jego ostatnia klientka. I on sam będzie starcem i będzie musiał sprzedać swój dom, Pelissierowi czy któremuś innemu z tych pnących się w górę kramarzy, i może dostanie w zamian jeszcze parę tysięcy liwrów. I spakuje jeden-dwa kufry, i razem ze swoją starą żoną, jeżeli żona do tej pory nie zemrze, wyjedzie do Włoch. A jeśli przeżyje podróż, kupi sobie mały domek na wsi pod Messyną, gdzie jest tanio. I tam umrze, on, Giuseppe Baldini, niegdyś największy perfumiarz Paryża, umrze w srogim ubóstwie, kiedy tak się spodoba Panu. I bardzo dobrze.

Zamknął flakonik, odłożył pióro i po raz ostatni przetarł sobie woniejącą chusteczką czoło. Czuł chłód rozcieńczonego alkoholu, poza tym nic. Słońce już zachodziło.

Baldini wstał. Podniósł żaluzję i jego ciało zanurzyło się aż po kolana w świetle zmierzchu, i Baldini płonął jak wypalona, dogasająca pochodnia. Widział ciemno czerwona aureolę słońca za Luwrem i delikatne blaski na krytych łupkiem dachach miasta. W dole rzeka lśniła jak złoto, statki znikły. I widać nadciągał wiatr, bo gnane szkwałem fale układały się jak łuski, a tu i ówdzie, coraz bliżej, iskrzyły się, jak gdyby kolosalna ręka cisnęła w wodę miliony luidorów, i przez chwilę zdawało się, że nurt zmienił bieg: lśniąca rzeka czystego złota płynęła ku Baldiniemu.

Baldini miał oczy wilgotne i smutne. Stał przez chwilę bez ruchu i patrzył na cudowne widowisko. Potem, nagle, otworzył szeroko okno, rozepchnął oba skrzydła i z rozmachem cisnął flaszeczkę z perfumami Pelissiera. Widział, jak plusnęła i na moment rozdarła iskrzące się zwierciadło wody.

Do pokoju wdarło się świeże powietrze. Baldini zaczerpnął tchu i czuł, że nabrzmienie nosa ustępuje. Potem zamknął okno. Niemal w tym samym momencie zapadła noc, całkiem nagle. Lśniący złotem obraz rzeki i miasta zastygł w popielatoszarą sylwetę. W pokoju raptem pociemniało. Baldini stał w tej samej pozycji co przedtem i wyglądał przez okno. „Nie poślę jutro do Pelissiera - powiedział i zacisnął obie ręce na oparciu krzesła. - Nie zrobię tego. I nie zrobię obchodu salonów. Tylko pójdę do notariusza i sprzedam dom i sklep. Tak właśnie zrobię. *E basta!*”

Twarz jego przybrała wyraz dziecinnej przekory i naraz Baldini poczuł się bardzo szczęśliwy. Był znowu dawnym, młodym Baldinim, odważnym i jak kiedyś zdecydowanym stawić czoło losowi - nawet jeśli owo stawienie czoła było w tym przypadku odwrotem. Cóż z tego? Tak czy tak nie pozostawało mu przecież nic innego. Ta głupia epoka nie dała mu wyboru. Bóg zsyła dobre i złe czasy, ale nie życzy sobie, byśmy w złych czasach jęczeli i biadolili, tylko byśmy się zachowali po męsku. I Bóg dał przecież znak. Purpurowozłoty fantasmagoryczny obraz miasta był ostrzeżeniem: działaj,

Baldini, póki nie jest za późno! Dom jeszcze stoi, magazyny są jeszcze pełne, jeszcze możesz dostać dobrą cenę za swój podupadły interes. Decyzja należy jeszcze do ciebie. Wprawdzie cicha starość w Messynie nigdy nie była celem twego życia, ale to wybór godniejszy i prędzej znajdzie łaskę przed Bogiem niż bankructwo w Paryżu, choćby i z całą pompą. Niech sobie panowie Brouet, Calteau i Pelissier triumfują w spokoju. Giuseppe Baldini oddaje pole. Ale robi to z własnej woli i niczym nie przymuszony!

Był teraz wręcz z siebie dumny. I odczuwał bezmierną ulgę. Po raz pierwszy od wielu lat ustąpił niewolniczy przykurcz pleców, który usztywniał mu szyję i coraz pokorniej pochylał ramiona. Baldini stał teraz prosto, swobodny i wyzwolony, i cieszył się. Lekko wdychał powietrze. Wyraźnie czuł dominujący w pokoju zapach „Amora i Psyche”, ale wcale się tym nie przejmował. Baldini zmienił swoje życie i czuł się wspaniale. Zaraz pójdzie na górę do żony i powiadomi ją o swojej decyzji, a potem wybierze się z pielgrzymką do Notre-Dame i zapali świeczkę, aby podziękować Bogu za łaskawy znak i za niewiarygodną siłę charakteru, jaką był obdarzył swego sługę Baldiniego.

Niemal z młodzieńczym impetem wcisnął na swoją łysą czaszkę perukę, wdział błękitny surdut, schwycił stojący na biurku świecznik i opuścił pracownię. Zapalał właśnie świecę od kaganka na schodach, aby sobie oświetlić drogę do mieszkania, kiedy usłyszał dzwonek z dołu. Nie był to piękny dźwięk perskich

dzwoneczków u drzwi sklepowych, ale jazgotliwy brzęczyk przy wejściu dla dostawców, wstrętny dźwięk, który zawsze go raził. Nieraz myślał, żeby usunąć ten dzwonek i zastąpić czymś milej brzmiącym, ale zawsze żał mu było pieniędzy, a teraz - pomyślał nagle i aż zachichotał z radości - teraz pozbędzie się natarczywego brzęczyka wraz z całym domem. Niech się irytuje jego następca!

Dzwonek zaskrzeczał ponownie. Baldini nadstawił uszu. Najwyraźniej Chenier opuścił już sklep. Służąca też widać nie miała zamiaru się pofatygować. Tak więc Baldini sam poszedł otworzyć.

Odsunął rygiel, uchylił ciężkich drzwi i - nie ujrzał nic. Ciemność wchłonęła bez śladu wąty blask świecy. Potem, z wolna, zdołał rozróżnić niepozorną postać, dziecko albo niewyrośłego chłopca, który niósł coś na ramieniu.

- Czego chcesz?

- Od majstra Grimala, przyniosłem skórę - wyrzekła postać i podeszła bliżej, i wysunęła ku Baldiniemu zgiętą rękę, przez którą przewieszona była jedna na drugiej kilka skór. W blasku świecy Baldini zobaczył twarz młodego chłopca o lękliwie przyczajonych oczach. Garbił się. Wyglądał tak, jakby osłaniał się wysuniętym ramieniem, jak ktoś, kto boi się razów. Był to Grenouille.

14

Kozłowa skóra na safian! Baldini już sobie przypomniał, o co chodzi. Kilka dni temu zamówił u Grimala skóry,

najprzedniejszą, najmniejszą skórę na podkładkę do pisania dla hrabiego Verhamont, piętnaście franków od sztuki. Ale teraz właściwie już mu nie była potrzebna, mógł sobie oszczędzić wydatku. Z drugiej strony - odprawiać tak chłopca z kwitkiem...? Cóż, mogłoby to zrobić niekorzystne wrażenie, ludzie zaczęliby gadać, mogłaby powstać plotka, że Baldini staje się niesumienny, że Baldini nie dostaje już żadnych zamówień, że Baldini jest niewypłacalny..., a to byłoby niedobrze, bardzo niedobrze, bo obniżyłoby sprzedażną wartość firmy. Lepiej już przyjąć tę niepotrzebną skórę. Lepiej, jeśli nikt nie dowie się przedwcześnie, że Giuseppe Baldini postanowił zmienić swoje życie.

- Wejdz!

Wpuścił chłopca i przeszli razem do sklepu, Baldini z lichtarzem w ręku przodem, Grenouille ze swoimi skórami z tyłu. I oto Grenouille po raz pierwszy znalazł się w perfumerii, w miejscu, gdzie zapachy nie są dodatkiem, ale całkiem jawnie stanowią ośrodek zainteresowania. Oczywiście znał już wszystkie składy perfumeryjne i drogeryjne w mieście, po nocach wystawał przed witrynami, wciskał nos w szpary drzwi. Znał wszystkie pachnidła, jakimi tu handlowano, i często w myślach składał z nich najwyborniejsze perfumy. Nie czekało go tu zatem nic nowego. Ale podobnie jak muzykalne dziecko pali się, by ujrzeć z bliska orkiestrę albo dostać się na chór w kościele, do ukrytego manualu organów, tak Grenouille płonął z ochoty ujżenia perfumerii od wewnątrz, i kiedy się

dowiedział, że Baldiniemu trzeba dostarczyć skóry, zrobił wszystko, aby jemu poruczono to zadanie.

I oto stał w składzie Baldiniego, w tym miejscu Paryża, gdzie na najmniejszej przestrzeni zgromadzono największą ilość profesjonalnych zapachów. W migotliwym blasku świecy nie mógł wiele zobaczyć, ledwo kantorek z wagą, czaple nad połączonym naczynkiem na wodę, krzesło dla klientów, ciemne półki wzdłuż ścian, nagły błysk mosiężnych przyrządów i białe etykiety na słojach i tyglach; jeśli chodzi o zapachy, czuł tyle samo co z ulicy. Ale natychmiast odczuł powagę panującą w tym pomieszczeniu, chciałoby się niemal rzec - świętą powagę, gdyby słowo „święty” miało dla Grenouille'a jakiegokolwiek znaczenie; czuł chłodną powagę, fachową trzeźwość, oschły zmysł interesów, bijące z każdego sprzętu, każdego przyrządu, beczułki, flaszki i naczynka. I kiedy szedł za Baldinim, w cieniu Baldiniego, gdyż ten nie troszczył się o to, by mu oświetlać drogę, naszała go myśl, że tu właśnie jest jego miejsce, tu i nigdzie indziej, że tu już zostanie, że stąd ruszy z posad bryłę świata.

Była to myśl wprost groteskowo zuchwała. Nic, ale to zupełnie nic nie upoważniało przybyłego z posyłką pomocnika garbarskiego, wątpliwego pochodzenia, bez koneksji i protekcji, bez żadnej pozycji stanowej, do nadziei, iż znajdzie się dlań miejsce w najbardziej renomowanym składzie perfumeryjnym Paryża; tym bardziej że, jak pamiętamy, likwidacja interesu była już sprawą postanowioną. Ale też w zuchwałej myśli

Grenouille'a nie wyrażała się wcale nadzieja, tylko pewność. Wiedział, że opuści to miejsce najwyżej po to, by zabrać swoje rzeczy od Grimala, a potem już nigdy. Kleszcz zwęszył krew. Latami siedział bez ruchu, zamknięty w sobie, i czekał. I teraz puścił się gałęzi i zdał na los szczęścia, nie żywiąc żadnej nadziei. Dlatego był tak pewny swego.

Przeszli przez sklep. Baldini otworzył tylne pomieszczenie od strony rzeki, które służyło częściowo jako magazyn, częściowo jako warsztat i laboratorium, gdzie gotowano mydło, kręcono pomady i w brzuchatych butlach mieszano pachnące wody.- Połóż to tutaj! - rzekł i wskazał na wielki stół stojący pod oknem. Grenouille wynurzył się z cienia, jaki rzucił Baldini, złożył skóry na stole, potem cofnął się szybko i stanął między Baldinim a drzwiami. Baldini przez chwilę jeszcze stał w miejscu. Odsunął świecę nieco na bok, aby wosk nie kapał na stół, i grzbietem dłoni przesunął po gładkiej powierzchni skóry. Potem odchylił skórę leżącą na wierzchu i przesunął dłonią po lewej stronie, zarazem szorstkiej i mięciutkiej. Doskonała skóra. Jak stworzona na safianowy bibelot. Przy suszeniu nie powinna się skulić, gdy się ją dobrze pociągnie gładzikiem, znowu robi się elastyczna; by to stwierdzić, wystarczało ją zmiąć między wielkim a wskazującym palcem; mogła zachować zapach przez pięć albo dziesięć lat; doskonała skóra, świetna skóra - może z niej rękawiczki, trzy pary dla siebie i trzy pary dla swojej żony, na podróż do Messyny.

Cofnął rękę. Stół wyglądał wzruszająco: wszystko było gotowe; szklana wanienska do aromatycznej kąpieli, płyta do suszenia, miseczki do zmieszania tynktury, tłuczki i szpatułka, pędzel, gładzik i nożyce. Wyglądało tak, jak gdyby wszystkie te przedmioty spały, bo jest ciemno, a rano miały znowu ożyć. Może powinien zabrać ten stół do Messyny? I jakąś część wyposażenia warsztatu, najważniejsze przybory?... Przy tym stole siedziało się i pracowało znakomicie. Błat zrobiony był z dębowych desek, nogi również, od spodu umocniony był krzyżakami, nie chwiał się i nie trząsał, nie mógł go uszkodzić żaden kwas, smar ani zadrapanie nożem i przetransportowanie go do Messyny kosztowałoby majątek! Nawet statkiem! Toteż stół zostanie sprzedany, już jutro, i wszystko, co znajduje się na nim, pod nim i przy nim także zostanie sprzedane. Albowiem on, Baldini, ma wprawdzie tkliwe serce, ale ma też silny charakter, i dlatego, choć z żalem, zrobi co postanowił; ze łzami w oczach rozstanie się ze swoim dobytkiem, ale zrobi to, ponieważ wie, że tak jest słusznie, ponieważ otrzymał znak.

Odwrócił się, aby wyjść. Ale w drzwiach stał ten pokurcz, o którym Baldini niemal już zapomniał.

- W porządku - powiedział Baldini. - Powiedz majstrowi, że skóra jest dobra. Zajdę w najbliższych dniach, żeby zapłacić.

- Tak jest - rzekł Grenouille i nie ruszył się z miejsca i zagradzał drogę Baldiniemu, który szykował się do opuszczenia warsztatu. Baldini zdziwił się nieco, w swej

naiwności jednak nie wziął zachowania chłopca za hucpę, lecz tylko za nieśmiałość.

- O co chodzi? - spytał. - Masz mi jeszcze coś przekazać? No? Mówże!

Grenouille stał zgarbiony i patrzył na Baldiniego wzrokiem, który z pozoru wyrażał lękliwość, w istocie jednak rodził się z przyczajonej gotowości.

- Chcę u pana pracować, mistrzu Baldini. Chcę pracować w pańskiej firmie.

Nie było to wypowiedziane tonem prośby, ale żądania, i właściwie nie było też wypowiedziane, tylko wykrztuszone, jakby wysyczone przez węża. A Baldini znowu wziął niebywałą pewność siebie Grenouille'a za chłopięcą nieporadność. Uśmiechnął się do niego życzliwie.

- Jesteś w terminie u garbarza, mój synu - rzekł. Nie mam zajęcia dla garbarskiego terminatora. Mam już czeladnika, a terminator mi niepotrzebny.

- Chce pan uperfumować te skóry, mistrzu Baldini? Chce pan uperfumować te skóry, które panu przyniosłem, nie? - zaskrzeczał Grenouille, jak *gdyby* nie przyjął wcale do wiadomości odpowiedzi Baldiniego.

- W istocie, tak - odrzekł Baldini.

- „Amorem i Psyche” Pelissiera? - zapytał Grenouille i zgarbił się jeszcze bardziej.

Teraz Baldini poczuł lekki dreszcz w całym ciele. Nie, iżby zadawał sobie pytanie, skąd chłopak to wszystko wie, ale na sam dźwięk nazwy znienawidzonych perfum, których nie udało mu się dziś rozszyfrować.

- Skąd przyszła ci do głowy absurdalna myśl, że miałbym użyć cudzych perfum, aby...

- Czuć to po panu! - skrzeknął Grenouille. - Ma pan to wypisane na czole, a w prawej kieszeni surduta ma pan chustkę, i ta chustka pachnie „Amorem i Psyche”. Marne perfumy, całkiem do niczego, za dużo bergamotki, za dużo rozmarynu, a za mało olejku różanego.

- Aha - rzekł Baldini, kompletnie zaskoczony nieoczekiwane rzeczowym obrotem rozmowy - i co jeszcze? - Kwiat pomarańczy, limeta, goździki, piżmo, jaśmin,

spiryтус i coś jeszcze, co nie wiem, jak się nazywa, o tu, widzi pan! W tej flasce! - i w ciemności wskazał coś palcem. Baldini podniósł lichtarz we wskazanym kierunku, jego wzrok powędrował w ślad za wyciągniętym paluchem chłopaka i padł na stojącą na półce butelkę, wypełnioną szarozółtym balsamem.

- Styraks? - zapytał. Grenouille przytaknął.

- Tak. To jest to. Styraks - a potem skulił się jak gdyby złapał go skurcz i wymamrotał co najmniej z dziesięć razy „styraksstyraksstyraks...”

Baldini oświetlił świecą stworzenie skrzeczące swoje „styraksstyraks” i pomyślał: albo opętany, albo oszust, albo talent z Bożej łaski. Gdyż było całkiem możliwe, że wymienione składniki we właściwych proporcjach składały się na „Amora i Psyche”; było to nawet prawdopodobne. Olejek różany, goździki i styraks - właśnie tych trzech składników szukał tak rozpaczliwie

dziś po południu; pozostałe elementy kompozycji - które, jak mu się zdawało, zdołał rozpoznać - pasowały do nich jak porcje pięknego krągłego tortu. Pozostawało tylko pytanie, w jakim stosunku należy je połączyć. Aby zaś to ustalić, on, Baldini, musiałby eksperymentować całymi dniami, potworna robota, niemal jeszcze gorsza niż zwykle zidentyfikowanie składników, bo tu już trzeba było mierzyć, ważyć i notować, i piekielnie przy tym uważać, bo odrobina nieuwagi - drgnięcie pipetki, pomyłka przy liczeniu kropli - mogła wszystko popsuć. A każda nieudana próba drogo kosztowała. Każda chybiona mieszanka kosztowała majątek, może nieduży, ale zawsze... Chciał wystawić małego człowieczka na próbę, chciał go wypytać o ścisłą formułę „Amora i Psyche”. Jeżeli ją zna, co do grama i co do kropli, to znaczy, że jest oszustem, który jakimś cudem wyłudził recepturę Pelissiera, aby uzyskać wstęp do Baldiniego i zatrudnienie w jego firmie. Ale jeżeli będzie umiał ją tylko w przybliżeniu odgadnąć, to znaczy, że jest olfaktorycznym geniuszem i jako taki zasługuje na profesjonalne zainteresowanie ze strony Baldiniego. Nie, nie w tym sensie, iżby Baldini wycofywał się z powziętej już decyzji sprzedania sklepu! Nie chodziło mu o perfumy Pelissiera jako takie. Nawet gdyby chłopak dostarczył mu całe litry tego specyfiku, Baldiniemu nawet by się nie śniło użyć ich do uperfumowania safianu dla hrabiego Verhamont, ale... Ale nie na to przecież było się przez całe życie perfumiarzem, nie na to człowiek przez całe życie zajmował się

komponowaniem zapachów, aby teraz z godziny na godzinę stracić całą zawodową pasję. Nadal interesowało go wydobywanie formuły tych przeklętych perfum, a bardziej jeszcze wypróbowanie talentu tego niesamowitego chłopaka, który potrafił mu z twarzy odczytać zapach. Baldini chciał wiedzieć, co się za tym kryje. Powodowała nim zwykła ciekawość.

- Masz, zdaje się, dobry nos, młody człowieku - odezwał się, gdy już ucichło skrzeczenie Grenouille'a, i cofnął się znowu w głąb warsztatu, aby ostrożnie odstawić lichterz na stół - bez wątpienia masz wrażliwy nos, ale...

- Mam najlepszy nos w całym Paryżu, mistrzu Baldini - wychrypiął Grenouille. - Znam wszystkie zapachy świata, wszystkie, jakie tylko są w Paryżu, tylko niektórych nie znam z nazwy, ale mogę się nauczyć i nazw. Zapachów, które mają nazwy, nie jest tak wiele, ledwo kilka tysięcy, nauczę się ich, jak się nazywa ten balsam, nigdy już nie zapomnę, styraks, ten balsam nazywa się styraks, styraks, styraks...

- Cicho! - krzyknął Baldini. - Nie przerywaj mi, kiedy mówię! Jesteś impertynent i zuchwalec. Żaden człowiek nie zna tysiąca zapachów z nazwy. Nawet ja znam najwyżej paręset, bo w naszym zawodzie jest tylko paręset zapachów, reszta to już nie zapach, tylko smród! Grenouille, który wtrącając się Baldiniemu w pół zdania ze swoim burzliwym potokiem wymowy niemal rozkwitł fizycznie, w podnieceniu nawet przez chwilę zataczał rękoma kręgi w powietrzu, aby opisać owe „wszystkie, wszystkie” znane sobie zapachy, przy

replce Baldiniego momentalnie skulił się znowu i przycupnął nieruchomo w drzwiach jak mała czarna ropucha.

- Rzecz jasna - ciągnął Baldini - od dawna zdaję sobie sam sprawę, że „Amor i Psyche” składa się ze styraksu, olejku różanego i goździków, jak również bergamotki i ekstraktu rozmarynu *et caetera*. Aby na to wpaść, wystarczy, jak powiedziałem, mieć nie najgorszy nos, a bardzo możliwe, że Bóg obdarzył cię nie najgorszym nosem, podobnie jak wielu, wielu innych ludzi - szczególnie w twoim wieku. Wszelako perfumiarz - i w tym miejscu Baldini podniósł palec wskazujący i wyprężył pierś - wszelako perfumiarz musi mieć coś więcej. Musi mieć szkolony przez dziesiątki lat, niezawodnie pracujący organ powonienia, który pozwala mu bezbłędnie rozszyfrować składniki i proporcje najbardziej skomplikowanych zapachów, jak również tworzyć nowe, nieznane mieszanki aromatyczne. Takiego nosa - i tu pogładził się palcem po własnym nosie - takiego nosa, młody człowieku, nie można mieć! Takiego nosa trzeba się dochrapać wytrwałością i pilną pracą. Bo czy może umiałbyś mi z miejsca podać dokładną formułę „Amora i Psyche”? Co? Umiałbyś?

Grenouille nie odpowiedział.

- Albo przynajmniej przybliżoną formułę? - rzekł Baldini i pochylił się nieco do przodu, aby lepiej widzieć skuloną w drzwiach ropuchę. - Tylko tak, szacunkowo? No? Co powiesz, najlepszy nosie Paryża?

Ale Grenouille milczał.

- A widzisz! - rzekł Baldini, zarazem zadowolony i rozczarowany, i znowu się wyprostował. - Nie umiesz. Jasne, że nie umiesz. Bo też to niemożliwe. Jesteś jak ktoś, kto przy jedzeniu czuje, czy do zupy dodano trybulki czy pietruszki. Owszem, to już coś. Ale to nie znaczy, że umiesz gotować. W każdym kunszcie i w każdym rzemiośle - zakonotuj to sobie, nim stąd odejdiesz - talent jest niczym, a wszystkim jest doświadczenie, które zdobywa się skromnością i pracą. Sięgnął znów po lichterz, gdy dobiegło go zdławione chrypięcie ode drzwi:

- Nie wiem, co to jest formuła, mistrzu. Tego nie wiem, ale poza tym wiem wszystko!

- Formuła jest alfą i omegą wszelkich perfum - odparł surowo Baldini, bo chciał wreszcie skończyć tę rozmowę. - To akrybiczna instrukcja, w jakim stosunku należy mieszać poszczególne ingrediencje, aby powstał żądany, niepowtarzalny zapach; to jest formuła. Formuła to receptura - jeżeli to słowo jest dla ciebie bardziej zrozumiałe.

- Formuła, formuła - zaskrzeczał Grenouille i urósł trochę w drzwiach - niepotrzebna mi żadna formuła. Mam recepturę tu, w nosie. Mieszać, mistrzu Baldini, mieszać?- Jak to? - Baldini podniósł głos i przybliżył lichterz do oblicza gnoma. - Jak to: mieszać? Grenouille po raz pierwszy nie odskoczył.

- Przecież tu wszystko jest. Wszystko, co potrzeba. Wszystkie zapachy. Wszystko tu jest, w tym pokoju

rzekł i wskazał znowu coś, czego w ciemności nie było widać. - Tu olejek różany! Tu kwiat pomarańczy! Tu goździki! Tu rozmaryn...!

- Owszem, wszystko tu jest! - wrzasnął Baldini. - To prawda! Ale przecież ci mówię, barania głowo, że to się na nic nie zda, póki się nie ma formuły!

...tu jaśmin! Tu alkohol! Tu bergamotka! Tu styraks! - skrzeczał Grenouille dalej i przy każdej nazwie wskazywał jakiś punkt w pokoju, gdzie było tak ciemno, że ledwo dawało się odgadnąć zarys ciągnących się wzdłuż ścian półek z buteleczkami.

- Czyżbyś widział po ciemku, co? - napadł na niego Baldini. - Masz nie tylko najlepszy nos w Paryżu, ale i najbystrzejsze oczy, he? Więc jeżeli do tego masz jeszcze nienajgorsze uszy, to posłuchaj, co ci powiem: jesteś małym oszustem. Pewnie podejrzales coś u Pelissiera, wyszpiegowales, nie? I myślisz, że uda ci się wyprowadzić mnie w pole?

Teraz Grenouille stał w drzwiach całkiem wyprostowany, niejako w pełnym swoim wymiarze, na lekko rozstawionych nogach i z lekko rozkrzyżowanymi ramionami, tak iż wyglądał jak czarny pajak czepiający się futryn i progu.

- Niech mi pan da dziesięć minut - powiedział dosyć płynnie - a zrobię panu „Amora i Psyche”. Zaraz, tu, w tym pokoju. Mistrzu, niech mi pan da pięć minut!

- Myślisz, że pozwolę ci się szarogęścić w moim warsztacie? Bawić się esencjami, które kosztują majątek? Tobie?

- Tak - rzekł Grenouille.

- Bah! - zakrzyknął Baldini wypuszczając naraz całe powietrze z płuc. Potem zaczerpnął głęboko tchu, przez dłuższą chwilę patrzył na pająkowego Grenouille'a i medytował. W gruncie rzeczy to przecież nie ma żadnego znaczenia - myślał - bo jutro tak czy owak skończę z tym wszystkim. Wiem, co prawda, że to chłopaczysko tylko się przechwala, że umie zrobić coś, czego zrobić nie umie, a nawet nie może umieć, bo w przeciwnym razie byłby większym geniuszem niż wielki Frangipani. Ale czemu nie miałbym sobie kazać zademonstrować tego, co i tak wiem. Inaczej jeszcze mi pewnego dnia w Messynie przyjdzie do głowy - z wiekiem przecież człowiek dziwaczeje i czepia się najbardziej zwariowanych pomysłów - że nie rozpoznałem olfaktorycznego geniusza, istoty obdarzonej przez Boga niezwykłą łaską, cudownego dziecka... Nie, to wykluczone. Wedle tego, co mi mówi mój rozsądek, to wykluczone, ale cuda przecież się zdarzają, wiadomo. No więc, jeśli pewnego dnia będę umierał w Messynie i na łożu śmierci przyjdzie mi myśl: Wtedy, tego wieczora w Paryżu, zamknąłeś oczy na cud... Co? Nie byłoby ci przyjemnie, Baldini! I nawet jeśli ten głupek zmarnuje kilka kropli olejku różanego i piżmowej tynktury, to przecież ty sam też byś je zmarnował, gdyby naprawdę interesowały cię perfumy Pelissiera. A czymże jest te parę kropli - aczkolwiek drogich, niezwykle drogich! - w porównaniu z pewnością wiedzy i spokojnym zmierzchem życia?

- Uważaj! - rzekł z udaną surowością. - Uważaj! Wszystko sobie... jak ty się właściwie nazywasz?

- Grenouille - rzekł Grenouille - Jan Baptysta Grenouille.

- Aha - rzekł Baldini. - Więc uważaj, Janie Baptysto Grenouille! Wszystko sobie przemyślałem. Będziesz miał okazję, teraz, zaraz, dowieść swoich słów. Będziesz miał zarazem okazję na skutek miażdżącej klęski przyswoić sobie cnotę skromności, która - u ciebie zapewne jeszcze nie rozwinięta, co ze względu na młody wiek można wybaczyć - jest nieodzownym warunkiem przyszłych twoich awansów jako członka cechu i stanu, jako małżonka, jako poddanego, jako człowieka i jako dobrego chrześcijanina. Gotów jestem udzielić ci tej lekcji na swój koszt, gdyż z pewnych powodów jestem dziś usposobiony szczodrobliwie, a kto wie, może kiedyś wspomnienie tej sceny zgotuje mi nieco radości. Ale nie sądź, że zdołasz mnie oszukać! Nos Giuseppe Baldiniego ma swoje lata, ale jest czuły, dość czuły, by natychmiast wykryć najdrobniejsze różnice między twoją miksturą a tym tu produktem - i wyciągnął z kieszeni chusteczkę przesyconą „Amorem i Psyche” i zamachał nią Grenouille'owi przed nosem. - Zbliź no się, najlepszy nosie Paryża! Podejdź do stołu i pokaż, co potrafisz! Ale uważaj, żeby niczego nie potracić i nie przewrócić! Niczego mi nie dotykaj! Przede wszystkim trzeba tu trochę więcej światła. Zrobimy wielką iluminację do małego eksperymentu, nieprawdaż?

I z tymi słowy ujął dwa inne lichtarze, stojące u skraju wielkiego stołu i zapalił je. Ustawił wszystkie trzy szeregiem, wzdłuż tylnej krawędzi stołu, odsunął na bok skóry, uprzątnął środek blatu. Potem, ruchami zarazem spokojnymi i pośpieszonymi, zdjął z małej etażerki niezbędne do całego przedsięwzięcia przybory, wielką brzuchatą kolbę, szklany lejek, pipetkę, małą i dużą menzurkę, i ustawił wszystko porządnie przed sobą na dębowym blacie.

Grenouille tymczasem oderwał się od futryny, już podczas patetycznej przemowy Baldiniego opuściła go cała poprzednia sztywność, całe przyczajone napięcie. Usłyszał tylko, że Baldini się zgadza, usłyszał tylko owo „tak” z wewnętrzną uciechą dziecka, które wymusiło ustępstwo i gwiżdże sobie na zastrzeżenia, warunki i moralne upomnienia, jakie się z nim wiążą. W swobodnej pozie, po raz pierwszy bardziej podobny do człowieka niż do zwierzęcia, łykał gładko resztę perory Baldiniego i wiedział, że dopiąwszy swego ma już tego człowieka w ręku.

Podczas gdy Baldini rozstawiał jeszcze na stole świece, Grenouille wśliznął się już w ciemny kąt warsztatu, gdzie stały półki z cennymi esencjami, olejkami oraz tynkturami, i kierując się niezawodnymi wskazaniem swego nosa, wyciągnął potrzebne flaszeczki. Było ich dziewięć: esencja kwiatu pomarańczy, olejek lunetowy, olejek goździkowy, olejek różany, ekstrakt jaśminu, bergamotki i rozmarynu, tynktura piżmowa i balsam styraksowy - wybrał je szybko i ustawił na brzeżku

stołu. Na koniec wziął jeszcze balon z wysokoprocentowym alkoholem. Potem stanął za Baldinim, który wciąż jeszcze z pedantyczną dokładnością rozstawiał swoje przyrządy, jedno przesuwając w tę stronę, drugie w tamtą, aby wszystko stało we właściwym porządku, tak jak zawsze, oraz było jak najlepiej oświetlone - i czekał, drżąc z niecierpliwości, aż stary odsunie się i zrobi mu miejsce.

- Tak! - rzekł wreszcie Baldini i odsunął się na bok. Oto masz tu wszystko, czego ci trzeba do tego - nazwijmy to uprzejmie - „eksperymentu”. Nie stłucz mi tylko niczego, niczego nie rozlej! Bo pamiętaj: równie cennych i rzadkich substancji jak te, którymi wolno będzie ci się przez pięć minut bawić, nigdy w życiu w tak skoncentrowanej formie nie dostaniesz do ręki!

- Ile mam tego zrobić, mistrzu? - spytał Grenouille. - Czego zrobić? - spytał Baldini, który nie doszedł jeszcze do końca swej przemowy.

- Tych perfum - wychrypiął Grenouille. - Ile tego ma być? Cała ta butla? - i wskazał na kolbę, mogącą swobodnie pomieścić trzy litry.

- Nie, skąd! - krzyknął Baldini; krzyczał w nim głęboko zakorzeniony i zarazem żywiołowy strach przed trwonieniem własnego majątku. - I nie przerywaj mi! dorzucił zaraz, jak *gdyby* zawstydził się tego zdradzieckiego wybuchu, a potem ciągnął dalej spokojniejszym, lekko ironicznym tonem: - Po co nam trzy litry perfum, których żaden z nas nie ceni? Na dobrą sprawę wystarczy pół menzurki. Ze jednak tak

niewielkie ilości trudno jest precyzyjnie zmieszać, pozwalam ci zrobić jedną trzecią kolby.

- Dobra - rzekł Grenouille - wypełnię tę butlę w jednej trzeciej „Amorem i Psyche”. Ale, mistrzu Baldini, zrobię to po swojemu. Nie wiem, czy tak się robi w cechu, bo się na tym nie znam, ale zrobię to po swojemu.

- Proszę bardzo! - rzekł Baldini, bo wiedział, że w tych sprawach nie ma twojego ani mojego sposobu, tylko jeden jedyny możliwy i właściwy sposób, polegający na tym, że znając formułę i w odpowiednim przeliczeniu na ilość, jaką zamierzało się wyprodukować, sporządza się najdokładniej wymierzony koncentrat rozmaitych esencji, a następnie subtylizuje alkoholem, znowu w określonej proporcji, która przeważnie waha się między jeden do dziesięciu a jeden do dwudziestu, co daje nam właściwe perfumy. Baldini wiedział, że innego sposobu nie ma. I dlatego to, co miał ujrzeć i czemu przyglądał się zrazu z kpiącym dystansem, potem z oszołomieniem, a wreszcie już tylko z bezradnym podziwem, wydało mu się istnym cudem. I scena ta wryła mu się w pamięć tak, że nie zapomniał jej do końca swoich dni.

15

Pokurcz Grenouille odkorkował najpierw gąsior z alkoholem. Miał trudności z dźwignięciem naczynia w górę. Musiał je podnieść niemal na wysokość głowy, bo na tym poziomie znajdował się otwór butli z nasadzonym lejkiem, do którego chlusnął alkohol prosto z gąsiora, bez pomocy menzurki. Baldiniego przeszły

ciarki w obliczu tej zmasowanej nieudolności: nie dość, że facet wywraca do góry nogami perfumeryjny porządek świata, bo zaczyna od substancji rozcieńczającej, nie mając jeszcze gotowego koncentratu, który należało rozcieńczyć, ale w dodatku jest do tego fizycznie niezdolny! Drżał z wysiłku, i Baldini w każdej chwili liczył się z tym, że ciężki balon z hukiem wypadnie mu z rąk i zdruzgocze wszystko, co znajduje się na stole. Świece pomyślał - na miłość Boską, świece, dom mi się zapali...! I już chciał się rzucić naprzód, aby wyrwać gąsior z rąk tego szaleńca, gdy Grenouille sam go odstawił, umieścił bez szwanku na podłodze i z powrotem zakorkował. W butli kołysała się lekka, przejrzysta ciecz - ani kropla nie ściekła poza naczynie. Grenouille sapał przez chwilę z miną tak zadowoloną, jak *gdyby* miał już za sobą najtrudniejszą część roboty. I faktycznie, reszta dokonała się z szybkością tak piorunującą, że Baldini ledwo nadażał wzrokiem, w żadnym już razie nie mógł wychwycić kolejności czy w ogóle jakiejś systematycznej zasady rządzącej biegiem wydarzeń.

Grenouille pozornie na chybił trafił sięgał do stojących rzędem flakonów z aromatycznymi esencjami, wyrywał szklany korek, przez sekundę wahał zawartość, wytrząsnął do otworu lejka kilka kropli z jednej flaszeczki, nalał trochę z drugiej, chlusnął z trzeciej i tak dalej. Pipetki, probówki, menzurki, łyżeczki i mieszadełka wszystkich tych przyborów, które pozwalają perfumiarzowi radzić sobie ze

skomplikowanym procesem mieszania, nawet nie tknął. Zdawało się, że Grenouille bawi się, dorzuca to tego, to tamtego, jak dziecko, które z wody, zielska i błota pichci obrzydliwą breję i twierdzi, że to zupa. Tak, zupełnie jak dziecko, pomyślał Baldini; zresztą wygląda także jak dziecko, mimo zgrubiałych rąk, mimo dziobatej, pokrytej bliznami twarzy i bulwiastego nosa starca. Wziąłem go za starszego niż jest, teraz zaś wydaje mi się młodszy, jak gdyby miał trzy-cztery latka; jak te niedostępne, niepojęte, uparte istoty przedludzkie, które, na pozór niewinne, myślą tylko o sobie, które chcą sobie despotycznie podporządkować cały świat i zrobiłyby to, gdyby nie położyć tamy ich manii wielkości, najsurowszymi środkami wychowawczymi nie narzucić im dyscypliny i nie doprowadzić do stanu uładowanej egzystencji pełnowartościowych ludzi. Coś z takiego fanatycznego dziecka tkwiło w młodzieńcu, który z płonącymi oczyma stał przy stole zapomniawszy o całym świecie, najwyraźniej nie pamiętając, że w pracowni znajduje się jeszcze coś poza nim i flaszeczkami, które w pośpiechu niezdarnie przechylał nad lejkiem, aby sporządzić swoją zwariowaną miszkulancję i potem utrzymywać ze śmiertelną powagą - oraz samemu uwierzyć! - że jest to wyszukana perfuma, „Amor i Psyche”! Baldini ze zgrozą przyglądał się osobnikowi, który kręcił się w migotliwym blasku świec, i do wszystkiego zabierał się tak obrzydliwie na opak i z taką obrzydliwą pewnością siebie: takich jak on - pomyślał i przez chwilę poczuł ten sam smutek,

rozżalenie i złość, co po południu, gdy spoglądał na płonące purpurą miasto o zachodzie słońca -takich jak on kiedyś nie bywało; to egzemplarz całkiem nowego gatunku, możliwy tylko w tej gnuśnej, zepsutej epoce... Ale dostanie nauczkę, zarozumialec jeden! Po zakończeniu tego śmiesznego przedstawienia Baldini zmyje mu głowę, suchej nitki na nim nie zostawi i łobuz wyniesie się stąd z podkulonym ogonem, tak jak tu przyszedł. Hołota! W dzisiejszych czasach nie wolno się już z nikim zadawać, bo wszędzie roi się od żalosnej hołoty!

Baldini tak był zaprzątnięty własnym oburzeniem i odrazą do współczesnej epoki, że nie pojął w ogóle, co to znaczy, iż Grenouille nagle zamknął wszystkie flaszeczki, wyciągnął lejek z kolby, samą kolbę złapał jedną ręką za szyjkę, drugą ręką zatkał i gwałtownie potrząsnął. Dopiero gdy kolba zawirowała kilka razy w powietrzu, a jej cenna zawartość jak lemoniada przechlupotała się z brzucha do szyjki i z powrotem, Baldiniemu wyrwał się okrzyk wściekłości i przerażenia. - Stój! - ryknął. - Dosyć! Natychmiast przestań! Basta! Postaw w tej chwili kolbę na stole i nie dotykaj jej, rozumiesz? Chyba oszalałem, że w ogóle usłuchał twojej idiotycznej gadaniny. Sposób, w jaki obchodzisz się z tymi rzeczami, twoje prostactwo, twoja prymitywna tępota dowodzą mi, że jesteś barbarzyńcą i tumanem, i w dodatku parszywym, bezczelnym łajdakiem. Nie nadajesz się nawet do robienia lemoniady, nie nadajesz się na najzwyklejszego

sprzedawcę wody lukrecjowej, a co dopiero na perfumiarza! Ciesz się, bądź wdzięczny i zadowolony jeżeli twój majster pozwoli ci dalej mieszać brzeczkę! Nie waż się - słyszysz? - nie waż się więcej przekraczać progu perfumerii!

Tak mówił Baldini. A gdy mówił, cały pokój napełnił się zapachem „Amora i Psyche”. Zapach bywa niekiedy daleko bardziej przekonujący niż słowa, błysk oczu, odczucie i wola. Perswazyjna siła zapachu jest nieodparta, wnika w nas jak powietrze do płuc, wypełnia nas, przepaja, nie można się przed nią bronić.

Grenouille odstawił butlę, odjął wilgotną od perfum rękę od szyjki i otarł o poję kapoty. Cofnął się o krok czy dwa, niezdarne poruszenia jego ciała pod gradem wyrzutów Baldiniego wzbudziły dość silne fale w powietrzu, by nowo powstały zapach rozszedł się dookoła. To wystarczyło. Wprawdzie Baldini dalej szalał, złorzeczył i pomstował, ale z każdym oddechem jego demonstrowana na zewnątrz złość znajdowała coraz mniej pożywki wewnętrznej. Uczuł, że został pokonany, wskutek czego jego perora pod koniec wznieść się mogła tylko do czczego patosu. A kiedy urwał i zamilkł na chwilę, nie musiał wcale usłyszeć uwagi Grenouille'a: „Gotowe”. Wiedział i bez tego.

Ale mimo to, jakkolwiek zewsząd otaczało go już powietrze ciężkie od „Amora i Psyche”, podszedł do dębowego stołu, aby przeprowadzić próbę. Wydobył z lewej kieszeni surduta czystą, śnieżnobiałą koronkową chusteczkę, rozpostarł ją i wytrząsnął na nią kilka kropli,

zaczerpniętych pipetką z kolby. Wyciągnął rękę i pomachał chusteczką, aby ją przewietrzyć, a potem wprawnym, zręcznym ruchem przesunął ją sobie pod nosem, wciągając zapach. Wydychając znów zapach z rytmicznymi przerwami, przysiadł na stołku. Jego twarz, przed chwilą jeszcze purpurowa z furii, nagle pobladła.

- Nie do wiary - wymamrotał cicho - na miłość Boską, to nie do wiary.

I dalej wtulał nos w chusteczkę, wachał i potrząsał głową i mamrotał swoje „nie do wiary”; były to perfumy „Amor i Psyche”, ponad wszelką wątpliwość „Amor i Psyche”, nienawistna, genialna mieszanka aromatyczna, skopiowana tak dokładnie, że sam Pelissier nie odróżniłby jej od własnego produktu. Nie do wiary...

Wielki Baldini siedział skulony i pobladły na stołku i wyglądał śmiesznie z chustką, którą trzymał u nosa jak zakatarzona pannica. Kompletnie odjęło mu mowę. Nie mamrotał już nawet „nie do wiary”, tylko kiwając głową i wpatrując się w zawartość butli, mruzczał monotonnie „hm, hm, hm... hm, hm, hm... hm, hm, hm...” Po chwili Grenouille zbliżył się i bezgłośnie jak cień stanął przy stole.

- To niedobre perfumy - rzekł. - Zły zestaw.

- Hm, hm, hm - wyrzekł Baldini, a Grenouille ciągnął dalej:

- Jeżeli pan pozwoli, maitre, poprawię je. Niech mi pan da jeszcze minutę, a zrobię panu z tego porządne perfumy!

- Hm, hm, hm - wyrzekł Baldini i kiwnął głową. Nie dlatego, że się zgadzał, ale dlatego, że popadł w stan takiej bezradnej apatii, iż na wszystko powiedziałby „hm, hm, hm” i pokiwał głową. Toteż dalej kiwał głową i mruzczał „hm, hm, hm” i nie próbował nawet protestować, gdy Grenouille ponownie wziął się do roboty, ponownie chlusnął alkoholu do kolby, do już znajdujących się tam perfum, ponownie jął na pozór bez ładu i składu wlewać do lejka zawartość rozmaitych flaszeczek. Dopiero pod koniec procedury - tym razem Grenouille nie zawirował kolbą w powietrzu, lecz zakołysał nią łagodnie jak kieliszkiem koniaku, być może ze względu na Baldiniego, być może dlatego, że tym razem zawartość kolby wydawała mu się cenniejsza - dopiero teraz więc, gdy w naczyniu kolebała się już gotowa substancja, Baldini otrząsnął się z oszołomienia i podniósł, wprawdzie z chustką wciąż przy nosie, jak gdyby chciał się uzbroić przed ponownym zamachem na swoje wnętrze.

- Gotowe, mistrzu - rzekł Grenouille. - Teraz to naprawdę dobrze pachnie.

- Tak, tak, już dobrze, dobrze - odrzekł Baldini i machnął wolną ręką.

- Nie chce pan spróbować? - chrząkał dalej Grenouille. - Nie chce pan, mistrzu? Nie chce pan próbki? -Potem, nie jestem teraz w nastroju do próbowania... co innego mi w głowie. Idź już!

Ujął jeden z lichtarzy, ruszył do drzwi i przeszedł do pomieszczenia sklepowego. Grenouille podążał za nim.

Znaleźli się w wąskim korytarzyku, który wiódł do wejścia dla dostawców. Baldini podreptał do drzwi, odsunął rygiel i otworzył. Cofnął się, aby wypuścić chłopca.

- Będę mógł u pana pracować, mistrzu? Będę mógł? - spytał Grenouille, już stojąc na progu, znowu przygarbiony, znowu z przyczajonym spojrzeniem.

- Nie wiem - rzekł Baldini - pomyślę nad tym. Teraz idź! A potem Grenouille znikł, w jednej chwili, wchłonięty przez ciemność. Baldini stał i patrzył w noc. W prawej ręce trzymał świecznik, w lewej chustkę, jak ktoś, komu leci krew z nosa, i czuł tylko strach. Szybko zaryglował drzwi. Potem odjął ochronną chustkę od twarzy, wsunął ją do kieszeni i przez sklep wrócił do warsztatu.

Zapach był tak niebiańsko dobry, że nagle w oczach zakręciły mu się łzy. Nie musiał wcale brać próbki, stanął po prostu przy stole, naprzeciw kolby, i zaczerpnął tchu. Perfumy *były* świetne. Przy „Amorze i Psyche” były jak symfonia wobec samotnego pisku skrzypiec. A nawet więcej. Baldini zamknął oczy i czuł, że budzą się w nim najbardziej podniosłe wspomnienia. Widział siebie jako młodego człowieka, idącego o zmroku ogrodami Neapolu; widział siebie w ramionach pewnej czarnowłosej kobiety i widział zarys stojącego na parapecie bukietu róż, nad którym przepływa nocny powiew; słyszał rozproszone głosy ptasie i muzykę dobiegającą z dalekiej tawerny portowej; słyszał szept dochodzący z bliska, tuż przy jego uchu; słyszał miłosne wyznanie i czuł, jak rozkosz jeży mu włosy na głowie,

teraz! właśnie w tej chwili! Otworzył oczy i jęknął błogo. Było to coś zupełnie innego niż perfumy, jakie znano do tej pory. To nie był zapach, który miło jest wdychać, to nie było pachnidełko, to nie był aromatyczny bibelot, artykuł toaletowy. Było to coś całkiem nowego, zdolnego wyłonić z siebie cały świat, cały czarowny, przebogaty świat, a człowiek zapominał naraz o wszystkich paskudztwach, jakie go otaczały, i czuł się tak bogaty, tak szczęśliwy, tak swobodny, tak dobry...

Zjeżone włosy na głowie ułożyły się znowu gładko, ogarnął go odurzający spokój wewnętrzny. Baldini wziął skórę, kozłową skórę leżącą na stole, wziął nóż i przykroił skórę. Potem umieścił kawałki w szklanej waniencie i zalał je nowymi perfumami. Położył na waniencie szklaną płytkę, resztę substancji przelał do dwóch flaszeczek, umieścił na nich etykiety i wypisał nazwę: „Noc Neapolitańska”. Potem zgasił światło i wyszedł.

Na górze przy kolacji nie odezwał się do żony ani słowem. A przede wszystkim nie rzekł nic o niewzruszonej decyzji, jaką powziął był dziś po południu. Żona też się nie odzywała, widziała bowiem, że jest w dobrym nastroju, i była z tego rada. Baldini nie wybrał się też z pielgrzymką do Notre-Dame, aby podziękować Bogu za siłę charakteru. Ba, tego dnia po raz pierwszy w życiu zapomniał nawet odmówić wieczorną modlitwę.

Następnego ranka udał się prościutko do Grimala. Najpierw zapłacił za kozłową skórę, i to pełną cenę, bez szemrania i targowania się. A potem zaprosił Grimala na butelkę białego wina do „Srebrnej Wieży” i wymamił od niego terminatora Grenouille'a. Oczywiście nie zdradził, dlaczego mu na nim zależy i po co mu jest potrzebny. Kręcił coś o jakimś wielkim zamówieniu na wonne skóry, do czego trzeba mu niewykwalifikowanej siły pomocniczej. Potrzebny mu niewymagający chłopak, który będzie wykonywał najprostsze usługi, przykrawał skóry i tak dalej. Zamówił jeszcze jedną butelkę wina i zaoferował dwadzieścia liwrów jako odszkodowanie za kłopot, który sprawia Grimalowi odbierając mu Grenouille'a. Dwadzieścia liwrów była to ogromna suma. Grimal zgodził się natychmiast. Poszli do garbarni, gdzie Grenouille, o dziwo, czekał już ze spakowanym tłumoczkiem. Baldini wypłacił umówione dwadzieścia liwrów i zabrał go, z przeświadczeniem, iż zrobił najlepszy interes swego życia.

Grimal, pewien z kolei, iż to on zrobił najlepszy interes swego życia, wrócił do „Srebrnej Wieży”, wypił tam dwie dalsze butelki wina, około południa przeniósł się pod „Złotego Lwa”, na drugi brzeg rzeki, i tam upił się dokumentnie, tak że kiedy późnym wieczorem chciał jeszcze raz wrócić do „Srebrnej Wieży”, pomylił rue Geoffroi L'Anier z rue des Nonaindieres i wskutek tego zamiast, jak miał nadzieję, wyjść prosto na Pont Marie, w tajemniczy sposób znalazł się na quai des Ormes, skąd plusnął jak długi prosto do rzeki niczym w miękkie

łóżko. Zgon nastąpił natychmiast. Ale rzece potrzeba było jeszcze sporo czasu, aby odciągnąć go z płytkiego brzegu koło przycumowanych barek oraz wyprowadzić na środkowy, silniejszy nurt, i dopiero we wczesnych godzinach porannych garbarz Grimal, a raczej jego przemokłe zwłoki, spłynął rażno z prądem w dół, ku zachodowi.

Gdy zwłoki Grimala mijaly Pont au Change, bezgłośnie, nie zaczepiwszy o żaden z filarów, dwadzieścia metrów wyżej Jan Baptysta Grenouille układał się właśnie do snu. Postawiono mu pryczę w tylnym kącie warsztatu Baldiniego, który miał teraz objąć w wyłączne posiadanie, podczas gdy jego eks-chlebodawca, wyciągnawszy nogi, spływał w dół zimnej Sekwany. Grenouille umościł się wygodnie i zwinął jak kleszcz. Zasypiając pograżał się coraz głębiej w siebie i odbywał triumfalny wjazd do twierdzy własnego wnętrza, i we śnie odprawiał jako zwycięzca wielkie święto zapachów, gigantyczną orgię wśród dymu kadzideł i oparów mirry, na swoją własną cześć.

17

Pozyskawszy Grenouille'a firma Baldiniego poczęła szybko zdobywać sobie renomę w całym kraju, ba, w całej Europie. W domu na Pont au Change nieustannie rozlegał się dźwięk perskich dzwoneczków, a czaple bez chwili przerwy rzygały fiołkową wodą.

Jeszcze pierwszego wieczora Grenouille musiał sporządzić wielki gąsior „Nocy Neapolitańskiej”, której w ciągu następnego dnia sprzedano ponad

osiemdziesiąt flakoników. Sława tego pachnidła rosła w oszałamiającym tempie.

Chenierowi męciło się w oczach od liczenia pieniędzy, a plecy bolały od niskich ukłonów, jakie musiał składać, albowiem sklep odwiedzali teraz wielcy i najwięksi państwo albo przynajmniej ich słudzy. Raz nawet drzwi otwarły się aż huknęło i do środka wszedł lokaj hrabiego d'Argenson i krzyknął tak, jak potrafią krzyzczeć tylko lokaje, że chce pięć flakoników nowego pachnidła, i Chenier jeszcze przez kwadrans drżał z nabożnego lęku, bo hrabia d'Argenson był intendentem oraz ministrem wojny Jego Królewskiej Mości i najbardziej wpływową osobistością w Paryżu.

Podczas gdy w sklepie Chenier musiał samotnie stawiać czoło klientom, Baldini ze swym nowym uczniem zamknął się w warsztacie. Przed Chenierem usprawiedliwił tę okoliczność fantastyczną teorią, którą nazwał „podziałem pracy i racjonalizacją”. Latami - tłumaczył patrzył cierpliwie, jak Pelissier i jemu podobni osobnicy mający w pogardzie dobre obyczaje cechowe zabierają mu klientelę i psują interesy. Ale teraz dość. Jego pobłażliwość wyczerpała się. Przyjmuje wyzwanie i zamierza pobić tych bezczelnych parweniuszy, i to ich własną bronią: co sezon, co miesiąc, a jeśli trzeba, to i co tydzień, będzie z triumfem wypuszczał nowe pachnidła, i to jakie! Rozwinie w całej pełni swoje twórcze możliwości. W tym celu zaś musi sam - korzystając jedynie z usług niewykwalifikowanego pomocnika - poświęcić się wyłącznie i w całości produkowaniu

pachnidła, podczas gdy Chenier ma oddać się wyłącznie ich sprzedawaniu. Tą nowoczesną metodą zainaugurują nowy rozdział w dziejach przemysłu perfumeryjnego, zmiotą konkurencję i staną się bezmiernie bogaci - tak, całkiem świadomie i wyraźnie używa liczby mnogiej, zamierza bowiem swego długoletniego, zasłużonego czeladnika przypuścić do udziału w tych bezmiernych bogactwach, na określony procent.

Jeszcze kilka dni temu Chenier wzięłby podobne wypowiedzi z ust swego mistrza za objaw rozpoczynającego się starczego obłądzenia. „Dojrzał już do Charite - pomyślałby - jeszcze trochę, a na dobre odstawi tłuczki i mózdzierze”. Ale teraz wcale tak nie myślał. Miał po prostu za dużo do roboty. Miał tyle do roboty, że wieczorem ze zmęczenia ledwo był w stanie opróżnić nabitą kasę i odprowadzić swoją część. Nie śniło mu się nawet doszukiwać się czegoś podejrzanego w fakcie, że Baldini niemal co dzień wychodził ze swej pracowni z jakimś nowym pachnidłem.

I cóż to były za pachnidła! Nie tylko wysokiej, najwyższej klasy perfumy, ale także kremy, pudry, mydła, płyny do włosów, wody, olejki... Wszystko, musiało pachnieć, pachniało teraz inaczej, inaczej niż kiedykolwiek. I publiczność rzucała się na wszystko, ale to naprawdę na wszystko, nawet na nowego rodzaju pachnące wstążki do włosów, które pewnego dnia stworzył dziwaczny kaprys Baldiniego ceny nie grały roli. Wszystko, co Baldini produkował, odnosiło sukces. I był to sukces tak obezwładniający, że Chenier przyjął

to jak jakieś zjawisko przyrodnicze i nie pytał o przyczyny. Żeby na przykład ów nowy terminator, niezdarny gnom, który sypiał jak pies w warsztacie i którego czasem, gdy mistrz wychodził, można było widzieć, jak stoi w głębi i wyciera słoje albo czyści moździerze - żeby ten nieciekawy zupełnie osobnik miał coś wspólnego z bajecznym rozkwitem firmy, Chenier nie uwierzyłby, nawet gdyby mu to powiedziano.

Tymczasem gnom miał z tym dużo wspólnego, bo po prostu wszystko. To, co Baldini zanosił do sklepu i przekazywał Chenierowi do sprzedania, stanowiło jedynie ułamek tego, co Grenouille produkował za zamkniętymi drzwiami warsztatu. Baldini nie nadszedł wprost z wachaniem. Niekiedy sprawiało mu prawdziwą mękę dokonać wyboru między wspaniałościami wychodzącymi spod ręki Grenouille'a. Ten czarodziejski uczeń mógłby zaopatrzyć w receptury wszystkich perfumiarzy Francji; nie powtarzając się, nie tworząc nic mniej wartościowego czy wręcz przeciętnego. To jest w receptury, czyli w formuły Grenouille nie mógłby nikogo zaopatrzyć, albowiem zrazu komponował swoje aromaty w ów chaotyczny i zgoła nieprofesjonalny sposób, znany już Baldiniemu, mianowicie na pozór bezładnie łączył i mieszał rozmaite ingrediencje. Aby móc tę wariacką procedurę nie tyle kontrolować, co przynajmniej pojąć, Baldini zażądał któregoś dnia, by Grenouille, nawet jeśli uważa to za niepotrzebne, przy sporządzaniu swoich mieszanin posługiwał się wagą, menzurką i pipetką, ponadto, by

nauczył się wreszcie traktować alkohol nie jako substancję zapachową, ale jako środek rozcieńczający, który dodaje się dopiero na końcu; wreszcie, by na miłość Boską zechciał pracować powoli, spokojnie i powoli, tak jak przystoi rzemieślnikowi.

Grenouille usłuchał. I po raz pierwszy Baldini był w stanie nadażyć za poszczególnymi czynnościami czarodzieja oraz je zapisać. Siadał z piórem i kartką papieru obok Grenouille'a i, wciąż nakłaniając go do powolności, notował, ile gramów tego, ile miarek tamtego i ile kropli owego wędruje do kolby. W ten osobliwy sposób, analizując procedurę za pomocą środków, bez których uprzedniego zastosowania procedura ta w ogóle nie powinna być możliwa, Baldini zdołał wreszcie osiąść syntetyczny przepis. Jak Grenouille bez tego przepisu potrafił mieszać swoje pachnidła, pozostało dla Baldiniego nadal zagadką, czy raczej cudem, ale przynajmniej zdołał ów cud sprowadzić do formuły, co usatysfakcjonowało poniekąd jego łaknącą regulek duszę i uratowało jego perfumistyczny obraz świata od kompletnego rozpadu. Stopniowo wyciągał od Grenouille'a receptury wszystkich pachnideł, jakie ten dotychczas wymyślił, a nawet pozwalał mu sporządzać nowe zapachy tylko wtedy, gdy on sam, Baldini, asystował temu z piórem i kartką papieru, śledził cały proces argusowymi oczyma i dokumentował go krok po kroku. Swoje zapiski - wkrótce całe tuziny receptur przenosił potem mozolnie kaligraficznym pismem do dwóch osobnych kajecików,

z których jeden przechowywał w ogniotrwałej kasetce, a drugi stale nosił przy sobie i nie rozstawał się z nim nawet we śnie. To dawało mu poczucie bezpieczeństwa. Albowiem teraz, gdy zechciał, mógł sam odtwarzać cuda Grenouille'a, które, gdy oglądał je po raz pierwszy, wywierały na nim ogromne wrażenie. Sądził, iż mając ów zbiór pisemnych formuł potrafi poskromić straszliwy chaos twórczy, tryskający z terminatora. Również fakt, że uczestniczył w tych aktach kreacji już nie tylko jako zdumiony widz, ale jako obserwator i rejestrator, wpływał na Baldiniego uspokajająco i wzmacniał jego wiarę we własne siły. Po jakimś czasie uwierzył, że sam wnosi niemały wkład w dzieło tworzenia niebiańskich woni. A gdy wpisał je do kajecika i umieścił bezpiecznie w skrytce oraz na własnej piersi, nie mógł już wątpić, iż są to jego własne formuły. Ale również Grenouille skorzystał na dyscyplinie narzuconej mu przez Baldiniego. Jemu samemu nie było to wprawdzie potrzebne. Nigdy nie musiał zaglądać do przepisu, aby po tygodniu czy miesiącu zrekonstruować jakieś perfumy, nie zapominał bowiem zapachów. Ale wskutek przymusowego posługiwania się menzurką i wagą nauczył się języka perfumerii, a czuł instynktownie, że znajomość tego języka może być dlań użyteczna. W niespełna parę tygodni nie tylko opanował nazwy wszystkich substancji aromatycznych w warsztacie Baldiniego, ale potrafił także sam zapisać formułę własnych perfum oraz odwrotnie, cudze formuły i instrukcje zamieniać w perfumy i inne

pachnidła. Mało tego! Raz nauczywszy się, jak wyrażać swoje perfumistyczne koncepty w gramach i kroplach, nie potrzebował już pośredniego szczebla eksperymentów. Gdy Baldini polecał mu stworzyć nowe pachnidło, powiedzmy - do perfumowania chusteczek, do wyrobu saszetek czy szminek, Grenouille nie chwycił już za flakoniki i proszki, ale po prostu siadał przy biurku i od razu wypisywał formułę. W drodze od własnych wewnętrznych wyobrażeń zapachowych do gotowego pachnidła nauczył się zahaczać o formuły. Dla niego była to droga określona. Ale w oczach świata, to znaczy w oczach Baldiniego, był to postęp. Cuda Grenouille'a nie utraciły przez to mocy. Jednak dzięki recepturom, w które je teraz zaopatrywał, cuda te przestały być straszne, a to było korzystne. Im lepiej Grenouille opanowywał rzemieślnicze sztuczki i sposoby, im normalniej umiał się posługiwać konwencjonalnym językiem perfumerii, tym mniej bał się go mistrz i tym mniejszą żywił wobec niego podejrzliwość. Niebawem Grenouille wydawał mu się wprawdzie nadal człowiekiem niezwykle uzdolnionym węchowo, ale już nie drugim Frangipanem albo zgoła czarnoksiężnikiem, a Grenouille'owi było to na rękę. Fachowe maniery służyły mu w charakterze maski. Usypiał niejako Baldiniego wzorową skrupulatnością przy ważeniu składników, przy potrząsaniu kolbą, przy skrapianiu białej chusteczki probierczej. Umiał nią strzepywać i przesuwając pod nosem już niemal równie zręcznie i elegancko jak sam mistrz. I sporadycznie, w

dobrze odmierzonych odstępach czasu popełniał błędy tego rodzaju, by Baldini musiał je dostrzec: zapominał o precedencji, źle ustawiał wagę, wypisywał w jakiejś formule bezsensownie wysoki procent tynktury ambrowej... i pozwalał, by mu wytknięto błąd, aby go zaraz sumiennie skorygować. Dzięki temu udawało mu się ukołysać Baldiniego złudzeniem, że koniec końców wszystko jest w porządku. Nie chciał zresztą starego wcale oszukiwać. Chciał się od niego naprawdę czegoś nauczyć. Nie mieszania pachnideł, nie samego komponowania zapachów - jasne, że nie! W tej dziedzinie nie było nikogo, kto mógłby go czegoś nauczyć, a dostępne w składzie Baldiniego składniki nie wystarczyłyby, aby zrealizować jego wyobrażenia o naprawdę wybitnych perfumach. To, co mógł zrobić u Baldiniego, było igraszką w porównaniu z aromatami, jakie nosił w sobie i jakie zamierzał kiedyś urzeczywistnić. Do tego jednak - tyle już wiedział - musiały być spełnione dwa warunki: po pierwsze, pozory mieszczańskiej egzystencji; przynajmniej stopień czeladniczy, co pozwoli mu bezpiecznie oddawać się własnym namiętnościom i spokojnie dążyć do własnych celów. Po drugie - znajomość fachowych reguł sporządzania, wyodrębniania, koncentrowania i przechowywania substancji zapachowych, dzięki czemu dopiero substancje te stawały się zdatne do wyższego użytku. Albowiem Grenouille posiadał wprawdzie najlepszy nos na świecie, zarówno w sensie

analitycznym jak wizjonerskim, ale nie posiadał jeszcze umiejętności technicznego panowania nad zapachami.

18

Tak więc skwapliwie pozwalał się wprowadzać w sztukę gotowania mydła ze świńskiego smalcu, szycia irchowych rękawiczek, sporządzania pudru z pszennej mąki, kleiku migdałowego i sproszkowanego korzenia fiołkowego. Toczył aromatyczne świece z węgla drzewnego, saletry i wiórków drzewa sandałowego. Kręcił wschodnie pastylki z mirry, benzoesu i proszku bursztynowego. Ugniatał kadzidło, szelak, wetiwer i cynamon w pachnące przy spalaniu kuleczki. Przesiewał i ucierał *poudre imperiale* z mielonych płatków róży, kwiatu lawendy i kory kaskarilli. Wyrabiał bielidło oraz błękitną barwiczkę do malowania żyłek i formował tłuste sztyfty do karminowania warg. Przygotowywał najdelikatniejsze proszki do polerowania paznokci i kredę do zębów o smaku miętowym. Fabrykował płyn do karbowania peruk, maść na odciski, płyn wybielający piegi, wyciąg z belladonny na oczy, balsam z muchy hiszpańskiej dla panów i ocet higieniczny dla pań... Uczył się sporządzać wszelkie wody, wódki, proszki, proszeczki, środki toaletowe i upiększające, a także mieszanki herbaciane i korzenne, likiery, marynaty i tym podobne, jednym słowem - bez większego zainteresowania, ale posłusznie i z dobrym skutkiem uczył się wszystkiego, czego tylko Baldini ze swoją tradycyjną wiedzą mógł go nauczyć.

Szczególny zapach wykazywał natomiast wówczas, gdy Baldini szkolił go w sporządzaniu tynktur, wyciągów i esencji. Mógł niestrudzenie wyciskać gorzkie migdały w prasie śrubowej albo rozgniatać ziarna piżma, albo siekać tasakiem bryłki ambry, albo trzeć korzeń fiołkowy, aby potem wytrawić wiórki w najstaranniej oczyszczonym alkoholu. Uczył się używać lejka rozdzielczego, którym wyodrębniało się czysty olejek, tłoczony ze skórek limonów, od mętnego osadu. Uczył się suszyć zioła i kwiaty na ruszcie w zacienionym, ogrzanym miejscu, i konserwować szeleszczące płatki w zapieczętowanych woskiem słojach i puzderkach. Przyswajał sobie umiejętność płukania pomad, nastawiania, cedzenia, koncentrowania, klarowania i rektyfikowania infuzji.

Oczywiście warsztat Baldiniego nie nadawał się do fabrykowania olejków kwiatowych albo roślinnych na wielką skalę. W Paryżu nie znalazłoby się zresztą niezbędnych ilości świeżych kwiatów. Niekiedy jednak, gdy na targu można było niedrogo dostać świeży rozmaryn, szałwię, miętę czy anyżek, albo jeśli nadeszły większe transporty kłaczy irysa, korzenia waleriany, kminku, gałki muskatołowej czy suszonych goździków, w Baldinim odzywała się żyłka alchemika, wydobywał swój potężny alembik, miedziany kociołek do destylacji z nasadzonym na górze naczyniem kondensującym - tak zwaną „głowę Maura”, która, jak Baldini z dumą obwieszczał, służyła mu już czterdzieści lat temu na południowych zboczach Ligurii albo na

wyżynach Luberonu, gdy pod gołym niebem, wprost na polu, destylował lawendę. I podczas gdy Grenouille rozdrabniał materiał do destylacji, Baldini z gorączkowym pośpiechem - ponieważ szybkość była alfą i omegą całego przedsięwzięcia - rozpałał ogień pod ceglanym paleniskiem i stawiał na nim kociołek, nalawszy doń wody. Wrzucał do środka cząstki roślin, prędziutko nakładał głowę Maura o podwójnych ściankach i *przyłączał* dwa węże, jeden odprowadzający, drugi doprowadzający wodę. Ten wyrafinowany system chłodzenia wodą - objaśniał - wbudował dopiero później, gdyż swego czasu na polu chłodziło się kociołek po prostu wprawiając w ruch powietrze. Potem dmuchał w ogień.

W kociołku poczynało się z wolna gotować. I po chwili, najpierw opornymi kroplami, potem cieniutkim jak nitka strumyczkiem destylat ściekał trzecią rurką z głowy Maura do florenckiej flaszki, którą Baldini umieszczał pod spodem. Najpierw wyglądał niepozornie, jak wodnista, mętna zupa. Ale stopniowo, zwłaszcza gdy pełna flaszka została wymieniona na nową i odstawiona na bok, ciecz rozdzielała się na dwie różne substancje: dołem osadzała się woda kwiatowa albo ziołowa, górą unosiła się gruba warstwa olejku. Jeśli teraz dolnym kurkiem florenckiej flaszki odsączyło się ostrożnie wodę kwiatową, o nikłym tylko zapachu, pozostawał sam olejek, czysta esencja, wydobyta z rośliny zasada zapachu.

Grenouille był zafascynowany tym procesem. Jeśli w ogóle coś mogło go wprowadzić w entuzjazm - wprowadzić w entuzjazm na zewnątrz niewidoczny, a tylko ukryty, jak *gdyby* zimny płomień entuzjazmu - to właśnie owa procedura polegająca na tym, by za pomocą ognia, wody, pary i wymyślnej aparatury wydrzeć z rzeczy ich aromatyczną duszę. Owa aromatyczna dusza lotny olejek - stanowiła ich najlepszą cząstkę i same rzeczy były dla Grenouille'a interesujące tylko ze względu na nią. Cała reszta: kwiaty, liście, łupinki, owoc, barwa, uroda, żywość i wszystkie te inne niepotrzebne atrybuty nic go nie obchodziły, były tylko otoczką i zbędnym balastem. Do wyrzucenia.

Od czasu do czasu, kiedy destylat stawał się wodniste klarowny, zdejmowali alembik z ognia, otwierali go i wytrząsali rozgotowaną zawartość. Była oklapła i blada jak rozmiękła słoma, jak pobieleła kości ptasie, jak zbyt długo gotowane jarzyny, amorficzna, rozmazana, całkiem niepodobna do pierwotnego surowca, w obrzydliwy sposób przypominała zwłoki i była niemal w zupełności pozbawiona własnego zapachu. Wyrzucali to przez okno do rzeki. Potem umieszczali w kociołku świeże rośliny, dolewali wody i ponownie stawiali na ogniu. I kociołek znowu po chwili zaczynał perkotać, i żywotny sok roślin znowu ściekał do florenckiej flaszki. Często trwało to całą noc. Baldini doglądał paleniska, Grenouille nie spuszczał oczu z butli - w czasie, jaki upływał między jedną a drugą wymianą zawartości kociołka, nie było nic innego do roboty.

Siedzieli na stołkach przy ogniu, ze wzrokiem hipnotycznie przykutym do nieforemnego baniaka, obydwaj urzeczeni, choć z bardzo różnych powodów. Baldini rozkoszował się żarem ognia i migotliwym, czerwonym blaskiem płomieni i miedzi, lubił trzask płonąjących drewek, gulgotanie alembiku - bo to było tak jak kiedyś. Doprawdy, człowiek popadał w rozmarzenie! Baldini przynosił ze sklepu butelkę wina, gdyż skutek gorąca czuł pragnienie, a zresztą picie wina też było elementem dawnych czasów. A potem zaczynał opowiadać historie o dawnych czasach, bez końca. O wojnie o sukcesję hiszpańską, w której wziął niemały udział walcząc przeciwko Austriakom; o kamizardach, wespół z którymi najeżdżał Sewenny; o córce pewnego hugonota w Esterel, która uległa mu, odurzona zapachem lawendy; o pożarze lasu, którego wtedy o mało co nie spowodował, a który jak amen w pacierzu ogarnąłby całą Prowansję, bo akurat wiał potężny mistral; i opowiadał o destylowaniu, wciąż na nowo, o destylowaniu pod gołym niebem, nocą, przy blasku księżyca, przy winie i graniu cykad, i o olejku lawendowym, jaki wówczas produkował, tak subtelnym i mocnym, że był na wagę srebra; o latach nauki w Genui, o latach wędrówki i o mieście Grasse, gdzie jest tylu perfumiarzy, co w innych miastach szewców, a tak są bogaci, że żyją jak książęta, we wspaniałych domach z cienistymi ogrodami i tarasami oraz pokrytymi boazerią jadalniami, gdzie jada się złotymi sztucami na porcelanowej zastawie i tak dalej...

Takie historie opowiadał stary Baldini i popijał przy tym wino, i pod wpływem wina, żaru ognia i podniecenia, w jakie wprawiały go jego własne dzieje, dostawał purpurowych wypieków na policzkach. Grenouille zaś, który siedział dalej od blasku ognia, wcale nie słuchał. Nie interesowały go dawne dzieje, interesowała go wyłącznie nowa metoda. Nieprzerwanie wpatrywał się w rurkę u szczytu alembika, z której wyciekała cieniutka nitka destylatu. I tak wpatrzony wyobrażał sobie, że on sam jest takim alembikiem, w którym pętkocze tak jak w tym tutaj i z którego wycieka destylat, tak jak tutaj, tylko lepszy, oryginalniejszy, bardziej niezwykły, destylat owych przewspaniałych roślin, które hodował we własnym wnętrzu, które w nim kwitły, które on tylko wachał i które swym niepowtarzalnym zapachem mogły zmienić świat w wonny ogród rajski, gdzie on sam mógłby wieść egzystencję pod względem olfaktorycznym całkiem znośną: Być wielkim alembikiem, który zalewa świat własnej produkcji destylatami - oto o czym marzył Grenouille.

Gdy jednak Baldini, podochocony winem, opowiadał coraz bardziej rozwlekle o tym, jak to niegdyś bywało, i coraz namiętniej pogrążał się we własnych marzeniach, Grenouille szybko porzucił swoje dziwaczne fantazje. Odpędzał rojenia o wielkim alembiku i zamiast tego zastanawiał się, jak wykorzystać nowo zdobyte umiejętności dla urzeczywistnienia bliższych celów.

Nie minęło wiele czasu, a Grenouille stał się specjalistą w dziedzinie destylacji. Stwierdził - a jego nos pomógł

mu w tym więcej niż reguły Baldiniego - że jakość destylatu zależy przede wszystkim od temperatury ognia. Każda roślina, każdy kwiat, każde drzewo i każdy owoc oleisty wymagały odrębnej procedury. Czasem trzeba było doprowadzać dekolt do maksymalnego parowania, czasem powinien tylko równomiernie bulgotać, a niektóre kwiaty dawały z siebie to, co miały najlepszego, wtedy gdy pociły się powolutku na najmniejszym ogniu.

Równie ważna była wstępna obróbka surowca. Miętę i lawendę można było destylować całymi wiązkami. Inne kwiaty trzeba było wpierw delikatnie przebrać, oskubać płatki, posiekać, rozetrzeć albo zgoła zrobić z nich zacier, zanim powędrowały do miedzianego kociołka. Niektóre zaś w ogóle nie dawały się destylować i to napawało Grenouille'a bezmiernym rozgoryczeniem.

Baldini, widząc, jak sprawnie Grenouille daje sobie radę z całą aparaturą, pozostawił mu wolną rękę co do używania alembika i Grenouille obficie korzystał z tej swobody. Jeżeli za dnia mieszał perfumy oraz sporządzał inne artykuły aromatyczne i korzenne, to nocami zajmował się wyłącznie tajemniczą sztuką destylowania. Jego plan polegał na tym, by wyprodukować zupełnie nowe substancje aromatyczne i dzięki temu móc wytworzyć przynajmniej kilka spośród zapachów, jakie nosił we własnym wnętrzu. Zrazu odnosił nawet drobne sukcesy. Udało mu się otrzymać olejek z kwiatów pokrzywy i z nasion rzeżuchy, wodę ze świeżo obranej kory dzikiego bzu i z gałęzi cisu.

Destylaty wprawdzie zapachem ledwo przypominały substancje wyjściowe, niemniej jednak były dość interesujące, aby poddać je dalszej obróbce. Ale w niektórych przypadkach procedura kompletnie zawodziła. Grenouille próbował na przykład wydestylować zapach szkła, gliniasto-chłodny zapach gładkiego szkła, którego normalni ludzie w ogóle nie zauważają. Zgromadził szkło okienne i butelkowe, przeprowadzał operacje na dużych taflach, na odłamkach,

na szkłe drobno potłuczonym, wreszcie w formie proszku - bez najmniejszego rezultatu. Destylował mosiądz, porcelanę i skórę, ziarno i żwir. Destylował zwyczajną ziemię. Destylował krew, drewno i świeże ryby. Destylował swoje własne włosy. Na koniec destylował nawet wodę, wodę z Sekwany, której swoisty zapach wydał mu się wart utrwalenia. Sądził, że za pomocą alembika zdoła wydrzeć tym substancjom ich charakterystyczny zapach, tak jak wydobywał zapach z tymianku, lawendy i nasion kminku. Nie wiedział, że destylacja jest po prostu metodą rozkładania mieszanych substancji na cząstki lotne i mniej lotne, i że w dziedzinie perfumerii użyteczna jest tylko o tyle, o ile może oddzielić eteryczny olejek niektórych roślin od ich cząstek bezwonnych albo słabo pachnących. W przypadku substancji, które nie zawierają owego eterycznego olejku, procedura destylacji nie ma najmniejszego sensu. Dla nas, ludzi współczesnych, posiadających fizykalne wykształcenie,

jest to rzecz oczywista. Dla Grenouille'a jednak wiedza ta była mozolnie uzyskanym rezultatem niezliczonych bezowocnych prób. Przez długie miesiące noc w noc siadywał przy alembiku i próbował na wszelkie sposoby otrzymać w drodze destylacji zupełnie nowe zapachy. Zapachy, jakich w formie skondensowanej na świecie dotąd nie było. Ale poza kilkoma nędznymi olejkami roślinnymi nic z tego nie wyszło. Z głębokiej, przeobfitej studni swej wyobraźni nie wydobył ani kropli konkretnej esencji aromatycznej, nie zdołał zrealizować ani atomu z tego, co mu się olfaktorycznie majaczyło. Kiedy zdał sobie sprawę z porażki, zaprzestał prób i poważnie zachorował..

Dostał wysokiej gorączki, której pierwszego dnia towarzyszyły poty, a następnie, jak gdyby skórze zabrakło porów, liczne wypryski. Ciało Grenouille'a pokryło się czerwonymi pęcherzami. Niektóre z nich pękały i wydzielały swoją wodnistą zawartość, aby zaraz na nowo spęcznieć. Inne rozrastały się w prawdziwe wrzody, nabrzmiwały czerwono, otwierały się jak kratery i tryskały gęstą ropą oraz zmieszaną z żółtym śluzem krwią. Niebawem Grenouille wyglądał jak ukamienowany od wewnątrz męczennik, broczący setką ran.

Baldini naturalnie zmartwił się mocno. Byłoby mu bardzo przykro utracić cennego terminatora akurat w momencie, gdy szykował się rozszerzyć swoją handlową działalność poza obręb stolicy, ba - nawet poza granice kraju. Albowiem rzeczywiście coraz

częściej zamówienia na owe całkiem nowe pachnidła, za którymi szalał Paryż, napływały nie tylko z prowincji, ale także z dworów zagranicznych; i Baldini nosił się z zamiarem założenia na Przedmieściu Saint-Antoine filii, prawdziwej małej manufaktury, gdzie najbardziej poszukiwane perfumy byłyby sporządzane hurtowo i hurtowo rozlewane do małych ślicznych flakoników, pakowane przez śliczne małe dziewczątka i rozsyłane do Holandii, Anglii i Rzeszy niemieckiej. W przypadku rzemieślnika osiadłego w Paryżu takie przedsięwzięcie nie było całkiem legalne, ale wszak Baldini od niedawna cieszył się wysoką protekcją, a to dzięki swym wyrafinowanym perfumom, nie tylko protekcją intendenta, ale również osobistości tak ważnych jak sam pan dzierżawca ceł paryskich albo członek królewskiego gabinetu finansów oraz opiekun kwitnących ekonomicznie przedsiębiorstw, pan Feydeau de Brou. Ten ostatni zarysował przed Baldinim nawet perspektywę przywileju królewskiego, niczego lepszego zaś nie można było sobie życzyć, przywilej był bowiem czymś w rodzaju wytrycha pozwalającego obejść wszelką państwową i stanową kuratelę, oznaczał koniec wszelkich trosk związanych z prowadzeniem firmy i wieczystą gwarancją bezpiecznego, niewzruszonego dobrobytu.

Baldini żywił w sobie i hołubił jeszcze inny plan, poniekąd przeciwny wobec projektu manufaktury na Przedmieściu Saint-Antoine, która miała produkować towar jeśli nie masowy, to w każdym razie dla

wszystkich dostępny: myślał mianowicie o tym, by dla wybranej liczby lepszych i najlepszych klientów produkować, a raczej kazać produkować osobiste perfumy, które tak jak ubrania szyte na miarę pasowałyby tylko do jednej osoby, mogłyby być używane tylko przez nią i nosiłyby jej dostojne imię. Wyobrażał sobie na przykład „Perfumy Markizy de Cernay”, „Perfumy Pani Marszałkowej de Villars”, „Perfumy Księcia d'Aguillon” i tak dalej. Marzył o „Perfumach Markizy de Pompadour”, ba - wręcz o „Perfumach Jego Królewskiej Mości”, w kunsztownie szlifowanym flakoniku z agatu, o cyzelowanej złotej oprawce, z wygrawerowanym od spodu napisem „Giuseppe Baldini, perfumiarz”. Imię króla i jego własne imię umieszczone na jednym i tym samym przedmiocie. Do tak wspaniałych wizji posuwał się zuchwale Baldini! A tu tymczasem Grenouille się rozchorował. Choć przecież Grimal, świeć, Panie, nad jego duszą, zaklinał się, że nigdy nic mu nie jest, że wszystko wytrzyma, nie ruszy go nawet czarna dżuma. I masz, ni stąd, ni zowąd chłopak jest śmiertelnie chory. A gdyby tak umarł? Groza! Wraz z nim trzeba by pogrzebać cudowne plany o manufakturze, ślicznych malutkich dziewczątka, przywileju i perfumach króla jegomości.

Baldini postanowił tedy popróbować wszelkich środków dla ratowania cennego życia swego ucznia. Zarządzi, by przeniesiono go z pryczy w warsztacie do czystego, schludnego łóżka na pierwszym piętrze. Kazał zaścić łóżko adamaszkową bielizną. Własnoręcznie

pomagał wnieść chorego po wąskich schodkach, chociaż pęcherze i otwierające się wrzody napępniały go bezmierną odrazą. Polecił swojej żonie przyrzadzić dlań polewkę z kury na winie. Posłał po najbardziej wziętego lekarza w dzielnicy, niejakiego Procope'a, któremu trzeba było płacić z góry - dwadzieścia franków! - żeby się w ogóle raczył pofatygować.

Doktor przyszedł, szpiczastymi palcami uniósł prześcieradło, rzucił okiem na ciało Grenouille'a, które wyglądało, jakby przeszła przez nie setka kul, i opuścił pokój, nie otworzywszy nawet swego neseseru, który stale nosił za nim jego asystent. Przypadek - począł objaśniać Baldiniemu - jest zupełnie jasny. Mamy do czynienia z syfilityczną odmianą czarnej ospy, połączonej z ropną odrą *in stadio ultimo*. Wszelka terapia byłaby zbędna już choćby dlatego, że gdy ciało ulega rozkładowi i bardziej przypomina zwłoki niż żywy organizm, nie można wedle reguł sztuki posłużyć się lancetem do puszczania krwi. I jakkolwiek charakterystyczny dla przebiegu choroby morowy odór jeszcze nie występuje co zresztą jest dziwne i stanowi niejakie *curiosum* z czysto naukowego punktu widzenia - to zgon w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin nie ulega wątpliwości, za to *doctor* Procope ręczy. Następnie kazał sobie wypłacić drugie dwadzieścia franków za odbytą wizytę i rokowanie - z czego pięć franków do zwrotu, jeżeli przekaże mu się trupa z klasycznymi objawami dla celów demonstracji - oraz poleciał swoje usługi na przyszłość:

Baldini stracił panowanie nad sobą. Lamentował głośno i krzyczał z rozpaczy. Gryzł palce ze złości na swój los. Znowu popsuto mu widoki fenomenalnego sukcesu, gdy był już tuż-tuż u celu. Najpierw pojawił się Pelissier i jego kompani z tymi swoimi wynalazkami. Teraz znowu to chłopaczysko, noszące w sobie niewyczerpane zasoby nowych zapachów, ten mały gówniarz wart więcej złota, niż sam waży, akurat teraz, w fazie rozbudowy przedsiębiorstwa, musiał dostać syfilitycznej ospy i ropnej odry *in stadio ultimo!* Akurat teraz! Czemu nie za dwa lata? Czemu nie za rok! Do tego czasu można by go wyeksploatować do ostatka, jak kopalnię srebra, jak złotego osła. Za rok mógłby sobie spokojnie umierać. Ale nie. Musi umierać już, teraz, niech to wszyscy diabli, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin!

Baldiniemu przyszło do głowy, że może warto by wybrać się z pielgrzymką do Notre-Dame, zapalić świeczkę i wybłagać u Najświętszej Paniienki wyzdrowienie dla Grenouille'a. Ale potem zarzucił tę myśl, gdyż po prostu nie było już na to czasu. Pobiegł po pióro i papier, a potem wygonił żonę z pokoju chorego. Już on sam będzie przy nim czuwał, powiedział. Następnie zasiadł na stołku przy łóżku, z notatnikiem na kolanach; z ociekającym atramentem piórem w ręce i usiłował nakłonić Grenouille'a do perfumistycznej spowiedzi. Na Boga, nie chce chyba, by skarby, jakie nosi w swym wnętrzu, przepadły bez śladu razem z nim! Niechże w tej ostatniej godzinie złoży swój

testament w pewne ręce, aby nie pozbawiać potomności najwspanialszych pachnideł wszechczasów! On, Baldini, będzie niezawodnie zarządzał tym testamentem, tym kanonem najbardziej subtelnych aromatów i pozwoli mu zakwitnąć. Opromieni imię Grenouille'a nieśmiertelną sławą, najlepsze z pachnideł - przysięga na wszystkie świętości - złoży osobiście u stóp króla, w agatowym flakonie ze złotym cyzelunkiem i wygrawerowaną dedykacją „Od Jana Baptysty Grenouille'a, perfumiarza w Paryżu”. Oto, co mówił, a raczej szeptał Grenouille'owi do ucha Baldini, zaklinająco, błagalnie, przypoehlebnie i bez chwili przerwy.

Wszystko na próżno. Z Grenouille'a wydobywała się jedynie wodnista limfa i krwawa ropa. Leżał niemo na adamaszkach i wydzielał z siebie te obrzydliwe soki a nie chciał udzielić nic ze swych skarbów, ani źdźbła wiedzy, ani jednej formuły zapachu. Baldini gotów byłby go udusić, zabić, wytrząsnąć z tego umierającego ciała cenne tajemnice, gdyby tylko miał nadzieję, że coś z tego będzie... i gdyby nie stało to w tak jaskrawej sprzeczności z jego wyobrażeniami o chrześcijańskiej miłości bliźniego.

Toteż dalej rozpływał się w najśłodszych słówkach, czule głaskał chorego, wilgotnym ręcznikiem - choć kosztowało go to niemało samozaparcia - ocierał mu mokre od potu czoło i rozżarzone wulkany wrzodów, łyżeczką wlewał do ust wino, aby rozwiązać mu język, i tak przez całą noc - na próżno. O świcie dał za wygraną.

Padł wyczerpany na krzesło w drugim kącie pokoju i patrzył, już bez wściekłości, tylko ze spokojną rezygnacją, na niepozorne, dogorywające ciało Grenouille'a, którego nie mógł już uratować ani ograbić, z którego nie mógł już nic dla siebie wycisnąć, którego konaniu mógł się już tylko beczynnie przyglądać, jak kapitan patrzy na katastrofę statku, wraz z którym idzie na dno cała jego fortuna.

Wtem wargi umierającego rozwarły się i Grenouille głosem, którego wyrazistość i siła w niczym nie pozwalały się domyślać bliskiego zgonu - wyrzekł:

- Niech pan powie, mistrzu, czy oprócz tłoczenia i destylowania są jeszcze inne sposoby, aby wydobyć zapach z jakiejś substancji?

Baldini, któremu zdawało się, że głos ten dochodzi z jego wyobraźni albo z zaświatów, odpowiedział mechanicznie:

- Tak, są.

- Jakie? - dobiegło z łóżka pytanie, a Baldini przetarł sobie zmęczone oczy. Grenouille spoczywał bez ruchu na poduszkach. Czyżby to się odezwał trup?

- Jakie? - zabrzmiało znowu pytanie i tym razem Baldini dostrzegł, że wargi Grenouille'a poruszyły się. „To już koniec - pomyślał - gotowe, zaczyna się maligna albo agonia”. I wstał, podszedł do łóżka i pochylił się nad chorym. Ten miał otwarte oczy i spoglądał na Baldiniego tym samym, jakby przyczajonym wzrokiem, jakim patrzył na niego przy pierwszym spotkaniu.

- Jakie? - pytał.

Baldini przemógł się w sobie - wszak konającemu nie odmawia się spełnienia ostatniej woli - i odrzekł:

- Jest ich trzy, mój synu: *enfleurage a chaud*, *enfleurage a froid* i *enfleurage a l'huile*. Pod wieloma względami górują nad destylacją, a używa się ich do wydobywania najdelikatniejszych zapachów: jaśminu, róży i kwiatu pomarańczy.

- Gdzie? - zapytał Grenouille.

- Na Południu - odrzekł Baldini. - Głównie w mieście Grasse.

- Dobra - rzekł Grenouille.

I zamknął oczy. Baldini wyprostował się powoli. Był bardzo zgnębiony. *Zabrał* swój notatnik, gdzie nie zapisał ani linijki, i zdmuchnął świecę. Na dworze już dniało. Był zmęczony jak pies. Trzeba było wezwać księdza, pomyślał. Potem prawą ręką nakreślił niedbale znak krzyża i wyszedł.

Ale Grenouille bynajmniej nie umarł. Spał tylko bardzo mocno, śnił i wciągał znowu soki do wewnątrz. Pęcherze na skórze poczęły schnąć, ropne kratery zwierzały się, rany zablizniały. W ciągu tygodnia ozdrowiał.

21

Najchętniej od razu wyruszyłby na Południe, tam gdzie można się było nauczyć nowych technik, o których mówił mu stary. To jednak, rzecz jasna, nie wchodziło w rachubę. Był tylko terminatorem, czyli niczym. Ściśle rzecz biorąc, tłumaczył mu Baldini, gdy przewyciężył

już początkową radość z powodu zmartwychwstania Grenouille'a - ściśle rzecz biorąc był nawet mniej niż niczym, bo do istoty terminatora należy nieskazitelne, mianowicie prawowite pochodzenie, odpowiednia do stanu sieć powiązań rodzinnych i umowa o termin, a tego wszystkiego Grenouille nie ma. Jeżeli on, Baldini, mimo to któregoś dnia pomoże mu uzyskać patent czeladniczy, to tylko z uwagi na niepowszednie zdolności Grenouille'a, nienaganne sprawowanie w przeszłości oraz z własnej nieskończonej dobroci, której on, Baldini, jakkolwiek przymiot ten często *naraża* go na straty, nigdy się nie zaprze.

Na spełnienie tej dobrotliwej obietnicy trzeba było co prawda trochę poczekać, mianowicie bez mała trzy lata. Przez ten czas Baldini z pomocą Grenouille'a urzeczywistnił swoje górne marzenia. Założył manufakturę na Przedmieściu Saint-Antoine, przebił się ze swymi ekskluzywnymi wyrobami u dworu, otrzymał królewski przywilej. Wyrafinowane perfumy Baldiniego sprzedawane były aż w Petersburgu, aż w Palermo, aż w Kopenhadze. Pewien aromat ciężki od woni piżma cieszył się powodzeniem nawet w Konstantynopolu, choć Bóg świadkiem, że mieli tam dosyć własnych pachnideł. W eleganckich kantorach londyńskiego City pachniało perfumami Baldiniego tak samo jak na dworze w Parmie, na Zamku w Warszawie tak samo jak w pałacyku hrabiego von und zu Lippe-Detmold. Baldini, właśnie gdy już się był pogodził z perspektywą nędznej starości pod Messyną, w wieku lat

siedemdziesięciu zrobił karierę niewątpliwie największego perfumiarza Europy i jednego z najbogatszych obywateli Paryża.

Z początkiem 1756 roku - sprawił sobie tymczasem drugi dom na Pont au Change, wyłącznie do mieszkania, albowiem stary dom był dosłownie aż po dach zapchany substancjami aromatycznymi i artykułami korzenny mi - zakomunikował Grenouille'owi, że godzi się go wyzwolić, aczkolwiek pod trzema warunkami: po pierwsze, nie wolno mu żadnych powstałych pod dachem Baldiniego pachnideł w przyszłości a samemu produkować, ani przekazywać ich formuły osobie trzeciej; po drugie, musi opuścić Paryż i za życia Baldiniego nie wolno mu tu powracać; po trzecie zaś, musi zachować dwa pierwsze warunki w absolutnym sekrecie. Miał to zaprzysiąc na wszystkie świętości, na nieszczęsną duszę swojej matki i na swój własny honor.

Grenouille, który ani nie miał honoru, ani nie wierzył w świętości, a najmniej już w duszę swojej nieszczęsnej matki, przysiągł. Przysięgłby na wszystko. Zaakceptowałby każdy warunek Baldiniego, bo chciał mieć ten śmieszny patent czeladniczy, który pozwalał mu żyć bez zwracania niczyjej uwagi, podróżować bez narażania się na ludzkie natręctwo oraz znaleźć zatrudnienie. Reszta nie miała znaczenia. Poza tym - cóż to były za warunki? Nie wracać do Paryża? A po cóż mu Paryż? Znał Paryż do ostatniego śmierdzącego kąta, nosił go zawsze w sobie, posiadał Paryż na własność, już

od lat. Nie produkować pachnideł, które przyniosły Baldiniemu sukces, nikomu nie zdradzać formuły? Jak *gdyby* nie mógł wymyślić tysiąca innych równie dobrych albo lepszych, gdy tylko zechce! Ale wcale nie chciał. Wcale nie zamierzał robić konkurencji Baldiniemu czy któremukolwiek z tych mieszczańskich perfumiarzy. Nie zależało mu na tym, aby zrobić pieniądze na swoim kunszcie, nie chciał nawet żyć ze swojej sztuki, jeżeli da się żyć inaczej. Chciał tylko jednego - uzewnętrznić swoje wnętrze, gdyż uważał, że kryją się tam skarby wspanialsze nad wszystko, co ów zewnętrzny świat miał do zaoferowania. Toteż ograniczenia, jakie narzucił mu Baldini, w niczym Grenouille'a nie ograniczały.

Wyruszył na wiosnę, pewnego majowego dnia, wczesnym rankiem. Otrzymał od Baldiniego niewielki plecak, koszulę na zmianę, dwie pary pończoch, wielkie pęto kiełbasy, końską derkę i dwadzieścia pięć franków. To daleko więcej, niż mu się należy, rzekł Baldini, zwłaszcza że Grenouille nie zapłacił ani solda za gruntowną edukację, jaką otrzymał w jego firmie. Należą mu się od Baldiniego dwa franki na drogę, i nic ponadto. Ale Baldini nie może się wyprzeć swej dobrotliwości ani też głębokiej sympatii, jaką z biegiem lat powziął w sercu dla poczciwego Jana Baptisty. Życzył mu wiele szczęścia na wędrówce i raz jeszcze upomniał z naciskiem, by pamiętał o złożonej przysiędze. Z tymi słowy odprowadził go do wejścia dla dostawców, którym kiedyś go wpuścił, i tu się z rum pożegnał.

Nie podał mu ręki, tak daleko jego sympatia nie sięgała. Nigdy dotąd nie podał mu ręki. Zawsze w ogóle unikał fizycznego kontaktu z Grenouille'em, powstrzymywała go jakaś nabożna odraza, jak gdyby zachodziło niebezpieczeństwo, że się zarazi, zbruka. Wyrzekł tylko krótkie: „Z Bogiem”. A Grenouille skinął głową, przygarbił się i odszedł. Na ulicy było pusto.

Baldini patrzył za nim i widział, jak Grenouille kuśtyka przez most na wyspę, mały, pochylony, dźwigający plecak niczym garb, wyglądający z tyłu na starego człowieka. Przy pałacu Parlamentu, gdzie uliczka zakręcała, stracił go z oczu i uczuł wielką ulgę.

Nigdy nie lubił tego chłopaka, nigdy, teraz nareszcie mógł to sobie szczerze powiedzieć. Przez cały czas, kiedy trzymał go u siebie i eksploatował, było mu jakoś nieswojo. Czuł się jak człowiek nieposzlakowanej opinii, który po raz pierwszy robi coś zakazanego, stosuje w grze niedozwolone chwyt. Zgoda, ryzyko, że się to wykryje, było niewielkie, a szansę wygranej ogromne; ale równie wielkie było napięcie nerwowe i wyrzuty sumienia. W rzeczywistości przez te wszystkie lata dzień w dzień prześladowała go niemiła myśl, że kiedyś przyjdzie mu zapłacić za to, że zadał się z tym człowiekiem. Oby tylko wszystko poszło gładko! - modlił się wciąż z duszą na ramieniu, oby mi się tylko udało zgarnąć plon tej hazardowej afery i nie beknąć za to! Oby mi się tylko udało! Wprawdzie postępuję nieładnie, ale Bóg przymknie oko, na pewno tak zrobi! Nieraz karał mnie dotkliwie bez żadnej przyczyny, więc

byłoby sprawiedliwie, gdyby tym razem poszedł na mały kompromis. Bo na czym właściwie polega moje przestępstwo, jeśli to w ogóle jest przestępstwo? Najwyżej na tym, że ciut wykraczam poza cechowe przepisy, wykorzystując niezwykle uzdolnienia niewykwalifikowanego pomocnika i podając jego osiągnięcia za swoje własne. Najwyżej na tym, że zszedłem troszeczkę z utartej ścieżki rzemieślniczych cnót. Najwyżej na tym, że dziś robię coś, co wczoraj jeszcze potępiałem. Czy to zbrodnia? Inni oszukują przez całe życie. A ja tylko przez parę lat odrobinę cygańłem. I to tylko dlatego, że przypadek dał mi po temu niepowtarzalną sposobność. Może to nawet nie był przypadek, może sam Bóg podesłał mi tego czarodzieja, jako zadośćuczynienie za czasy, gdym cierpiał upokorzenia ze strony Pelissiera i jego kompanii. Może to Boskie zrządzenie wcale nie dotyczy mnie, tylko wymierzone jest przeciwko Pelissierowi. To całkiem możliwe! Bo czyż Bóg byłby w stanie pokarać Pelissiera inaczej niż wywyższając mnie? Tedy moja fortuna byłaby tylko narzędziem Boskiej sprawiedliwości, a w takim razie rue tylko mogę, ale muszę to zaakceptować bez poczucia wstydu i bez najmniejszych wyrzutów sumienia...

Tak sobie często myślał w minionych latach Baldini, rano, gdy schodził wąskimi schodkami do sklepu, wieczorem, gdy opróżniał kasę i przeliczał ciężkie złote i srebrne monety w pancерnej skrytce, i nocą, kiedy spoczywał obok pochrapującego kadłuba żony i strach

w obliczu tak wielkiego szczęścia nie pozwalał mu zasnąć.

Ale teraz nareszcie skończą się te ponure rozmyślenia. Niesamowity gość odszedł i nigdy już nie wróci. A majątek pozostał i jest dobrze zabezpieczony na przyszłość. Baldini przyłożył rękę do piersi i przez materiał surduta wymacał na sercu kajecik. Miał w nim zapisane sześćset formuł, więcej niż mogą zrealizować całe generacje perfumiarzy. Gdyby dziś stracił cały majątek, już sam ten czarodziejski kajecik pozwoli mu odzyskać bogactwa. Zaiste, czy mógłby żądać czegoś więcej?

Ponad szczytami stojących naprzeciwko domów poranne słońce kładło mu się na twarzy żółtymi, ciepłymi plamami. Baldini wciąż jeszcze patrzył w dół ulicy w kierunku Parlamentu, na południe - i postanowił w przypiływie bezbrzeżnej wdzięczności dziś jeszcze wybrać się z pielgrzymką do Notre-Dame, wrzucić sztukę złota do puszeki ofiarnej, zapalić trzy świece i na kolanach podziękować Panu, że zesłał mu takie szczęście.

Ale głupi zbieg okoliczności znowu stanął mu na przeszkodzie, bo po południu, akurat kiedy chciał udać się do kościoła, rozeszła się pogłoska, że Anglicy wypowiedzieli Francji wojnę. W tym zresztą nie było jeszcze nic niepokojącego. Tylko ponieważ Baldini właśnie w tych dniach chciał wyekspediować partię pachnideł do Londynu, odłożył wizytę w Notre-Dame i zamiast tego udał się do miasta, aby zasięgnąć wieści, a

potem do swojej manufaktury na Przedmieściu Saint-Antoine, aby na razie wstrzymać wysyłkę do Londynu. Nocą w łóżku, tuż przed zaśnięciem, przyszła mu do głowy genialna myśl: w związku z mającym nastąpić zatargiem zbrojnym o kolonie w Nowym Świecie wylansuje perfumy o nazwie „Prestige de Quebec”, żywiczo-heroiczny zapach, którego powodzenie - wszak niewątpliwe - wynagrodzi mu z nawiązką niedoszły interes z Anglią. Z tą słodką myślą w starej, głupiej głowie, umościwszy tęże z ulgą na poduszce, spod której uwierał go przyjemnie kajecik z formułami, mistrz Baldini usnął i nigdy w życiu już się nie obudził. W nocy mianowicie nastąpiła mała katastrofa, która, po upływie stosownego czasu, dała asumpt do wyburzenia na rozkaz królewski wszystkich domów na wszystkich mostach Paryża: bez wyraźnej *przyczyny* Pont au Change zapadł się między trzecim a czwartym filarem od zachodniej strony. Dwa domy runęły w wodę tak kompletnie i tak nagle, że nie dało się uratować nikogo z mieszkańców. Na szczęście chodziło tylko o dwie osoby, mianowicie o Giuseppe Baldiniego i jego małżonkę Teresę. Słudzy, za pozwoleniem lub bez pozwolenia chlebodawców, wzięli sobie wychodne. Chenier, który dopiero we wczesnych godzinach porannych lekko zawiany wrócił do domu - a raczej chciał wrócić do domu, bo domu już nie było - przeżył załamanie nerwowe. Przez trzydzieści lat oddawał się oto nadziei, że Baldini, który nie miał dzieci ani krewnych, w testamencie wyznaczy go swoim spadkobiercą. A teraz,

za jednym zamachem, cały spadek zmiotło, wszystko, dom, sklep, surowce, warsztat, samego Baldiniego, ba - nawet testament, który mógłby mu ewentualnie jeszcze otwierać widoki na przejęcie manufaktury!

Niczego nie odnaleziono, ani zwłok, ani kasy pancernej, ani kajecika z sześciuset formułami. Jedyne, co pozostało po Giuseppe Baldinim, największym perfumiarzu Europy, to bardzo mieszany zapach piżma, cynamonu, octu, lawendy i tysiąca innych substancji, które jeszcze przez wiele tygodni niosły się z biegiem Sekwany z Paryża do Hawru.

CZĘŚC DRUGA

23

W chwili, gdy runął dom Giuseppe Baldiniego, Grenouille znajdował się na drodze do Orleanu. Pozostawił za sobą strefę wyziewów wielkiego miasta i z każdym krokiem, który go odeń oddalał, powietrze stawało się przejrzystsze, czystsze i świeższe. Jak gdyby rzedniało. Ustała szaleńcza gonitwa napierających na siebie setek i tysięcy przeróżnych zapachów, te nieliczne zaś, które się tu czuło - zapach piaszczystego gościńca, łąk, ziemi, roślin, wody - unosiły się w powietrzu długimi smugami, z wolna się wzdymały i z wolna zanikały, jeden przechodził łagodnie w drugi.

Grenouille powitał tę prostotę jak wybawienie. Spokojne zapachy mile łechtaly jego nos. Po raz pierwszy w życiu nie groziło mu za każdym oddechem, że zwietrzy coś

nowego, nieoczekiwanego, wrogiego, ani że zgubi trop czegoś przyjemnego. Po raz pierwszy mógł oddychać niemal swobodnie, bez nieustannego przymusu wężenia. Mówimy „niemal” gdyż oczywiście przez nos Grenouille'a nic nie przechodziło naprawdę swobodnie. Zawsze, nawet gdy nie miał po temu najmniejszego powodu, pozostawał w stanie instynktownej czujności wobec wszystkiego, co przychodziło doń z zewnątrz i domagało się wstępu. Przez całe życie, nawet w tych krótkich momentach, kiedy doznawał przelotnych muśnięć satysfakcji, zadowolenia czy zgoła szczęścia, wolał wydychać niż wdychać - wszak rozpoczął też życie nie od pełnego nadziei zaczerpnięcia tchu, ale od morderczego wrzasku. Ale jeśli pominąć to zastrzeżenie, które miało u niego charakter konstytucyjny, Grenouille, w miarę jak oddalał się od Paryża, czuł się coraz lepiej, oddychał coraz lżej, szedł coraz raźniej, a nawet niekiedy zdobywał się na postawę wyprostowaną i z daleka wyglądał prawie jak zwyczajny czeladnik, czyli jak całkiem normalny człowiek.

Ulgę sprawiło mu przede wszystkim oddalenie się od ludzi. W Paryżu na najmniejszej przestrzeni żyło więcej ludzi niż w jakimkolwiek innym mieście świata. W Paryżu żyło jakieś sześćset-siedemset tysięcy ludzi. Tłoczyli się na ulicach i placach oraz wypełniali domy od piwnic po poddasza. Nie było w Paryżu takiego zakamarka, gdzie by się nie roiło od ludzi, nie było skrawka bruku, piędzi ziemi, gdzie by nie pachniało ludźmi.

Dopiero teraz, znalazłszy się już daleko, Grenouille zdał sobie sprawę, że przez osiemnaście lat skłębione wyziewy ludzkie dusiły go jak powietrze przed burzą. Do tej pory myślał zawsze, że męczy go i przytłacza po prostu świat, taki jaki jest, i wobec tego nie pozostaje mu nic innego, jak się temu poddać. Teraz okazało się, że doskwiera mu nie świat, ale ludzie. Wyglądało, że ze światem - ze światem bezludnym - da się żyć.

Trzeciego dnia podróży dostał się w olfaktoryczne pole grawitacji Orleanu. Na długo zanim pojawiły się jakiegokolwiek widome oznaki bliskości miasta, Grenouille zauważył zagęszczenie pierwiastka ludzkiego w powietrzu i postanowił, wbrew swoim pierwotnym zamiarom, że ominie Orlean. Nie chciał, by cuchnąca atmosfera ludzka popsuała mu świeżo zdobytą swobodę oddychania. Okrążył miasto wielkim tukiem, dotarł do Loary pod Chateauneuf i przebył ją pod Sully. Do tego miejsca starczyło mu kiełbasy. Kupił sobie nową i porzucając bieg rzeki ruszył w głąb kraju.

Obchodził teraz z dala nie tylko miasta, ale także wsie. Był jak odurzony coraz bardziej rzedniejącym, coraz bardziej odludnym powietrzem. Gdy potrzebował prowiantu - i tylko wtedy - zbliżał się do jakiejś osady albo samotnie stojącej zagrody, kupował chleb i znowu zapadał w lasy. Po kilku tygodniach nie do zniesienia stały się dlań także spotkania z nielicznymi podróżnymi na bocznych drogach, dokuczał mu pojawiający się sporadycznie zapach wieśniaków, koszących na łąkach pierwsze trawy. Lękliwie schodził z drogi stadom

owiec, nie z powodu zwierząt, ale po to, by ominąć zapach pastucha. Skrecał w pola, nadkładając całe mile, gdy z odległości kilku godzin drogi zwęszył zbliżający się oddział konnych. Nie, iżby - jak inni czeladnicy i włóczędzy - obawiał się, że go skontrolują, zażądają dokumentów albo i wcielą do wojska - nie wiedział nawet, że toczy się wojna - ale wyłącznie dlatego, że wstrętem napawał go zapach jeźdźców. I tak, choć Grenouille nie podjął żadnej wyraźnej decyzji w tej sprawie, jego plan dotarcia najkrótszą drogą do Grasse stopniowo przybladł, sam z siebie; niejako rozwiął się w powietrzu wolności, podobnie jak inne plany i zamysły. Grenouille nie chciał już donikąd dojść, chciał tylko odejść, dokądkolwiek, byle dalej od ludzi. Na koniec wędrował już tylko nocami. W dzień wpełzał w poszycie lasu, spał pod krzakami i w zaroślach, w miejscach możliwie niedostępnych, zwinięty w kłębek jak zwierzę, przykryty z głową burą derką, z nosem wetkniętym pod zgięte ramię i zwróconym ku ziemi, aby żaden, choćby najśłabszy obcy zapach nie zakłócił jego snów. O zachodzie słońca budził się, węszył dokoła i dopiero, gdy wyniuchał z całą pewnością, że ostatni wieśniak zszedł już z pola, a najbardziej śmiały wędrowiec poszukał sobie schronienia przed zapadnięciem ciemności, dopiero gdy noc swymi rzekomymi niebezpieczeństwami wymiotła ziemię z ludzi, Grenouille wyłaził ze swej kryjówki i ruszał dalej. Nie potrzebował światła, żeby widzieć. Także przedtem, gdy jeszcze wędrował za dnia, często całymi godzinami

miał zamknięte oczy i kierował się tylko węchem. Świat oglądany oczami, napierające z zewnątrz jaskrawe obrazy oślepiały go, raziły, sprawiały mu ból. Dogadzało mu tylko światło księżyca. Księżyc nie znał kolorów i ledwo zarysowywał kontury krajobrazu. Powlekał świat brudną szarością i na czas nocy gasił życie. Ten świat niczym odlany z ołowiu, gdzie nie poruszało się nic prócz wiatru, sunącego czasem jak cień nad poszarzałymi lasami, gdzie żyły wyłącznie zapachy nagiej ziemi, był jedynym światem, jaki Grenouille uznawał - był to bowiem świat podobny do świata jego duszy.

Kierował się na południe. Mniej więcej na południe, bo nie szedł za igłą magnetyczną, lecz za kompasem swego nosa, który mu nakazywał omijać z dala każde miasto, wieś i sadybę. Zdarzało mu się całymi tygodniami nie napotkać człowieka. I mógłby oddawać się kojącej myśli, że jest sam jeden na mrocznym albo rozjaśnionym chłodnym blaskiem księżyca świecie, gdyby czuły kompas nie przekonywał go, że jest inaczej.

Ludzie bowiem istnieli także nocą. Ludzie istnieli nawet w najbardziej odległych miejscach. Chowali się tylko jak szczury w swoich kryjówkach i spali. Nadal brukali ziemię, bo nawet we śnie wydawali zapach, który przez otwarte okna i szczeliny ich domostw przenikał na dwór i zatruwał tę pozornie pozostawioną samej sobie przyrodę. Im bardziej Grenouille przywykał do czystszej atmosfery, tym bardziej wyczulony był na ludzki zapach, który pojawiał się nagle, nie wiadomo skąd,

wśród nocy, obrzydliwy jak smród gnojowiska i zdradzał obecność jakiegoś szałas pasterskiego, chatki węglarzy albo jaskini zbójców. I Grenouille uciekał dalej, coraz wrażliwiej reagując na coraz rzadszy zapach ludzkich istot. I tak nos prowadził go ku coraz odleglejszym okolicom, oddalał go od ludzi i gnał coraz pośpieszniej ku magnetycznemu biegunowi skrajnej samotności.

24

Biegun ten, mianowicie najbardziej odludny punkt całego królestwa, znajdował się w Masywie Centralnym Owernii, jakieś pięć dni drogi na południe od Clermont, na wysokości dwóch tysięcy metrów, u szczytu wulkanu o nazwie Plomb du Cantal.

Góra miała kształt kolosalnego stożka z szarobłękitnych kamieni, a otaczała ją bezkresna, jałowa, porośnięta tylko szarym mchem i takimiż chaszczami wyżyna, z której gdzieniegdzie sterczały, niczym zepsute zęby, bure złomy skał oraz zwęglone od pożaru pnie. Nawet w biały dzień okolica ta była tak beznadziejnie niegościnna, że najuboższy pasterz tej ubogiej prowincji nie przypędziłby tu owiec. A już nocą, w bladej poświacie księżyca, zapomniane przez Boga pustkowie wyglądało całkiem jak nie z tego świata. Nawet pilnie tropiony owerniacki bandyta Lebrun wolał przebić się w Sewenny i tam dać się ująć oraz poćwiartować, niż chować się na Plomb du Cantal, gdzie wprawdzie nikt by go nie szukał ani nie znalazł, gdzie jednak niechybnie

czekałaby go gorsza w jego przekonaniu śmierć dożywotniej samotności. Na mile wokół góry nie uświadczyłoby się żywego człowieka ani normalnego ciepłokrwistego zwierzęcia, najwyżej trochę nietoperzy, chrząszczy i żmij. Od dziesiątków lat nikt nie wspiął się na szczyt.

Grenouille przybył tu pewnej sierpniowej nocy roku 1756. O brzasku dnia stanął na szczycie. Nie wiedział jeszcze, że znalazł się oto u kresu swej wędrówki. Myślał, że jest to tylko etap na drodze ku coraz czystszyom regionom, obracał się w kółko i reflektorem swego nosa przesuwiał po niezwyklej panoramie wulkanicznego pustkowie: na wschód, gdzie rozpościerała się rozległa wyżyna Saint-Flour i bagniska rzeki Riou; na północ, skąd przyszedł, przemierzając po całych dniach krasowe pogórze; na zachód, skąd lekki poranny wietrzyk niósł mu jedynie zapach kamieni i ostrej trawy; wreszcie na południe, gdzie odnogi Plomb du Cantal ciągnęły się milami aż do mrocznych wąwozów Truyere. Wszędzie, gdziekolwiek się zwrócił, było równie daleko do ludzi, a zarazem każdy krok w dowolną stronę musiał go nieuchronnie do ludzi przybliżyć. Igła magnetyczna obracała się w kółko. Nie wskazywała już kierunku. Grenouille był u celu. Ale zarazem był w potrzasku.

O wschodzie słońca stał wciąż jeszcze w tym samym miejscu i wyteżał węch. Usiłował rozpaczliwie rozpoznać kierunek, skąd dociera groźny zapach ludzi, i kierunek odwrotny, gdzie należało się udać. Zewsząd

spodziewał się wychwycić choćby nikłe strzępki ludzkiej woni. Ale nie czuł nic. Wszędzie panował spokój, by tak rzec: olfaktoryczna cisza w eterze. Wokół unosił się tylko, niczym cichy, jednostajny szmer, zapach martwych głązów, szarych porostów i suchej trawy, poza tym nic.

Upłynęło sporo czasu, nim Grenouille upewnił się, że nic nie czuje. Nie był przygotowany na takie szczęście, jego podejrzliwość broniła się długo przed uznaniem oczywistości. Kiedy słońce wzeszło, uciekł się nawet do pomocy oczu i przepatrzył horyzont, szukając najdrobniejszych bodaj śladów ludzkiej obecności, dachu chaty, smugi dymu, płotu, mostu, ogniska. Osłonił uszy dłońmi i nasłuchiwał, czy aby nie dojdzie go odgłos klepania kosy, szczekanie psa albo płacz dziecka. Przez cały dzień, pod lejącym się z nieba skwarem trwał na szczycie Plomb du Cantal i daremnie czekał na najmniejszy znak. Dopiero gdy słońce zaszło, nieufność ustąpiła stopniowo narastającemu uczuciu euforii: umknął przed uprzykrzonym odium! Był naprawdę zupełnie sam! Był jedynym człowiekiem na świecie!

Rozpierała go przemożna radość. Jak rozbitek, który błąkał się przez wiele tygodni po morzu, wita w uniesieniu pierwszą zamieszkałą przez ludzi wyspę, Grenouille świętował przybycie na górę samotności. Krzyczał ze szczęścia. Plecak, derkę i kij cisnął na ziemię i podeptał, wyrzucał ramiona w górę, tańczył w koło, wywrzaskiwał na cztery strony świata własne imię,

zaciśniętymi pięściami wygrażał z triumfem krainie leżącej u jego stóp oraz zachodzącemu słońcu, z triumfem, jak gdyby to on sam przepędził je z nieboskłonu. Zachowywał się jak obłąkany, aż do późna w noc.

25

W ciągu następnych dni urządził się na górze - było dlań bowiem jasne, że nieprędko opuści to błogosławione miejsce. Przede wszystkim powęszył za wodą i odkrył ją w szczelinie nieco poniżej szczytu, ściekała cienką warstewką po skalnej ścianie. Nie było tego wiele, ale liżąc cierpliwie przez godzinę zaspokoił pragnienie na cały dzień. Znalazł też pożywienie, mianowicie małe salamandry i zaskrońce, które, urwawszy im głowę; połykał razem ze skórą i kostkami. Poza tym spożywał suche porosty, trawę i owocki mchu. Ta dieta, mocno odbiegająca od mieszczkańskich kryteriów, zupełnie mu dogadzała. Już w ciągu ostatnich tygodni i miesięcy nie przyjmował żadnych pokarmów sporządzonych przez ludzi, jak chleb, kiełbasa czy ser, ale, gdy odczuwał głód, pożerał wszystko, co z rzeczy od biedy jadalnych nawinęło mu się pod rękę. Smakoszem nie był w żadnym razie. Uciechy konsumpcyjne, jeżeli w grę nie wchodził czysty, bezcielesny zapach, *były* mu obce. Obce mu były również wygody i zadowolilby się byle legowiskiem na gołej skale. Ale znalazł coś lepszego. Niedaleko źródła wody odkrył naturalny szyb, który wąskim, krętym chodnikiem prowadził w głąb góry, a

po jakichś trzydziestu metrach kończył się usypiskiem. Tam, na samym końcu, było tak ciasno, że ramionami z obu stron dotykał skały, i tak nisko, że musiał się dobrze zgarbić. Ale mógł siedzieć, a podkuliwszy nogi mógł nawet leżeć. Zaspokajało to w pełni jego potrzebę komfortu. Miejsce to bowiem miało nieocenione zalety: u końca tunelu panowała nawet za dnia nieprzenikniona noc, cisza była grobowa, a powietrze miało w sobie wilgotny, słonawy chłód. Grenouille wyczuł od razu, że nigdy przedtem nie zapuściła się tu żadna żywa istota. Gdy brał to miejsce w posiadanie, ogarnęło go niemal uczucie świętej zgrozy. Starannie rozesał na ziemi derkę, jak gdyby zaścielał ołtarz, i położył się. Czuł się niebiańsko. Spoczywał w łonie najbardziej samotnej góry Francji, pięćdziesiąt metrów pod ziemią, niczym we własnym grobie. Nigdy w życiu jeszcze nie czuł się tak bezpieczny - a już zwłaszcza w brzuchu matki. Cały zewnętrzny świat mogły pochłonać płomienie, a on nawet by tego nie zauważył. Począł cicho płakać. Nie wiedział, komu ma dziękować za tyle szczęścia.

W okresie, jaki potem nastąpił, Grenouille wynurzał się ze swej kryjówki tylko po to, aby zlizać ze skały parę kropli wody, szybko oddać urynę i kał oraz zapolować na jaszczurki i węże. Nocami łatwo je było chwytać, bo chowały się pod kamienie albo w skalnych szczelinach, gdzie mógł je bez trudu zwęszyć.

W ciągu pierwszych tygodni kilka razy wspinał się na szczyt, aby obwąchać horyzont. Wkrótce jednak stało się to raczej uciążliwym zwyczajem niż koniecznością, ani

razu bowiem nie wyniuchał niczego groźnego. Zaniechał tedy tych wycieczek i załatwiwszy to, co najniezbędniejsze do przeżycia, starał się jak najszybciej wracać do swojej krypty. Albowiem dopiero tu, w krypcie, żył naprawdę. To znaczy przez ponad dwadzieścia godzin na dobę tkwił w zupełnej ciemności i zupełnej ciszy i zupełnym bezruchu na derce u końca kamiennego chodnika, oparty plecami o głązy, z ramionami uwięzłymi między jedną a drugą skalną ścianą i wystarczał sam sobie.

Znamy ludzi, którzy poszukują samotności: są to pokutnicy, życiowi popaprańcy, święci albo prorocy. Najchętniej wycofują się na pustynię, gdzie żyją szarańczą oraz miodem dzikich pszczoł. Niektórzy zamieszkują jaskinie albo pustelnie na odległych wysepkach albo też siedzą - dość widowiskowo - w klatkach, zamocowanych na drągach i wiszących wysoko w górze. Czynią tak, aby zbliżyć się do Boga. Umartwiają się samotnością, pokutują przez samotność. Działają w przekonaniu, iż ten sposób życia jest miły Bogu. Albo też miesiącami i latami czekają, że w samotności objawi im się jakieś boskie posłanie, które chcą potem co prędzej zanieść między ludzi.

Grenouille jednakże nie miał z nimi nic wspólnego. O Bogu nie myślał wcale. Nie pokutował i nie czekał na znak z góry. Wycofał się do samotni wyłącznie dla własnej przyjemności, tylko po to, by zbliżyć się do samego siebie. Pławił się w swojej własnej egzystencji, której nareszcie nic mu nie zakłócało, i uważał, że to

wspaniałe. Leżał w skalnej krypcie jak swój własny trup, ledwie oddychając, z ledwo bijącym sercem - a przecież żył tak intensywnie i rozwiąźle, jak żaden goniący za uciechami człowiek w świecie zewnętrznym.

26

Widownią tych ekscesów było - jakże by inaczej jego wewnętrzne imperium, gdzie miał wyryte kontury wszystkich zapachów, jakie kiedykolwiek napotkał. Aby wprawić się w nastrój, wywoływał wpierw najwcześniejsze, najbardziej odległe zapachy: wrogą, duszną atmosferę sypialni *madame* Gaillard; zapach jej wyschłych jak rzemień rąk; kwaśną woń oddechu ojca Terrier; opar macierzyńskiej hysterii buchający od mamki Bussie; trupi odór Cmentarza Niewiniątek; morderczy zapach własnej matki. I upajał się odrazą i nienawiścią, a włosy jeżyły mu się na głowie od rozkosznej grozy.

Czasem, kiedy ten *aperitif* ohydy nie dość go podniecił, pozwalał sobie jeszcze na mały wypad olfaktoryczny do Grimala i sycił się smrodem garbników i surowych, okrwawionych skór albo wyobrażał sobie stężone wyziewy sześciuset tysięcy Paryżan w ciężki od upału dzień lata.

I wtedy z orgiastycznym impetem wybuchała w nim taki był sens całego ćwiczenia - nagromadzona nienawiść. Jak burza przelatywał nad zapachami, które miały czelność obrazić jego dostoyny nos. Spadał na nie jak grad na łan zboża, jak orkan zmiatał całe to

paskudztwo i topił w oczyszczającej powodzi wody destylowanej. Tak sprawiedliwy był jego gniew. Tak wielka była jego zemsta. Ach! Cóż za wzniosła chwila! Mały, pokraczny Grenouille drżał z podniecenia, jego ciało wiło się w spazmie rozkoszy i wyprężało, aż w pewnym momencie uderzał głową o strop chodnika, aby potem z wolna osunąć się i spocząć bez ruchu, z uczuciem wyzwolenia i głębokiego dosytu. Ten nagły akt unicestwienia wszystkich wstrętnych woni był nader przyjemny, naprawdę nader przyjemny... Spośród całego repertuaru swego wewnętrznego teatru Grenouille bodaj najbardziej upodobał sobie ten numer, gdyż dawał on owo cudowne uczucie rzetelnego wyczerpania, jakie idzie w ślad tylko naprawdę wielkich, heroicznych czynów.

Teraz mógł z czystym sumieniem chwilę wypocząć. Wyciągał się cielesnie na tyle, na ile było to możliwe w ciasnym kamiennym pomieszczeniu; wewnątrz natomiast na uprzątniętych łąkach własnej duszy wyciągał się wygodnie na całą długość i leżał w półśnie, i igrał z delikatnymi zapachami: na przykład z aromatycznym powiewem, niosącym się wiosną z łąk; z ciepłym wiatrem majowym, muskającym pierwsze zielone listki buków; z gorzkawą jak solone migdały bryzą morską. Gdy się podnosił, było późne popołudnie - w cudzysłowie, gdyż, rzecz jasna, nie było tu popołudnia ani przedpołudnia, nie było wieczoru ani ranka, nie było światła ani ciemności, nie było też wiosennych łąk ani zielonych listków bukowych. W

wewnętrznym uniwersum Grenouille[^] nie było w ogóle żadnych materialnych rzeczy, tylko zapachy rzeczy (toteż mówienie o tym uniwersum jako o krajobrazie to tylko *fakon de parter*, choć zarazem jedyny możliwy sposób mówienia, nasz język bowiem nie nadaje się do adekwatnego opisu świata chwytanego węchem). Było więc późne popołudnie, to znaczy ów stan i pora w duszy Grenouille'a, jak na Południu pod koniec sjeisty, gdy paraliż skwarnych godzin z wolna ustępuje i wstrzymane życie ma się znowu rozpocząć. Tętniący furją żar - wróg subtelnych woni - przeminał, demony zostały unicestwione. Pole duszy rozpościerało się czyste i łagodne w leniwym spokoju przebudzenia i czekało, aż jego pan objawi swą wolę.

Grenouille podniósł się tedy i otrząsnął z członków senność. Wstał, wielki wewnętrzny Grenouille wstał i stał jak jaki olbrzym w całym przepychu i majestacie, wyglądał wspaniale - aż szkoda, że nikt go nie widział! i rozglądał się wokół, dumny i wyniosły.

Tak! To było jego królestwo! Niezrównane królestwo Grenouille'a! Przez niego, niezrównanego Grenouille'a, stworzone, jemu podległe, przez niego pustoszone, gdy tylko mu się podobało, i znowu wznoszone, przez niego rozszerzane w nieskończoność i bronione ognistym mieczem przed każdym intruzem. Tu rozstrzygała o wszystkim tylko jego wola, wola wielkiego, wspaniałego, jedyne Grenouille'a. I wytępiwszy niemiłe odory przeszłości, pragnął teraz, by w jego królestwie pięknie pachniało. Mocarnym krokiem

przemierzał rozległe połacie i rozsiewał najrozmaitszego rodzaju zapachy, tu hojnie, tam skąpo, na ciągnących się bez końca plantacjach i na małych, intymnych grządkach, sypiąc ziarno garściami albo rzucając je tylko w wybrane miejsca. Wielki Grenouille, szalony ogrodnik Grenouille docierał do najodleglejszych rubieży swego królestwa i wkrótce nie było już kąta, gdzie by nie umieścić ziarnka zapachu.

I kiedy widział, że było dobre i że cała kraina przepojona jest boskim nasieniem Grenouille'a, Wielki Grenouille zesłał deszcz spirytusu, i deszcz padał, łagodnie i nieprzerwanie, i wszystko poczynęło kiełkować i wschodzić, i ziemia rodziła aż serce rosło. Plantacje zieleniły się bujnie, w ustronnych ogródkach rośliny szły pięknie i okrywały się liśćmi. Pąki eksplodowały.

Wówczas Wielki Grenouille wstrzymał deszcz. I deszcz ustał. I Wielki Grenouille zesłał na ziemię dobrotliwe słońce swego uśmiechu, i naraz objawił się nieprzebrany przepych kwiecia, i całe królestwo od krańca do krańca stało się barwnym kobiercem, utkanym z miriad pojemniczków wybornych woni. I Wielki Grenouille widział, że było dobre, o, bardzo dobre. I wionął ponad ziemią tchnieniem swego oddechu. I kwiaty muśnięte tą pieśczołą wydały zapach i zlały swoje miriady zapachów w jeden wciąż mieniący się, a przecież wciąż jeden i niezmienny uniwersalny zapach hołdu dla niego, dla Wielkiego, Jedynego, Wspaniałego Grenouille'a, a ten, tronując na obłoku złocistej woni, zaciągał się

chciwie i ofiarny zapach był mu miły. I zstąpił, aby pobłogosławić tysiącrotnie swoje stworzenie, a stworzenie dziękowało mu za błogosławieństwo radością, weselem i ponowną falą wspaniałych woni. Tymczasem zapadł wieczór i zapachy rozlewały się i łączyły pod szafirowym sklepieniem w coraz bardziej fantastyczne kompozycje. Zapowiadał się istny bal zapachów z gigantycznymi fajerwerkami wonności.

Wielki Grenouille trochę jednak się zmęczył, ziewnął i rzekł: „Oto dokonałem wielkiego dzieła i to dzieło bardzo mi się podoba. Ale jak wszystko, co skończone, poczyna mnie nudzić. Chcę się wycofać i na zakończenie tego pracowitego dnia zażyć jeszcze odrobiny szczęścia w komnacie mego serca”.

Tako rzekł Wielki Grenouille i podczas gdy na dole prosty ludek zapachów radośnie tańczył i świętował, on sam rozpostarłszy skrzydła spłynął ze złotego obłoku i ponad nocnym krajobrazem swej duszy poszybował do domu swego serca.

Ach, jak przyjemnie było wrócić do domu! Podwójny urząd mściciela i stwórcy światów wymagał niemało wysiłku, a długie godziny strawione na odbieraniu hołdów własnego stworzenia także nie były najlepszym wypoczynkiem. Znużony boskimi obowiązkami kreacji i reprezentacji Wielki Grenouille tęsknił do domowych uciech.

Jego serce było purpurowym zamkiem. Zamek leżał na kamiennej pustyni, ukryty pośród wydm, otoczony oazą bagien, za siedmioma wstęgami kamiennych murów.

Można było do niego dotrzeć tylko w locie. Posiadał tysiąc alkierzy i tysiąc piwnic, i tysiąc paradnych salonów, w tym jeden ze zwykłą purpurową kanapą, na której Grenouille, który nie był już Wielkim Grenouille'em, tylko Grenouille'em zupełnie prywatnie albo po prostu droгим Janem Baptystą, zwykł wypoczywać po trudach dnia.

W alkierzach od podłogi aż po strop stały półki, a na półkach rozmieszczono wszystkie zapachy, jakie Grenouille zgromadził w ciągu całego życia, wiele milionów zapachów. W piwnicach zaś spoczywały w beczkach najprzedniejsze aromaty jego życia. W miarę jak dojrzewały, ściągano je do butelek, a potem leżakowały w ciągnących się kilometrami wilgotnych, chłodnych korytarzach, uporządkowane wedle rocznika i pochodzenia, a było ich tyle, że życia nie starczyłoby, aby je wszystkie wypić.

I gdy drogi Jan Baptysta, nareszcie *chez soi*, legł na swojej wygodnej domowej sofce - nareszcie, jeżeli można tak rzec, w pantoflach - klaskał w ręce i przywoływał służących, którzy byli niewidzialni, niewyczuwalni, niesłyszalni, a przede wszystkim nie wydawali zapachu, byli przeto całkiem wyimaginowanymi sługami, i posyłał ich do alkierzy i polecał z wielkiej biblioteki zapachów wydostać ten czy ów tom, oraz zejść do piwnicy i przynieść coś do picia. Wyimaginowani słudzy biegli na wyprzódki, a żołądek Grenouille'a ścisnął się w bolesnym oczekiwaniu. Grenouille czuł się w takich chwilach jak pijak, którego nagle przy barze

opada lęk, że z jakichś powodów odmówią mu zamówionego kieliszka. A jeżeli piwnice i półki okażą się puste, a jeżeli wino w beczkach skwaśniało? Dlaczego każą mu czekać? Dlaczego nikt się nie zjawia? Musi natychmiast dostać swoje, pilno mu, pali się, umrze, jeśli nie dostanie.

Ależ spokojnie, drogi Janie Baptysto! Spokojnie! Zaraz będziesz miał wszystko, czego ci trzeba. Słudzy już pędzą. Na niewidzialnej tacy podają księgę zapachów, w niewidzialnych biało urękawiczonych dłoniach niosą cenne butelki, stawiają je ostrożnie, kłaniają się i znikają. I pozostawiony sam sobie - nareszcie, nareszcie znowu sam! - Jan Baptysta sięga po wytęsknione zapachy, otwiera pierwszą butelkę, nalewa sobie do pełna, unosi kieliszek do ust i pije. Wypija duszkiem kielich wonności - o zbawcza chwilo! Trunek jest tak wyborny, że drogiemu Janowi Baptyście z rozkoszy oczy zachodzą łzami i natychmiast nalewa sobie drugi kielich: jest to rocznik 1752, aromat schwytyany wiosną o świcie na Pont Royal, nosem zwróconym ku zachodowi, skąd wiał lekki wietrzyk, niosąc zapach morza i lasu, zaprawiony odrobinką smolistego zapachu leżących na brzegu barek. Woń pierwszej kończącej się już nocy, jaką Grenouille bez pozwolenia Grimala spędził włócząc się po Paryżu. Rzeźwy zapach budzącego się dnia, pierwszego brzasku dnia, jaki przeżył na wolności. Ten zapach zwiastował mu wtedy wolność. Zwiastował mu inne życie. Zapach owego poranka był dla Grenouille'a

zapachem nadziei. Przechowywał go troskliwie. I codziennie go kosztował.

Po drugim kieliszku opuszczało go napięcie, rozterki i niepewność, wypełniał go cudowny spokój. Wtulał plecy w miękkie poduszki kanapy, otwierał książkę i poczynął czytać w swoich wspomnieniach. Odczytywał zapachy dzieciństwa, zapachy szkoły, zapachy ulic i zakamarków miasta, zapachy ludzi. Wywoływał te nienawistne zapachy, zapachy wyteńpione ze świata, i przechodził go przyjemny dreszczyk. Grenouille odczytywał księgę wstrętnych zapachów z zainteresowaniem pełnym odrazy, a kiedy odraza wzięła górę nad zainteresowaniem, zamykał księgę, odkładał ją i brał inną.

Jednocześnie bez ustanku popijał szlachetne aromaty. Po butelce zapachu nadziei otworzył inną, rocznik 1744, zawierającą zapach nagrzanym drewnianym szczap spod domu *madame* Gaillard. A następnie raczył się aromatem letniego wieczoru, przesyconym perfumami i ciężkim od woni kwiatów, zebranych na skraju parku przy Saint-Germain-des-Pres *anno* 1753.

Był już porządnie opity zapachami. Jego ciało spoczywało bezwładnie na poduszkach. Jego duch znajdował się w stanie dziwnego zamroczenia. A przecież nie był to jeszcze koniec biesiady. Wprawdzie oczy nie były już w stanie czytać, księga dawno wysunęła mu się z ręki ale nie chciał zakończyć wieczoru, nim nie opróżni ostatniej butelki

najprzedniejszego trunku: zapachu dziewczyny z rue des Marais...

Sączył go z nabożeństwem, i nawet wyprostował się w tym celu na kanapce, choć przyszło mu to z trudem, bo przy każdym poruszeniu purpurowy salon kołysał się i wirował. W postawie grzecznego ucznia, ze ściśniętymi kolanami, ze zsuniętymi stopami, ułożywszy lewą rękę na lewym udzie - w takiej pozycji mały Grenouille pochłaniał najwyborniejszy zapach z piwnic swego serca, kieliszek po kieliszku, i robił się przy tym coraz smutniejszy. Wiedział, że pije za dużo. Wiedział, że nie jest w stanie znieść tyle pyszności. A mimo to pił, pił do dna: wchodził ciemnym pasażem z ulicy na podwórko, zbliżał się do kręgu światła, dziewczyna siedziała i drylowała mirabelki, w oddali strzelały rakiety i petardy...

Odstawiał teraz kieliszek i przez kilka minut siedział bez ruchu, jak odrętwiały od nadmiaru wzruszenia i trunku, siedział tak, póki na języku nie rozplynał się ostatni ślad smaku. Patrzył przed siebie. W głowie robiło mu się nagle tak pusto jak w butelkach. Potem osuwał się bokiem na purpurową kanapę i w jednej chwili zapadał w odurzający sen.

W tym samym momencie zewnętrzny Grenouille usypiał na swojej derce. I jego sen był równie głęboki jak sen Grenouille'a wewnętrznego, gdyż herkulesowe czyny i ekscesy pierwszego wyczerpywały w równej mierze tego drugiego - w końcu obaj byli jedną i tą samą osobą.

Gdy się jednak budził, nie budził się w purpurowym salonie purpurowego zamku za siedmioma murami i nie pośród wiosennie pachnących niw swojej duszy, ale na twardej ziemi w ciemnościach kamiennej niszy u końca tunelu. I było mu niedobrze z głodu i pragnienia, zimno i źle jak nałogowemu pijakowi po przehulanej nocy. Na czworakach wypełzał z jaskini.

Na dworze była jakaś pora dnia, przeważnie wieczór albo rano, ale nawet o północy gwiazdy kłuły go boleśnie w oczy jasnym światłem. Powietrze wydawało mu się pełne kurzu, gryzące, paliło w płucach, ziemia była twarda, Grenouille potykał się o kamienie. I nawet najdelikatniejsze zapachy były za mocne i raziły jego odwykłe od świata powonienie. Kleszcz Grenouille stał się wrażliwy jak rak, który zrzucił pancerz i wędruje nago po dnie morza.

Szedł do wodopoju, lizał wilgotny kamień, godzinę, dwie godziny, była to tortura, czas się nie kończył, ten czas, kiedy rzeczywisty świat załaził mu za skórę. Wyrywał parę strzępków mchu, wsadzał sobie do ust, przy-kucał, srał jedząc - szybko, szybko, wszystko musiało iść piorunem - i jak ścigany, jak drobne, bezbronne zwierzątko w strachu przed krążącymi w górze jastrzębiami pędził do swojej jaskini, na koniec chodnika, gdzie leżała derka. Tu był nareszcie znowu bezpieczny.

Opierał się o kamienie, wyciągał nogi i czekał. Teraz musiał uspokoić swoje ciało, musiał zachowywać się całkiem spokojnie, jak płyn w naczyniu, który od

nadmiaru wstrząsów może się wylać. Stopniowo udawało mu się wyrównać oddech. Wzburzone serce biło spokojniej, wewnętrzne falowanie z wolna przycichało. I nagle samotność kładła się na jego duszy jak czarna tafla zwierciadła. Zamykał oczy. Ciemne wierzeje jego wnętrza otwierały się i Grenouille wchodził do środka. Rozpoczęło się kolejne przedstawienie Grenouille'owego teatru wewnętrznego.

28

Tak mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Tak minęło całe siedem lat.

Przez ten czas w zewnętrznym świecie toczyła się wojna i to światowa. Bili się na Śląsku i w Saksonii, w księstwie hanowerskim i w Belgii, w Czechach i na Pomorzu. Żołnierze króla Francji umierali w Hesji i Westfalii, na Balearach, w Indiach, nad Missisipi i w Kanadzie,, ile już po drodze nie wygubił ich tyfus. Milion ludzi traciło na tej wojnie życie, król Francji stracił swoje polonie, a wszystkie zaangażowane państwa tyle pieniędzy, że na koniec z ciężkim sercem postanowiono ją ukończyć.

Grenouille tymczasem raz zimą mało nie zmarzł, wcale tego nie zauważywszy. Przez pięć dni spoczywał w purpurowym salonie, a kiedy się obudził w jaskini, zimna nie mógł się poruszyć. Natychmiast znowu zamknął oczy, aby zasnąć na śmierć. Ale wtedy pogoda zmieniła się, przyszła odwilż i uratowała go.

Raz spadło tyle śniegu, że nie mógł dokopać się do porostów. Wtedy żywił się zamarznętymi nietoperzami.

Raz u wejścia do jaskini znalazł nieżywego kruka, i zjadł go. Były to jedyne wydarzenia, jakie w ciągu tych siedmiu lat przyjął do wiadomości ze świata zewnętrznego. Poza tym żył tylko wewnątrz góry, tylko w stworzonym przez siebie królestwie własnej duszy. I pozostałby tam aż do śmierci (jako że na niczym mu tam nie zbywało), gdyby nie katastrofa, która wypędziła go z jaskini i wypluła z powrotem na świat.

Nie nastąpiło trzęsienie ziemi, pożar lasu, uskok góry czy zawał chodnika. Nie była to w ogóle katastrofa zewnętrzna, tylko wewnętrzna, i o tyle szczególnie przykra, gdyż zablokowała ulubioną drogę ucieczki Grenouille[^]. Stało się to we śnie. A ściślej - w sennych marzeniach. A właściwie w marzeniach we śnie w komnacie serca w jego wyobraźni. Leżał na kanapie w purpurowym salonie i spał. Wokół stały puste butelki. Wypił strasznie dużo, na zakończenie aż dwie butelki zapachu rudowłosej dziewczyny. Prawdopodobnie wypił za dużo, bo choć zasnął snem twardym jak śmierć, tym razem czepiały się go widmowe, lepkie smużki marzeń. Smużki te były wyraźnie rozpoznawalnymi strzępkami jakiegoś zapachu. Najpierw snuły się cienkimi kłaczkami pod nosem Grenouille'a, potem zgęstniały, zmieniły się w obłoczki. Jak gdyby stał na środku bagna, z którego unosiła się mgła. Mgła podnosiła się coraz wyżej. Wkrótce Grenouille cały był spowity w mgłę, przesycony mgłą, a między kłębami mgły nie było ani odrobiny powietrza. Żeby się nie udusić, musiał wdychać tę mgłę. A mgłą,

jak się rzekło, była zapachem. I Grenouille rozpoznał ten zapach. Był to jego własny zapach. Mgła była jego własnym zapachem, zapachem właściwym Grenouille'a. Koszmar polegał na tym, że Grenouille, aczkolwiek wiedział, że zapach ten jest jego własnym zapachem, nie mógł go zwęszyć. Nie pachniał sobie. Pogrążając się bez reszty w swoim wnętrzu nie mógł żadną miarą sam siebie poczuć!

Kiedy sobie z tego zdał sprawę, krzyknął tak strasznie jak człowiek żywcem palony. Krzyk zwałił ściany purpurowego salonu, skruszył mury zamku, wyrwał się z serca przez fosy, bagniska i pustynie, przeleciał jak nawałnica ognia nad nocnym krajobrazem jego duszy, wybuchnął mu z ust, krętym chodnikiem wydostał się na świat, rozległ się hen nad wyżyną Saint-Flour - zdawało się, że to krzyczy góra. I Grenouille zbudził się na dźwięk własnego krzyku. Budząc się machał rękami, jak *gdyby* rozpędzając bezwonną mgłę, która chciała go udusić. Był śmiertelnie przerażony, drżał na całym ciele w śmiertelnym strachu. Gdyby krzyk nie rozdarł mgły, Grenouille zatonąłby sam w sobie - straszna to śmierć. Wzdrygał się na samo wspomnienie. I kiedy trzęsąc się jeszcze siedział i starał się uładzić splątane, wylękłe myśli, jedno wiedział na pewno: że musi żyć inaczej, choćby dlatego, by mu się coś tak potwornego nie przyśniło po raz drugi. Że po raz drugi już tego nie przeżyje.

Narzucił sobie na ramiona derkę i wyczołgał się na dwór. Na świecie było akurat przedpołudnie,

przedpołudnie pod koniec lutego. Świeciło słońce. Pachniało wilgotnym kamieniem, mchem i wodą. W powietrzu wyczuwało się już lekki zapach anemonów. Przycupnął na ziemi u wejścia do jaskini. Promienie słońca rozgrzały go. Wdychał rześwe powietrze. Ciągłe jeszcze przenikał go dreszcz na myśl o tamtej mgłę, której zdołał uciec, i dreszcz błogości od lubego ciepła na plecach. Mimo wszystko dobrze, że na zewnątrz istnieje wciąż jeszcze świat, choćby jako azyl. Bo co, gdyby tak u wylotu tunelu nie zastał już świata? Groza! Ani światła, ani zapachu, w ogóle nic, tylko ta przerażająca mgła, wewnątrz, zewnątrz, wszędzie...

Szok z wolna ustępował. Kleszcze strachu z wolna się rozluźniały i Grenouille począł odzyskiwać pewność siebie. Około południa wróciła mu jego zwykła zimna krew. Rozstawił wskazujący i środkowy palec lewej ręki, wetknął między nie nos i zaczerpnął tchu. Poczuł wilgotne, zaprawione wonią anemonów wiosenne powietrze. Zapachu własnych palców nie czuł. Obrócił dłoń i obwąchał jej wewnętrzną stronę. Czuł jej ciepło, ale nie czuł żadnego zapachu. Podwinął tedy obszarpany rękaw koszuli i wsadził nos we wgłębienie łokcia. Wiedział, że w tym miejscu człowiek pachnie samym sobą. Ale on nie pachniał. Nie pachniał też pod pachami, nie pachniały mu nogi ani genitalia, do których pochylił się najniżej jak mógł. Groteskowa historia: on, Grenouille, który mógł węchem wyczuć dowolnego innego człowieka w promieniu całych mil, nie mógł wyczuć zapachu własnych genitaliów z

odległości piędzi! Nie wpadł jednak w panikę, tylko rozważywszy rzecz na chłodno powiedział sobie: „Nie jest tak, że nie pachnę, bo wszystko pachnie. Jest raczej tak, że nie czuję, że pachnę, bo od urodzenia sam sobie pachniałem i mój nos jest znieczulony na mój własny zapach. Gdybym mógł oddzielić od siebie swój zapach albo przynajmniej jakąś jego cząstkę, odwyknąć od niego i po jakimś czasie znowu do niego wrócić, na pewno bym go - to jest siebie -poczuł”.

Odłożył derkę i ściągnął ubranie, czy też raczej to, co z ubrania pozostało, ściągnął strzępy, łachmany. Nie zdejmował ich przez siedem lat. Musiały przesiąknąć jego wonią. Rzucił je na kupę u wejścia do jaskini i oddalił się. Potem, po raz pierwszy od siedmiu lat, wspiał się znowu na szczyt góry. Stał w tym samym miejscu, gdzie kiedyś, gdy tu przybył, zwrócił nos na zachód i wystawił nagie ciało na podmuchy wiatru. *Zamierzał* się dokładnie wywietrzyć, tak się napompować zachodnim wiatrem - czyli zapachem morza i wilgotnych łąk - by ten zapach zdominował zapach jego własnego ciała, a tym samym stworzył olfaktoryczną różnicę poziomów między nim, Grenouille'em, a jego własnym ubraniem, różnicę, którą potem mógłby wyraźnie zauważyć. I aby chwycić nosem możliwie jak najmniej własnego zapachu, wychylił tułów do przodu, wysunął szyję jak tylko się dało pod wiatr, a ręce wyciągnął w tył. Wyglądał jak pływak na chwilę przed skokiem do wody.

W tej niebywale komicznej pozycji trwał przez wiele godzin, przy czym jego odwykła od światła, biała jak u robaka skóra mimo słabych jeszcze promieni słońca zabarwiła się na czerwono. Pod wieczór zszedł z powrotem do jaskini. Już z daleka widział kupkę ubrania. Zanim przebył ostatnie parę metrów, zatkał sobie nos ręką i puścił dopiero nad samym stosem łańców. Zrobił węchową próbkę, tak jak nauczył się u Baldiniego, wciągnął powietrze i wydychał je potem w rytmicznych odstępach. Aby złowić zapach, obie ręce złożył nad kupką ubrania na kształt dzwonu, a potem w ten dzwon niczym jego serce - wetknął nos. Uczynił wszystko, aby wyniuchać z ubrania swój własny zapach. Ale zapachu nie było. Z całą pewnością nie. Ubranie wydzielało wszelkie możliwe zapachy. Zapach kamieni, piasku, mchu, żywicy, krwi kruka - nawet zapach kiełbasy, którą przed laty kupił pod Sully, był jeszcze wyraźnie zauważalny. Ubranie było olfaktorycznym diariuszem ostatnich siedmiu-ośmiu lat. Nie zawierało tylko jego własnego zapachu, zapachu tego, kto je przez ten czas nieustannie miał na sobie.

Teraz zrobiło mu się jednak trochę nieswojo. Słońce zaszło. Stał nagi u wylotu chodnika, przy którego mrocznym końcu spędził siedem lat. Wiał chłodny wiatr. Grenouille marzł, ale nie zauważał, że marznie, ponieważ od wewnątrz był całkiem zlodowaciały ze strachu. Nie był to ten strach który czuł we śnie, strach, z którego trzeba się było za wszelką cenę otrząsnąć i któremu zdołał umknąć, obrzydliwy strach, że dusi się

samym sobą. To, co czuł teraz, był to strach, że nie ma o samym sobie pojęcia. Był to strach przeciwstawny tamtemu. Nie można było przed nim uciec, trzeba było stawić mu czoła. Grenouille musiał dowiedzieć się - choćby ta wiedza miała się okazać straszliwa - czy ma zapach, czy nie. I to zaraz, natychmiast.

Wrócił do grotty. Już po kilku metrach ogarnęła go całkowita ciemność, ale poruszał się tak pewnie jak w jaskrawym świetle dnia. Przechodził tędy tysiące razy, znał każdy występ i zakręt, wyczuwał węchem każdy skalny nawis i każdy najmniejszy sterczący kamień. Odnalezienie drogi nie było trudne. Trudna była walka ze wspomnieniem klaustrofobicznego snu, które wzbierało w nim jak fala coraz wyżej i wyżej, im dalej zapuszczał się chodnikiem. Ale był odważny. To znaczy lękiem niepewności zwalczał lęk przed pewnością, i udało mu się, ponieważ wiedział, że nie ma wyboru. Kiedy dotarł do końca chodnika, tam, gdzie zaczynało się kamienne usypisko, oba lęki ustąpiły. Czuł się spokojny, głowę miał jasną, a nos wyostrzony jak skalpel. Przykucnął, rękoma zasłonił sobie oczy i wąchał. W tym miejscu, w tej odległej od świata kamiennej krypcie leżał przez siedem lat. Jeżeli gdzieś, to tutaj powinno nim pachnieć. Oddychał wolniutko. Badał uważnie. Nie śpieszył się z osądem. Wąchał tak przez kwadrans. Miał niezawodną pamięć i wiedział dokładnie, jak pachniało to miejsce siedem lat temu: czysty zapach kamieni i wilgotnego, słonego zimna, świadczący o tym, że nigdy nie przebywała tu żadna

żywa istota, ani człowiek, ani zwierzę... Ale dokładnie tak samo pachniało to miejsce teraz.

Przez chwilę jeszcze siedział skulony, zupełnie spokojny, lekko tylko kiwając głową. Potem obrócił się i zrazu zgarbiony, prostując się z wolna, gdy wysokość chodnika już na to pozwalała, wyszedł na zewnątrz. Tam wciągnął na siebie łachmany (buty spleśniały już dawno temu), na ramiona narzucił derkę i jeszcze tej samej nocy opuścił Plomb du Cantal kierując się na południe.

30

Wyglądał okropnie. Włosy sięgały mu do kolan, rzadka broda do pępka: Paznokcie miał jak szpony ptaka, a na ramionach i nogach, tam gdzie spod łachmanów wystawało ciało, skóra łuszczyła mu się płatami.

Pierwsi ludzie, jakich napotkał, chłopci na polu w pobliżu miasta Pierrefort, na jego widok uciekli z krzykiem. W samym mieście natomiast wzbudził sensację. Ludzie walili setkami, aby go oglądać. Niektórzy uważali go za zbiegłego galernika. Niektórzy powiadali, że nie jest prawdziwym człowiekiem, tylko leśnym stworem, pół-człowiekiem i pół-niedźwiedziem. Ktoś, kto kiedyś pływał po morzu, twierdził, iż Grenouille wygląda jak członek dzikiego plemienia Indian z Gujany, za wielkim oceanem. Zawiedziono go do burmistrza. Tam, ku zdumieniu zebranych, Grenouille okazał swój czeladniczy patent, otworzył usta i nieco bełkotliwie - gdyż były to pierwsze słowa,

jakie wydobył z siebie po siedmioletniej przerwie - ale całkiem zrozumiale opowiedział, że w trakcie wędrówki napadli go zbójcy, porwali i przez siedem lat trzymali uwięzionego w jaskini. Nie widział przez ten czas słońca ani ludzi, niewidzialna ręka spuszczała mu w koszu pożywienie, a wreszcie spuszczone mu też drabinę, po której się wydostał, nie wiedząc dlaczego nagle znowu jest wolny i nie oglądając na oczy ani tych, którzy go porwali, ani tych, którzy go wybawili. Wymyślił sobie tę historię, uważał bowiem, że jest wiarygodniejsza od prawdy, i tak też w istocie było. W górach Owernii, w Langwedocji i w Sewennach tego rodzaju zbójckie napaści nie są rzadkością. Burmistrz w każdym bądź razie z miejsca wciągnął opowieść do protokołu, a raport o całym wydarzeniu przedłożył markizowi de la Taillade-Espinasse, który był dziedzicznym panem miasta oraz członkiem parlamentu w Tuluzie.

Markiz już w wieku lat czterdziestu porzucił dworskie życie w Wersalu, wycofał się do swoich dóbr i tu poświęcił się naukom. Spod jego pióra wyszło znamienite dzieło o dynamicznej ekonomii politycznej, w którym autor opowiadał się za zniesieniem wszystkich danin od gruntów i płodów rolnych oraz za wprowadzeniem odwrotnie progresywnego podatku dochodowego, co miało uderzać przede wszystkim w najuboższych, a tym samym zmuszać ich do wydajniejszej aktywności gospodarczej. Zachęcony powodzeniem książeczki markiz napisał traktat o wychowaniu chłopców i dziewczynek w wieku od

pięciu do dziesięciu lat, następnie zajął się eksperymentalnym rolnictwem i w drodze przenoszenia nasienia byczego na rozmaite gatunki traw próbował wyhodować animalno-wegetalną krzyżówkę dającą mleko, coś w rodzaju wymionistej trawy. Po początkowych sukcesach, które pozwoliły mu nawet na wyprodukowanie sera z trawiego mleka, a ser ten przez Akademię Nauk w Lyonie scharakteryzowany został jako „w smaku zbliżony do koziego, choć nieco bardziej gorzki”, markiz zmuszony był zaprzestać doświadczeń z powodu ogromnych kosztów związanych z rozpylaniem hektolitrów byczej spermy na pola. Jednakże zagadnienia agrarno-biologiczne pobudziły jego zainteresowanie nie tylko tak zwaną ziemią uprawną, ale ziemią w ogóle i jej powiązaniem z biosferą:

Ledwo zakończywszy praktyczne prace nad odmianą trawy wymionistej mlecznej, rzucił się z niezłomnym zapałem badawczym do układania wielkiej rozprawy o zależnościach między bliskością ziemi a siłą witalną. Teza jego głosiła, iż życie może rozwijać się tylko w pewnej odległości od ziemi, gdyż sama ziemia nieustannie wydziela gnilny gaz, tak zwane *fluidum letale*, które paraliżuje siły witalne i prędzej czy później do szczętu je unicestwia. Dlatego wszelkie żywe organizmy starają się poprzez wzrost oddalać od ziemi, odrastają od niej, a nie na przykład wrastają w nią; dlatego wznoszą swoje najcenniejsze części ku niebu: zboże - kłosa, roślina - kwiaty, człowiek - głowę; i

dlatego też, kiedy wiek je przytłoczy i znowu pochyli ku ziemi, muszą nieodwołalnie ulec działaniu gazu letalnego, w który po śmierci w wyniku procesów gnilnych same się zamieniają.

Gdy do uszu markiza de la Taillade-Espinasse doszło, iż w Pierrefort znaleziono indywiduum, które przez siedem lat żyło w jaskini - a więc zewsząd otoczone wyłącznie zabójczym żywiołem - nie posiadał się wprost z zachwytu i natychmiast kazał ściągnąć Grenouille'a do siebie, do swego laboratorium, gdzie poddał go gruntownym badaniom. Otóż badania te potwierdziły najdobitniej jego teorię: *fluidum letale* nadwerężyło Grenouille'a do tego stopnia, że jego dwudziestopięcioletni organizm wykazywał wyraźne objawy starczego uwiądu. Jedynie okoliczność - wywodził dalej Taillade-Espinasse - iż Grenouille'owi w czasie uwięzienia dostarczano pokarm sporządzony z roślin odległoziemnych, przypuszczalnie chleb i owoce, uchroniła go od śmierci. Obecnie poprzedni stan zdrowia można przywrócić tylko przez doszczętne wypędzenie fluidu za pomocą wymyślonego przez niego, Taillade-Espinasse'a, aparatu do witalnej wentylacji. Aparat taki znajduje się w spichrzu jego rezydencji w Montpellier, i gdyby Grenouille był gotów oddać się w jego ręce jako obiekt naukowej demonstracji, markiz nie tylko uwolni go od grożącego niechybną śmiercią zatrucia gazem ziemnym, ale także wypłaci mu znaczną sumkę...

W dwie godziny później siedzieli w powozie. Jakkolwiek drogi *były* w fatalnym stanie, zdołali przebyć sześćdziesiąt cztery mile do Montpellier w niespełna dwa dni, markiz bowiem mimo podeszłego wieku osobiście okładał batem woźnicę i konie oraz własnoręcznie pomagał naprawiać wielokrotnie łamiące się dyszle i resory - tak uradowany był swoim znaleziskiem, tak pilno mu było jak najspieszniej przedstawić je uczonej opinii publicznej. Grenouille'owi za to nie wolno było ni razu opuścić powozu. Miał siedzieć w swoich łachmanach, owinięty w upačkaną mokrą ziemią i gliną derkę, i nie ruszać się. Do jedzenia w drodze dostawał surowe warzywa korzeniowe. W ten sposób markiz miał nadzieję jeszcze przez jakiś czas utrzymać zatrucie gazem ziemnym w stanie idealnym.

Dotarłszy do Montpellier kazał natychmiast umieścić Grenouille'a w pałacowej piwnicy, rozesłał zaproszenia do wszystkich członków fakultetu medycznego, Związku Botaników, szkoły rolniczej, Towarzystwa Chemo-Fizykalnego, loży masońskiej i innych stowarzyszeń naukowych, których w mieście było nie mniej niż tuzin. W kilka dni potem - dokładnie w tydzień po opuszczeniu górskiej samotni - Grenouille jako naukowa sensacja roku stanął na podium wielkiej auli uniwersyteckiej przed liczącym paręset osób zgromadzeniem.

W swoim wykładzie Taillade-Espinasse określił go jako żywy dowód na potwierdzenie teorii letalnego fluidu ziemnego. Zrywając zeń kolejne strzępy ubrania,

objaśniał straszliwe skutki działania gazu: oto widać bąble i blizny spowodowane zatruciem gazowym; na piersi ogromna, czerwona zgorzel gazowa; ogólne zmiany na skórze; a nawet wyraźne fluidalne zniekształcenia szkieletu kostnego, objawiające się szpotawością i garbem. Uszkodzeń doznały również organy wewnętrzne, śledziona, wątroba, płuca, woreczek żółciowy i przewód pokarmowy, co wykazała niezbita analiza próbki kału, znajdującego się w pojemniku u stóp demonstranta, do wglądu obecnych. Reasumując można tedy rzec, że paraliż sił witalnych wskutek siedmioletniego działania *fluidi letalis Tailladi* zaszedł tak daleko, iż demonstranta którego wygląd zewnętrzny wykazuje zresztą znamienne cechy krecie - określić należy jako istotę bliższą śmierci niż życia. Niemniej przeto referent pochlebia sobie, że w ciągu tygodnia zdoła za pomocą terapii wentylacyjnej połączonej z witalną dietą owo skazane na śmierć stworzenie do tego stopnia wzmocnić, iż oznaki rokujące całkowite wyzdrowienie będą biły w oczy, oraz zaprasza obecnych, by o trafności tej prognozy - co będzie też niezbitym dowodem na rzecz teorii letalnego gazu ziemnego - zechcieli się przekonać od dziś za tydzień.

Wykład był szalonym sukcesem. Uczona publiczność zgotowała referentowi owację, a potem przedefilowała przed podium, na którym stał Grenouille. W swym starannie utrzymanym zaniedbaniu, z dawnymi bliznami i okaleczeniami, przedstawiał doprawdy

widok tak dogłębnie okropny, że wszyscy uważali go za na wpół już zgniłego i bez ratunku straconego, jakkolwiek on sam czuł się zupełnie zdrów i rześki. Niektórzy panowie opukiwali go fachowo, mierzyli, zaglądali w usta i w oczy. Niektórzy zagadywali go i wypytywali o życie w jaskini oraz o obecne samopoczucie. Grenouille jednak trzymał się ściśle instrukcji, jakich udzielił mu był przedtem markiz, i na pytania odpowiadał tylko stłumionym charkotem, jednocześnie bezradnymi gestami obu rąk wskazując na grdykę, dla zaznaczenia, że i ona przeżarta jest fluidem letalnym.

Po demonstracji Taillade-Espinasse zabrał znowu Grenouille'a i przetransportował do pałacowego spichrza. Tam w obecności kilku wybranych doktorów fakultetu medycznego zamknął go w aparacie do wentylacji witalnej - szczelnej klatki zbitej ze świerkowych desek, która za pomocą sterczącego wysoko ponad dachem ssącego komina wietrzona była nie zawierającym gazu letalnego powietrzem z góry, odprowadzanym z kolei przez wbudowany w podłogę wentyl ze skórzaną klapą. Urządzenie to wprawiał w ruch zastęp służących, którzy dzień i noc pilnowali, by umieszczone w kominie wentylatory ani na chwilę nie ustały w pracy. Grenouille'a owiewał więc nieustannie oczyszczający strumień powietrza, a w godzinnych odstępach podawano mu przez wmontowaną z boku służę powietrzną o podwójnych ściankach dietetyczne pokarmy odległoziemnego pochodzenia: rosół z gołębia,

pasztet ze skowronków, potrawkę z dzikich kaczek, przetwory z owoców rosnących wysoko na drzewach, chleb z najbardziej wysokopiennych odmian pszenicy, wino z Pirenejów, mleko kozic i kogel-mogel z jajek znoszonych przez kury hodowane na pałacowym strychu.

Pięć dni trwała ta połączona kuracja dezynfekująca i odżywcza. Potem markiz polecił zatrzymać wentylatory i posłał Grenouille'a do łazienki, gdzie go przez wiele godzin moczono w kąpeli z letniej wody deszczowej, a na koniec wyszorowano od stóp do głów mydłem z olejku orzechowego, pochodzącego z miejscowości Potosi w Andach. Obcięto mu paznokcie u rąk i nóg, wyczyszczono zęby drobno zmieloną kredą z Dolomitów, ogolono go, skrócono mu i rozczesano włosy, ufryzowano je i przypudrowano. Sprowadzono krawca i szewca, i Grenouille otrzymał jedwabną koszulę na miarę, z białym żabotem i białymi riuszkami u mankietów, jedwabne pończochy, surdut, spodnie i kamizelkę z błękitnego aksamitu oraz piękne trzewiki na klamry, z czarnej skóry, przy czym prawy trzewik zręcznie maskował szpotawą stopę. Markiz własnoręcznie nałożył na dziobatą twarz Grenouille'a bielidło, ukarminował mu wargi i policzki oraz za pomocą miękkiego ołówka ze zwęglonego drewna lipowego nadał jego brwiom prawdziwie szlchetny kształt. Potem spryskał go własnymi perfumami, o dość prymitywnym zapachu fiołków, cofnął się o kilka

kroków i zużył niemało czasu, by ująć w słowa swój entuzjazm.

- *Monsieur* - zaczął wreszcie - jestem sobą zachwycony. Jestem wstrząśnięty swoim własnym geniuszem. Nigdy wprawdzie nie wątpiłem w słuszność mej teorii fluidu, to jasne; wszelako jestem wstrząśnięty widząc jej wspaniałe potwierdzenie w praktyce terapeutycznej. Był pan zwierzęciem, a ja zrobiłem z pana człowieka. Czyn niejako boski. Wybaczy mi pan to wzruszenie! Zechce pan podejść do zwierciadła i przejrzeć się! Po raz pierwszy w życiu zobaczy pan, że jest pan człowiekiem; nie żadnym niezwykłym albo wyróżniającym się, ale bądź co bądź wcale niezłym okazem. Proszę bliżej, *monsieur!* Niech pan się przejrzy i niech pan podziwiał cud, jakiego na panu dokonałem!

Po raz pierwszy ktoś użył wobec Grenouille'a formy *monsieur*.

Grenouille podszedł do lustra i spojrział w nie. Nigdy przedtem nie patrzył w lustro. Teraz ujrzał jakiegoś pana w wykwinnym błękitnym odzieniu, białej koszuli i jedwabnych pończochach, i całkiem odruchowo przygarbił się, jak zawsze w obecności wytwornych panów. Ale ów wytworny pan również się zgarbił, *a gdy* Grenouille się wyprostował, wytworny pan zrobił to samo, a potem obaj znieruchomieli i wpatrywali się w siebie.

Co było dla Grenouille'a najbardziej zdumiewające, to fakt, że wygląda tak nie do wiary normalnie. Markiz miał rację: nie wyróżniał się niczym szczególnym, nie

wyglądał pięknie, ale też i nie wyglądał szczególnie szpetnie. Był raczej niewysoki, postury cokolwiek niezdarnej, twarzy nieco bez wyrazu, krótko mówiąc - wyglądał jak tysiące innych ludzi. Gdyby teraz wyszedł na ulicę, nikt by się za nim nie obejrzał. Nawet jemu samemu człowiek taki, jakim teraz był, nie rzuciłby się w oczy, gdyby go był spotkał. Chyba że wyczułby, iż ów człowiek poza fiołkami nie pachnie niczym, tak samo jak ów mężczyzna w lustrze, i jak on sam, stojący przed lustrem.

A przecież jeszcze dziesięć dni temu chłopci uciekali z krzykiem na jego widok. Czuł się wtedy tak samo jak teraz, i teraz, kiedy zamykał oczy, nie czuł się ani trochę inny niż wtedy. Wciągnął zapach, jaki bił od jego ciała, i poczuł kiepskie perfumy, aksamit i świeżo klejoną skórę trzewików; czuł zapach jedwabiu, pudru, szminki, słaby zapach mydła z Potosi. I naraz pojął, że to nie rosół z gołębi ani sztuczki z wentylacją zrobiły zeń normalnego człowieka, lecz tylko i wyłącznie te parę szmatek, ostrzyżenie i odrobina kosmetyki.

Mrugnął oczyma i zobaczył, że *monsieur* z lustra mruga do niego i że na jego karminowych wargach błąka się nikły uśmiech, jak gdyby *monsieur* chciał mu dać znać, że uważa go za całkiem sympatycznego typa. A podobnie Grenouille uznał, że *monsieur* z lustra, owa przebrana za człowieka, zamaskowana bezwonna postać, jest całkiem do rzeczy; w każdym razie wydało mu się, że postać ta - gdyby tylko udoskonalić jej przebranie - mogłaby wywrzeć jakiś wpływ na świat

zewnątrzny, o co Grenouille nigdy by samego siebie nie podejrzewał. Skinął postaci w lustrze i dostrzegł, że ta, odwzajemniając ukłon, ukradkiem rozdyma nozdrza...

31

Następnego dnia - markiz właśnie uczył go niezbędnych póz, gestów i tanecznych kroków przed czekającym go występem towarzyskim - Grenouille udał, że robi mu się słabo, że poraziła go nagła niemoc, i osunął się na sofę. Markiz wyszedł z siebie. Krzyknął na służbę, kazał przynieść wachlarze i przenośne wentylatory, a podczas gdy lokaje rozbiegli się spełnić jego rozkazy, przyklęknął przy Grenouille'u, wachlował go pachnącą fiołkami chusteczką i zaklinał, wprost błagał, by Grenouille zechciał, na miłość Boską, podnieść się, na miłość Boską nie oddawać teraz ducha, tylko zaczekać z tym, jeśli łaska, do pojutrze, gdyż w przeciwnym razie byt teorii fluidu letalnego jest poważnie zagrożony.

Grenouille rzucał się i wił, charkał, stękał, rękami oganiał się od chusteczki, wreszcie w nader dramatyczny sposób zsunął się z kanapki i poczołgał w najbardziej odległy kąt pokoju.

- Tylko nie to pachnidło! - wychrypiał jak *gdyby* ostatkiem sił. - Tylko nie to pachnidło! To mnie zabije! I dopiero gdy Taillade-Espinasse wyrzucił chustkę przez okno, a surdut, również woniejący fiołkami, do drugiego pokoju, Grenouille wytłumił ostre objawy ataku i stopniowo uspokajającym się głosem wyjąwił, iż jako perfumiarz zawodowo ma wrażliwe powonienie i

zawsze, a już zwłaszcza teraz, w okresie rekonwalescencji, reaguje gwałtownie na niektóre zapachy. Okoliczność, że działa na niego tak silnie woń fiołków, skądinąd sympatycznych kwiatków, może wytłumaczyć sobie tylko w ten sposób, że perfumy markiza zawierają sporą dawkę ekstraktu korzenia fiołkowego, który z racji swego podziemnego pochodzenia ma fatalny wpływ na kogoś, kto jak Grenouille dotknięty został niszczącym działaniem fluidu letalnego. Już wczoraj, gdy po raz pierwszy zaaplikowano mu to pachnidło, czuł się nieswojo, a dziś, gdy znowu poczuł zapach korzeni, miał wrażenie, iż ponownie wtrącono go do owego straszliwego lochu, gdzie dusił się przez długie siedem lat. Przed taką perspektywą wzdraga się zaś cała jego natura, inaczej nie może się wyrazić, gdyż skoro sztuka pana markiza przywróciła go do ludzkiego życia w wolnej od fluidu atmosferze, wolałby z miejsca umrzeć niż raz jeszcze narazić się na działanie nienawistnego fluidu. Jeszcze teraz kuli się wewnętrznie na samą myśl o korzennym pachnidle. Ufa jednak, że polepszy mu się natychmiast, jeśli tylko pan markiz zezwoli mu zaprojektować własne pachnidło, celem kompletnego wygnania zapachu fiołków. Myślałby tu o jakiejś bardzo lekkiej, powiewnej kompozycji, składającej się głównie z odległoziemnych ingrediencji w rodzaju olejku migdałowego i pomarańczowego, eukaliptusa, ekstraktu szpilek jodłowych i cyprysu. Jedno pryśnięcie takimi perfumami na ubranie, kilka kropli na szyję i policzki, a będzie raz

na zawsze zabezpieczony przed powtórzeniem się przykrego ataku, któremu przed chwilą był uległ...

To, co gwoli zrozumiałości oddajemy tu w przyzwoitej mowie zależnej, było w rzeczywistości półgodzinnym, przerywanym przez kaszel, chrząkanie i zadyszkę bełkotliwym potokiem słów, który Grenouille ubarwił dodatkowo dreszczami, gestykulacją i wywracaniem oczu. Markiz był pod wrażeniem. Bardziej jeszcze niż objawy chorobowe przekonała go subtelna argumentacja podopiecznego, wyłożona całkiem w duchu teorii fluidu letalnego. Fiołkowe perfumy, jasne! Ohydnie bliskoziemna, ba - zgoła podziemna substancja! Niewykluczone, że on sam, używający jej od lat, był już zainfekowany. Nie miał pojęcia, że dzień w dzień perfumy przybliżały go do śmierci. Podagra, sztywność karku, zwiotczałość członka, hemoroidy, ucisk w uszach, zepsuty ząb wszystko to brało się bez wątpienia z odoru zakażonego fluidem korzenia fiołkowego. A naprowadził go na to ten głupek, ta kupka nieszczęścia skulona w kącie pokoju. Markiz był wzruszony. Najchętniej podszedłby do niego, podniósłby go i przycisnął do swego oświeconego serca. Ale obawiał się, że wciąż jeszcze czuć go fiołkami, krzyknął więc raz jeszcze na sługi i rozkazał wyrzucić z domu wszelkie fiołkowe pachnidła, wywietrzyć cały pałac, odkazić swoją garderobę w wentylatorze witalnym, a Grenouille'a natychmiast zanieść w lektyce do najlepszej perfumerii w mieście. Otóż taki właśnie był cel Grenouille'owej zapaści.

Przemysł perfumeryjny miał w Montpellier długą tradycję, i jakkolwiek ostatnimi czasy w porównaniu z konkurencyjnym Grasse nieco podupadł, było jeszcze w mieście kilku dobrych perfumiarzy rękawiczników. Najbardziej renomowany pośród nich, niejaki Runel ze względu na handlowe stosunki z domem markiza de la Taillade-Espinasse, któremu dostarczał mydeł, olejków i perfum, oświadczył, że gotów jest uczynić ten niezwykle krok i na godzinę odstąpić swoje *atelier* dziwacznemu czeladnikowi perfumeryjnemu z Paryża, którego przyniesiono tu w lektyce. Czeladnik ów nie pozwolił sobie niczego wytłumaczyć, nie chciał nawet słuchać, gdzie co stoi, już on sobie poradzi, powiedział, już on wszystko sam znajdzie; i zamknął się w warsztacie, i siedział tam dobrą godzinę, podczas gdy Runel udał się z ochmistrem markiza na lampkę wina do gospody i tam dowiedział się, czemu to markizowi woda fiołkowa zaczęła nagle śmierdzieć.

Warsztat i skład Runela nie były ani w połowie tak obficie zaopatrzone jak swego czasu magazyn Baldiniego w Paryżu. Mając pod ręką kilka olejków kwiatowych, wód i korzeni przeciętny perfumiarz niewiele by zdziałał. Grenouille jednak, po pierwszym rozpoznawczym niuchu, był pewien, że znajdujące się tu substancje wystarczą dla jego celów. Nie zamierzał tworzyć niczego nadzwyczajnego, żadnego prestiżowego pachnidła jak kiedyś dla Baldiniego, nic, co by wyróżniało się wśród morza przeciętności i wzbudzało przychylnie zainteresowanie. Nie miał na

oku nawet zwykłych perfum o kwiatowej woni, jak przyrzekał markizowi. Popularne esencje neroli, eukaliptusa i cyprysu miały tylko maskować zapach, który chciał naprawdę wyprodukować: mianowicie zapach człowieka. Chciał sobie przyswoić - choćby w formie marnego surogatu - ludzką woń, której sam nie miał. Zgoda, ludzkiego zapachu jako takiego nie ma, podobnie jak nie ma ludzkiego oblicza jako takiego. Każdy człowiek pachnie inaczej - nikt nie wiedział tego lepiej od Grenouille'a, który znał tysiące indywidualnych zapachów i od urodzenia rozróżniał ludzi węchem. A jednak istniało coś takiego jak perfumeryjny motyw główny ludzkiego zapachu, zresztą dość prymitywny: formuła potu i tłuszczu, kwaśno-serowa, w sumie dość obrzydliwa, właściwa w równej mierze wszystkim ludziom, nad którą dopiero unosiły się obłoczki subtelniej zróżnicowanej aury indywidualnej.

Ta aura jednak, to wysoce skomplikowane, niepowtarzalne piętno osobistego zapachu, była dla większości ludzi tak czy inaczej nierozpoznawalna. Zazwyczaj ludzie nie wiedzieli nawet, że w ogóle mają aurę, a ponadto czynili wszystko, by ją ukryć pod warstwą ubrań albo modnych sztucznych zapachów. Znali dobrze tylko ten zapach główny, ten prymitywny odór człowieczeństwa, tylko w nim żyli i czuli się bezpieczni, i kto tylko wydzielał ów wstrętny powszechny odorek, był przez nich natychmiast uznawany za swego.

Tego dnia Grenouille stworzył prawdziwie niezwykle pachnidło. Czegoś podobnego do tej pory na świecie nie było. Pachniało nie jak zapach, tylko jak człowiek, który pachnie. Ktoś, kto poczułby to pachnidło w ciemnym pokoju, byłby przekonany, że w pokoju znajduje się drugi człowiek. A gdyby użył tego pachnidła człowiek, który sam pachnie jak człowiek, olfaktorycznie mielibyśmy wrażenie, że jest obok nas dwóch ludzi, albo, co gorsza, monstrualna istota podwójna, postać, której nie można jednoznacznie zidentyfikować, bo jej kontury zacierają się nieostro, jak obraz na dnie jeziora, pokryty drżącymi falami.

Aby stworzyć imitację ludzkiego zapachu - niedoskonałą, z czego zdawał sobie sprawę, ale dość udatną, by zmylić innych - Grenouille sięgnął po najdziwniejsze ingrediencje z warsztatu Runela.

Za progiem drzwi prowadzących na podwórze wywęchał kocią kupę, jeszcze całkiem świeżą. Nabrał pół łyżeczki i zmieszał w kolbie z kilkoma kroplami octu oraz roztartą solą. Pod stołem znalazł kawałek sera wielkości paznokcia dużego palca, najwyraźniej pozostały z Rundowego posiłku. Ser był starawy, zaczynał się już rozkładać i wydzielał gryząco ostrą woń. Z pokrywy beczki z sardelami, stojącej w tylnej części sklepu, zeskrobał odrobinę nie wiadomo czego, zjełczałego i woniejącego rybą, zmieszał to ze zgniłym jajkiem, strojem bobrowym, amoniakiem, muszkatem, sproszkowanym rogiem oraz osmaloną świńską szczecina, drobno utłuczona. Dodał stosunkowo dużą

ilość cybetu, zmieszał wszystkie te straszliwe składniki z alkoholem, pozostawił do wytrawienia i odfiltrował do innej butelki. Miskulancja śmierdziała ohydnie. Cuchnęła zabójczo kloaką, a jej wyziewy rozcieńczone świeżym powietrzem dawały efekt taki, jak gdyby stanąć w upalny letni dzień na rue aux Fers w Paryżu, przy rogu rue de la Lingerie, gdzie zderzały się wonie z Hal, Cmentarza Niewiniątek i zatłoczonych domów.

Na tę straszliwą podkładkę, która sama w sobie wydawała woń raczej trupią niż ludzką, Grenouille położył teraz warstwę oleisto świeżych aromatów: mięty, lawendy, terpentyny, limonów, eukaliptusa, które następnie przytłumił i przyjemnie zamaskował bukietem delikatnych olejków kwiatowych - geranium, róży, kwiatu pomarańczy i jaśminu. Gdy rozcieńczył tę mieszankę alkoholem i odrobiną octu, ohydny zapach bazy, na której wszystko się opierało, stał się ledwo zauważalny. Podskórny fetor zatracił się prawie doszczętnie pod warstwą ingrediencji odświeżających, obrzydliwy rdzeń uszlachetniony został zapachem kwiatów, ba, stał się niemal interesujący i, o dziwo, nie czuć go już było wcale zgnilizną. Przeciwnie, pachnidło tchnęło lotną, uskrzydlającą wonią życia.

Grenouille nappełnił tą substancją dwa flakony, które następnie zakorkował i schował w zanadrze. Potem starannie umył wodą kolbę, moździerz, lejki i łyżeczki, przetrął je olejkami z gorzkich migdałów, aby usunąć wszelkie olfaktoryczne ślady, i wziął drugą kolbę. W niej skomponował naprędce drugie pachnidło, coś w

rodzaju kopii pierwszego, również złożone z elementów świeżych i kwiatowych, jego bazą nie była już jednak tamta miszkulancja rodem z kotła czarownic, ale esencjonalnie trochę piżma, ambry, odrobina cybetu i olejku cedrowego. Samo w sobie pachniało zupełnie inaczej niż to pierwsze, płasko, niewinnie, nieszkodliwie -brakowało mu bowiem tego, co w pierwszym imitowało zapach ludzki. Ale gdyby zastosował je zwyczajny człowiek i ożenił z własnym zapachem, byłoby nie do odróżnienia od tego, które Grenouille stworzył jedynie na swój własny użytek.

Przelawszy także to drugie pachnidło do flakonów Grenouille rozebrał się do naga i spryskał ubranie tamtym pierwszym. Potem natarł się nim pod pachami, między palcami u nóg, przy genitaliach, na piersi, na szyi, za uszami i pod włosami na głowie, ubrał się na powrót i opuścił pracownię.

Na ulicy nagle poczuł lęk, zrozumiał bowiem, że oto po raz pierwszy w życiu pachnie jak człowiek. Sam tymczasem uważał, że śmierdzi, ohydnie śmierdzi. I nie mógł sobie wyobrazić, by także inni nie czuli tego smrodu, i nie odważył się iść prosto do gospody, gdzie czekali Runel i ochmistrz markiza. Uznał, że bezpieczniej będzie wypróbować wpierw nową aurę w anonimowym otoczeniu.

Przez najciaśniejsze i najciemniejsze zaułki prześliznął się nad rzekę, gdzie mieli warsztaty i uprawiali swoje cuchnące rzemiosło garbarze i farbiarze. Gdy kogoś spotykał, bądź gdy mijał wejście do domu, gdzie bawiły

się dzieci albo siedziały stare kobiety, siłą nakazywał sobie zwolnić kroku i obnosić swój zapach w postaci wielkiego, zwartego obłoku.

Od młodości przywykł, że mijający go ludzie nie zwracają nań uwagi, nie z pogardy, jak kiedyś był sądził, ale dlatego, że nie zauważają jego istnienia. Nie tworzył wokół siebie przestrzeni, nie szła od niego fala, wprawiająca w drganie atmosferę, nie rzucał - by tak rzec żadnego cienia na twarze innych ludzi. Tylko wtedy, gdy bezpośrednio się z kimś zderzał, w tłoku albo z nagłą na rogu dwóch ulic, dochodziło do przelotnej percepcji; i napotkany człowiek zazwyczaj odskakiwał z przerażeniem, przez kilka sekund gapił się na Grenouille'a jak gdyby ujrzął istotę, która aczkolwiek bezsprzecznie istnieje, to jednak w jakiś sposób jej nie ma, a potem omijał go szerokim łukiem i momentalnie znowu o nim zapominał...

Teraz zaś, w zaułkach Montpellier, Grenouille czuł i widział wyraźnie - i za każdym razem, gdy to spostrzegał, przenikało go gwałtowne uczucie dumy - że swoją obecnością działa na ludzi. Przechodząc obok kobiety pochylonej nad studnią zauważył, że na chwilę uniosła głowę, aby zobaczyć, kto to idzie, a potem, widocznie uspokojona, znowu zajęła się wiadrem. Mężczyzna stojący do niego tyłem odwrócił się i przez dłuższą chwilę patrzył za nim ciekawie. Dzieci ustępowały mu z drogi - nie ze strachu, ale żeby mu zrobić przejście; i nawet jeśli wybiegały akurat z bram domów i wpadały prosto na niego, nie były

przestraszone, tylko przemykały w naturalny sposób obok, jak gdyby już wcześniej domyślały się jego obecności.

Dzięki kilku takim doświadczeniom Grenouille nauczył się trafniej oceniać siłę i rodzaj oddziaływania swojej nowej aury, stał się śmielszy i bardziej pewny siebie. Szybciej zbliżał się do ludzi, ocierał się o nich z bliska, a nawet odstrychnął nieco ramiona od tułowia i jak gdyby przypadkiem muskał ramię tego czy owego przechodnia. Raz, niby przez nieuwagę, potracił mijanego mężczyznę. Zatrzymał się, wybąkał przeprosiny, a mężczyzna, który jeszcze wczoraj przyjąłby niespodziewane zjawienie się Grenouille'a jak grom z jasnego nieba, zachował się jak gdyby nigdy nic, przyjął przeprosiny, a nawet uśmiechnął się przelotnie i klepnął Grenouille[^] po ramieniu.

Grenouille porzucił zaułki i wyszedł na plac przed katedrą św. Piotra. Biły dzwony. Z obu stron portalu tłoczyli się ludzie. Kończyła się właśnie ceremonia ślubna. Chciano zobaczyć pannę młodą. Grenouille podszedł bliżej i wmieszał się w tłum. Pchał się, parł naprzód, chciał się dostać w największą ciżbę, chciał się ocierać o ludzi, chciał im podetknąć pod nos swój własny zapach. I w największym ścisku rozłożył ręce i rozkraczył nogi i rozpiął kołnierz pod szyją, aby zapach mógł się, bez przeszkód rozchodzić - i uczuł bezgraniczną radość, przekonawszy się, że inni niczego, ale to niczego nie zauważyli, że wszyscy ci cisnący się wokół niego mężczyźni, kobiety i dzieci tak łatwo dają

się oszukać i przyjmują jego zmaistrowany z kociej kupy, sera i octu smrodek za swojski zapach, a jego, Grenouille'a, kukułczy pomiot, akceptują jako człowieka wśród ludzi.

Poczuł, że u jego kolan znajduje się dziecko, mała dziewczynka, która utknęła między dorosłymi. Z nieszczerą troskliwością podniósł ją i posadził sobie na ramieniu, aby dziecko mogło lepiej widzieć. Matka dziewczynki nie tylko nie zaprotestowała, ale wręcz podziękowała mu, a mała krzyczała z radości.

I Grenouille stał tak dobry kwadrans w ludzkiej ciżbie, przytulając obce dziecko do obłudnej piersi. I kiedy tuż obok sunął orszak weselny, wśród dźwięku dzwonów i gromkich wiwatów, pod deszczem sypiących się monet, w Grenouille'u wybuchła inna radość, czarna radość, złe uczucie triumfu, które wprawilo go w drzenie i odurzyło jak nagły przyływ żądz, i z trudem tylko powstrzymał się, by żółcią i jadem nie wylać tej radości na stojących wokół ludzi i nie wykrzyczeć im z triumfem w twarz: że się ich nie boi; że nawet ich nie nienawidzi, tylko z głębi serca nimi pogardza, ponieważ są śmierdzącymi idiotami; ponieważ dają mu się okłamywać i oszukiwać; ponieważ oni są niczym, a on jest wszystkim! I jak na urągowisko mocniej przycisnął dziecko do piersi, zaczerpnął tchu i krzyczał chórem wraz z innymi: „Wiwat panna młoda! Niech żyje panna młoda! Niech żyje młoda para!”

Gdy orszak weselny przeszedł i tłum począł się rozpraszać, Grenouille oddał dziecko matce i wszedł do

kościół, aby ochłoniąć i wypocząć. Wnętrze katedry przesycone było dymem kadzidła, wzbijającym się dwiema stygnącymi smugami z kadzielnic po obu stronach ołtarza i jak ciężka czapa przygniatającym subtelniejsze zapachy ludzi, którzy przed chwilą wypełniali katedrę. Grenouille przycupnął na ławce pod chórem.

Nagle ogarnęło go wielkie zadowolenie. Nie upajające uczucie dosytu, jak wówczas, gdy odprawiał swoje samotnicze orgie w łonie góry, ale bardzo chłodne i trzeźwe zadowolenie, jakie daje świadomość własnej potęgi. Wiedział teraz, co potrafi. Najskromniejszymi środkami, dzięki swemu geniuszowi, potrafił stworzyć imitację zapachu człowieka i od pierwszego razu udało mu się to tak dobrze, że nawet dziecko dało się oszukać. Wiedział teraz, że potrafi jeszcze więcej. Wiedział, że może udoskonalić ten zapach. Stworzy zapach nie tylko ludzki, ale nadludzki, anielski zapach, tak cudowny i tchnący taką żywotną siłą, że ktokolwiek go poczuje, będzie oczarowany i zmuszony całym sercem Grenouille'a pokochać.

Tak, kiedy znajdą się we władzy tego zapachu, będą musieli go pokochać, nie tylko uznać za swego, ale kochać go do szaleństwa, będą gotowi do największych ofiar, będą drżeć z zachwyty, będą krzyczeć, będą łkać z rozkoszy, nie wiedząc dlaczego, będą padać na kolana, jak w kościele w wystygłych strugach Bożego kadzidła - na sam jego, Grenouille'a, zapach! Grenouille stanie się wszechmogącym Bogiem zapachu, tak jak był nim w

swoich rojeniach, tylko że w rzeczywistym świecie i dla rzeczywistych ludzi. I wiedział, że leży to w jego mocy. Ludzie bowiem mogą zamykać oczy na wielkość, na grozę, na piękno, i mogą zamykać uszy na melodie albo bałamutne słowa. Ale nie mogą uciec przed zapachem. Zapach bowiem jest bratem oddechu. Zapach wnika do ludzkiego wnętrza wraz z oddechem i ludzie nie mogą się przed nim obronić, jeżeli chcą żyć. I zapach idzie prosto do serc i tam w sposób kategoriyczny rozstrzyga o skłonności lub pogardzie, odrazie lub ochocie, miłości lub nienawiści. Kto ma władzę nad zapachami, ten ma władzę nad sercami ludzi.

Grenouille siedział odprężony na ławce w katedrze św. Piotra i uśmiechał się. Układając plan zdobycia władzy nad ludźmi, nie był wcale w euforii. W oczach nie błyszczał mu obłąd, twarzy nie wykrzywiał grymas szaleństwa. Nie stracił przytomności. Miał umysł tak jasny i pogodny, że sam siebie zapytywał, dlaczego w ogóle tego pragnie. I sam odpowiedział sobie, że pragnie tego, ponieważ jest na wskroś zły. I uśmiechnął się, i uczuł wielkie zadowolenie. Wyglądał całkiem niewinnie, jak człowiek, który jest szczęśliwy.

Siedział tak jeszcze przez chwilę, w skupionym spokoju, i zaciągał się przesyconym kadzidłem powietrzem. I na jego twarzy pojawił się znowu pogodny uśmiech: jak nędznie pachniał ten Bóg! Jak kiepsko zrobiony był zapach, którym ów Bóg tchnął. To, co paliło się w kadzielnicach, nie było nawet prawdziwym kadzidłem. Podły surogat, sfałszowany lipowym drzewem,

cynamonem i saletrą. Bóg śmierdział. Bóg był małym, żałosnym śmierdzielem. Oszukano go albo sam był oszustem, tak samo jak Grenouille - tylko o wiele gorszym!

33

Markiz de la Taillade-Espinasse był zachwycony nowymi perfumami. Nawet dla niego - powiedziała - nawet dla niego, odkrywcy fluidu letalnego, było rzeczą zdumiewającą, że coś tak drugorzędnego i ulotnego jak perfumy, w zależności od tego, czy z pochodzenia są substancją bliskoziemną czy odległoziemną, mają tak kolosalny wpływ na ogólne samopoczucie jednostek. Oto Grenouille, który jeszcze kilka godzin temu leżał tu blady i bliski omdlenia, wygląda teraz tak rześko i kwitnąco, jak każdy zdrowy mężczyzna w jego wieku, ba, można wręcz powiedzieć, że - przy wszelkich zastrzeżeniach stosownych w przypadku osobnika jego stanu i jego znikomej ogłady - uzyskał niemal coś takiego jak osobowość. W każdym razie on, Taillade-Espinasse, w swej mającej się niebawem ukazać rozprawie poświęconej teorii fluidu letalnego, w rozdziale o dietetyce witalnej, uczyni wzmiankę o tym zdarzeniu. Ale przede wszystkim chciałby teraz sam uperfumować się nowym pachnidłem.

Grenouille wręczył mu obydwie flakoniki z konwencjonalnymi perfumami kwiatowymi, i markiz spryskał się nimi. Efekt zadowolił go w najwyższym stopniu. Czuje się poniekąd tak - wyznał - jak *gdyby* po

latach cierpienia pod nieznośnym ciężarem fiołków nagle wyrosły mu kwietne skrzydła; i jeżeli się nie myli, przykry ból w kolanie już ustępuje, podobnie jak szum w uszach; reasumując, czuje się podniesiony na duchu, wzmocniony i o dobre kilka lat młodszy. Podszedł do Grenouille'a, uścisnął go i nazwał „swoim bratem we fluidzie”, dodając, iż nie jest to kategoria natury społecznej, tylko czysto duchowe określenie *in conspectu uni-versalitatis fluidi letalis*, wobec którego - i jedynie wobec niego! - wszyscy ludzie są równi; zresztą sam planuje nawet - prawił dalej Taillade-Espinasse odrywając się od Grenouille'a, i to wcale przyjaźnie, w żadnym razie nie z odrazą, niemal tak, jak gdyby uwalniał się z uścisku kogoś równego sobie - założyć wkrótce międzynarodową ponadstanową lożę, której celem będzie całkowite wytepienie fluidu letalnego oraz zastąpienie go przez czyste *fluidum vitale*, i już teraz obiecuje pozyskać dla tej sprawy Grenouille'a jako pierwszego prozelitę. Potem kazał zapisać sobie na karteluszkach recepturę kwiatowych perfum, karteluszek schował i podarował Grenouille'owi pięćdziesiąt luidorów.

Dokładnie w tydzień po pierwszej prelekcji markiz de la Taillade-Espinasse ponownie zaprezentował swego podopiecznego w uniwersyteckiej auli. Publiczność napływała tłumnie. Przyszło całe Montpellier, nie tylko sfery naukowe miasta, ale także i przede wszystkim towarzyskie, w tym wiele dam, które chciały zobaczyć legendarnego Człowieka z Jaskini. I aczkolwiek

przeciwnicy Taillade'a, głównie członkowie Kółka Przyjaciół Uniwersyteckiego Ogrodu Botanicznego oraz przedstawiciele Zrzeszenia na rzecz Popierania Agrykultury zmobilizowali wszystkich swoich stronników, impreza była kolosalnym sukcesem. Aby przypomnieć publiczności stan Grenouille'a sprzed tygodnia Taillade-Espinasse puścił w obieg najpierw rysunki, przedstawiające Człowieka z Jaskini w całej jego szpetocie i zapuszczeniu. Potem kazał wprowadzić nowego Grenouille'a, w pięknym surducie z błękitnego aksamitu i w jedwabnej koszuli, uszminekowanego, upudrowanego i ufryzowanego; już sam sposób, w jaki Grenouille szedł, mianowicie wyprostowany, zgrabnie stawiając nogi i kołysząc się wytwornie w biodrach, już samo to, że bez niczyjej pomocy wspiął się na podium, skłonił głęboko, rozdawał na prawo i lewo uśmiechy i lekkie skinienia głowy, zamknęło usta wszelkim niedowiarkom i krytykantom. Nawet Przyjaciele Uniwersyteckiego Ogrodu Botanicznego milczeli zakłopotani. Metamorfoza biła w oczy, cud, jaki się tu najwyraźniej dokonał, miał nieodpartą siłę dowodową: w miejscu, gdzie przed tygodniem sterczało wynędzniałe, prymitywne bydło, dziś stał zaiste cywilizowany, foremny człowiek. W sali zapanował nastrój niemal nabożny, a gdy Taillade-Espinasse przystąpił do wykładu, zapadła absolutna cisza. Markiz wyłożył raz jeszcze swoją aż nadto znaną teorię letalnego fluidu ziemnego, wyjaśnił następnie, jakimi to mechanicznymi i dietetycznymi środkami usunął ów

fluid z organizmu demonstranta i zastąpił fluidem witalnym, następnie zaś wezwał obecnych, zarówno zwolenników jak przeciwników, by w obliczu tak niezbitych dowodów zaprzestali oporu wobec nowej nauki i wraz z nim, markizem de la Taillade-Espinasse, przystąpili do walki ze złym fluidem, a otworzyli się na przyjęcie dobrego fluidu witalnego. W tym momencie rozpostarł ramiona i wznosił oczy ku niebu, a wielu uczonych panów uczyniło to samo, a panie płakały. Grenouille stał na podium i nie słuchał. Z najwyższą satysfakcją obserwował działanie całkiem innego fluidu, daleko bardziej realnego: swego własnego. Odpowiednio do przestrzennych wymogów sali uperfumował się bardzo mocno i ledwo wszedł na podium, potężna aura jego woni poczęła rozchodzić się po sali. Widział -tak, widział to nawet oczyma! - jak ogarnia widzów siedzących z przodu, niepowstrzymanie sunie dalej, a wreszcie dociera do ostatnich rzędów i na galerię. A ten, kogo ogarnęła - serce Grenouille'a drżało na ten widok radością - przeistaczał się w oczach. Pod urokiem jego zapachu, choć tego nieświadomi, ludzie zmieniali wyraz twarzy, zaczynali zachowywać się i czuć inaczej. Kto zrazu gapił się na Grenouille'a tylko z wielkim zdumieniem, teraz patrzył na niego życzliwym okiem, kto siedział odchylony do tyłu, z krytycznie namarszczonym czołem i wymownym skrzywieniem ust, teraz wychylał się swobodniej ku przodowi, a jego twarz łagodniała dziecięco; i nawet na obliczach tych lękliwych,

wystraszonych, najwrażliwszych, którzy przed tygodniem reagowali na widok Grenouille'a odrazą, a dziś przynajmniej należyty sceptycyzmem, pojawiły się oznaki przychylności, ba - sympatii, gdy dotarł do nich jego zapach.

Kiedy wykład dobiegł końca, zgromadzeni powstali z miejsc i wybuchnęli frenetycznym entuzjazmem. „Niech $\pm y'$)G *fluidum vitale!* Niech żyje Taillade-Espinasse! Wiwat teoria fluidalna! Precz z ortodoksyjną medycyną!” - tak krzyczała uczona społeczność Montpellier, najznakomitszego miasta uniwersyteckiego na południu Francji, a markiz de la Taillade-Espinasse przeżywał najpiękniejsze chwile swego życia.

Grenouille zaś, który zszedł teraz ze swego podium i wmieszał się w tłum, wiedział, iż w gruncie rzeczy te owacje odnoszą się do niego, wyłącznie do niego, Jana-Baptysty Grenouille'a, choć nikt z wiwatujących się tego nie domyśla.

34

Został w Montpellier jeszcze przez kilka tygodni. Zdobył sobie pewien rozgłos i zapraszany bywał na salony, gdzie wypytywano go o życie w jaskini i o cudowną kurację markiza. Wciąż na nowo musiał opowiadać historię o zbójcach, którzy go porwali, o koszu, który spuszczano w dół, i o drabince. I za każdym razem ubarwiał ją nieco i dorzucał nowe szczegóły. Dzięki temu uzyskał ponownie niejaką wprawę w posługiwaniu się mową - w bardzo

ograniczonym stopniu co prawda, gdyż przez całe życie miał kłopoty z mówieniem - i, co miało dlań większą wagę, wyćwiczył się biegle w kłamstwie.

Stwierdził, że w gruncie rzeczy może tym ludziom opowiadać, co mu się żywnie podoba. Gdy raz nabrali doń zaufania - zaufania zaś nabierali od pierwszego zaciągnięcia się jego sztucznym zapachem - wierzyli we wszystko. Zyskał ponadto pewną swobodę w towarzyskim obcowaniu, jakiej nigdy przedtem nie miał. Przejawiało się to nawet w jego wyglądzie. Zdawało się, że urósł. Garb jak gdyby zanikł. Grenouille chodził prawie zupełnie wyprostowany. A gdy ktoś go zagadywał, nie kulił się już w sobie, ale stał prosto i wytrzymywał skierowane na siebie spojrzenie. Zgoda, nie stał się może światowcem, lwem salonowym czy pewnym siebie bywalcem. Ale przeszło mu wyraźnie całe zahukanie i niezręczność, ustępując miejsca postawie, którą tłumaczono jako naturalną skromność albo najwyżej jako pewną wrodzoną nieśmiałość, co niektórych panów i niektóre panie przyprawiało o wzruszenie - w światowych kręgach miano wówczas słabość do naturalności i swoistego nieokrzesanego wdzięku.

Z początkiem marca Grenouille spakował manatki i wyniósł się, potajemnie, wczesnym rankiem, tuż po otwarciu bram, ubrany w skromny brązowy surdut, który poprzedniego dnia nabył u handlarza starzyzną, oraz znoszony kapelusz, który częściowo zasłaniał mu twarz. Nikt go nie rozpoznał, nikt go nie widział ani nie

zauważył, gdyż tego dnia Grenouille rozmyślnie zaniechał uperfumowania się. A gdy markiz około południa zarządził poszukiwania, strażnicy zaklinali się na wszystkie świętości, że widzieli wprawdzie rozmaitych ludzi opuszczających miasto, ale na pewno nie owego znanego wszystkim Człowieka z Jaskini, który przecież rzuciłby im się w oczy. Markiz kazał przeto rozpowiadać, że Grenouille opuścił Montpellier za jego zgodą, aby w sprawach rodzinnych udać się do Paryża. W duchu był jednak wściekły, planował bowiem odbyć z Grenouille'em *tournee* po całym królestwie, aby werbować zwolenników dla teorii fluidu.

Po jakimś czasie uspokoił się, jego sława rozchodziła się bowiem także i bez *tournee*, niemal bez żadnych w ogóle wysiłków z jego strony. W „Journal des Savants”, a nawet w „Courier de l'Europe” ukazały się długie artykuły, których przedmiotem było *fluidum letale Tailladi*, z daleka przybywali zainfekowani fluidem pacjenci, aby markiz ich uzdrowił. Latem 1764 roku markiz założył pierwszą Lożę Fluidu Witalnego, która w Montpellier liczyła stu dwudziestu członków oraz miała filie w Marsylii i Lyonie. Potem postanowił zaryzykować wyprawę do Paryża, by stamtąd podbić swoją teorią cały cywilizowany świat, przedtem jednak chciał dla propagandowego podparcia swej ofensywy dokonać jakiegoś fluidalnego wyczynu, który przyćmiłby uzdrowienie Człowieka z Jaskini jak również wszystkie inne eksperymenty, i na początku grudnia w towarzystwie grupki nieustraszonych

adeptów wyruszył na Pic de Canigou, górę położoną na tym samym południku co Paryż i uchodzącą za najwyższy szczyt w Pirenejach. Ów bliski starczego zniechęcenia mężczyzna zamierzał kazać się wnieść na szczyt wysokości 2800 metrów, aby tam przez trzy tygodnie poddawać się działaniu najczystszej, najświeższego powietrza witalnego, a potem, jak obwieścił, dokładnie w wieczór wigilijny zejść na dół z wawym dwudziestoletnim młodzieniaszkiem.

Adepci dali za wygraną tuż za Vernet, ostatnią ludzką osadą u stóp straszliwej góry. Markiz jednak był niezłomny. Zrzucając na siarczystym mrozie ubranie i wydając radosne okrzyki rozpoczął samotną wędrówkę. Po raz ostatni widziano go, kiedy z ekstatycznie wzniesionymi ku niebu ramionami i śpiewem na ustach zniknął w śnieżnej kurzawie.

W wieczór wigilijny uczniowie daremnie czekali na ponowne przyjście markiza de la Taillade-Espinasse. Nie wrócił ani jako starzec, ani jako młodzieniec. Także wiosną następnego roku, gdy najśmielsi wyruszyli na poszukiwania i dotarli na szczyt wciąż ośnieżonego Pic de I Canigou, nie znaleźli nic, żadnego strzępka odzieży, żadnej części ciała, żadnej kosteczki.

Jego nauka nie doznała jednak wskutek tego uszczerbku. Przeciwnie. Wkrótce rozeszła się legenda, że na szczycie góry markiz połączył się z wiecznym fluidem witalnym, roztopił się w nim i jego roztopił w sobie, i odtąd unosi się niewidzialny, ale wiecznie młody nad szczytami Pirenejów, a kto wejdzie do niego

na górę, tea dostąpi udziału w jego istocie i na rok będzie zabezpieczony przed chorobami i starością. Jeszcze w XIX stuleciu fluidalna teoria Taillade'a znajdowała rzeczników na niektórych katedrach medycyny oraz była stosowana w praktyce terapeutycznej wielu towarzystw okultystycznych. Do dziś po obu stronach Pirenejów, i, a zwłaszcza w Perpignan i Figueras, istnieją tajemne loże tailladystów, którzy zbierają się raz do roku, aby ' , wspiąć się na Pic de Canigou.

Tam rozpalają wielkie ognisko, rzekomo z okazji letniego przesilenia i ku czci świętego Jana - w rzeczywistości zaś po to, by oddać hołd swemu mistrzowi Taillade-Espinasse i jego cudownemu fluidowi oraz by dostąpić wiecznego żywota.

CZEŚĆ TRZECIA

35

Na pierwszy etap swojej podróży przez Francję Grenouille zużył siedem lat, drugi natomiast odbył w niespełna siedem dni. Nie unikał już ruchliwych gościńców i miast, nie szedł okrężnymi drogami. Miał zapach, miał pieniądze, miał wiarę we własne siły i mało czasu.

Opuściwszy Montpellier już wieczorem tego samego dnia dotarł do Le Grau-du-Roi, małego miasta portowego na południo-zachód od Aigues-Mortes, gdzie wszedł na pokład frachtowca idącego do Marsylii.

W Marsylii nie od razu opuścił port, ale znalazł sobie statek, którym popłynął dalej wzdłuż wybrzeża w kierunku wschodnim. Dwa dni później był w Tulonie, po jeszcze trzech dniach w Cannes. Resztę drogi odbył piechotą. Szedł dróżką wiodącą od wybrzeża ku północy, pod górę.

Po dwóch godzinach stanął na szczycie łagodnego wzniesienia, a przed nim rozpościerała się na wiele mil wszerz i wzdłuż kotlina, jak gdyby kolosalna misa, którą wokół zamykały miękko wznoszące się wzgórza oraz poszarpane łańcuchy górskie i której dno wyścielały świeżo zaorane pola, ogrody i gaje oliwne. W misie tej panował całkiem swoisty, dziwnie intymny klimat. Chociaż morze znajdowało się tak blisko, że widać je było z wierzchołka wzgórz, nie zaznaczało się tu nic z jego atmosfery, nic ze słono-piaszczystego żywiołu, nic z otwartej przestrzeni, miejsce zdawało się tak ciche i ustronne, jak *gdyby* od wybrzeża dzieliło je wiele dni drogi. I chociaż od północy wznosiły się wysokie góry, gdzie wciąż leżał i długo jeszcze miał leżeć śnieg, nie wyczuwało się tu ani śladu klimatu surowego czy ostrego, nie docierał żaden chłodniejszy podmuch. Wiosna zaszła tu już dalej niż w Montpellier. Łagodna mgiełka okrywała pola niczym szklany klosz. Kwitły drzewa morelowe i migdałowce, w ciepłym powietrzu unosił się zapach narcyzów.

U drugiego końca wielkiej niecki, w odległości jakichś dwu mil leżało albo raczej czepiało się górskiego zbocza miasto. Z dala nie wydawało się bynajmniej imponujące.

Nie było tam potężnej katedry, która wystrzelałaby ponad domy, tylko niewielka szpica kościelnej wieży, nie było górujących nad wszystkim warownych umocnień, nie było rzucających się w oczy wspaniałych budowli. Mury tego miasta nie zdawały się zgoła niedostępne, tu i ówdzie domy wyciekały poza ich linię, zwłaszcza w dół, ku równinie, i nadawały miękkiej sylwecie miasta wygląd nieco nieporządkny. Odnosiło się wrażenie, że miasto zbyt często było podbijane i znowu wyzwalone, że ma dość i na przyszłość nie pragnie stawiać poważnego oporu intruzom - nie, wcale nie ze słabości, tylko z nonszalancji albo nawet w poczuciu własnej siły. Wyglądało tak, jak *gdyby* nie musiało wcale się pysznić. Panowało nad wielką, wonną niecką u swoich stóp i to zdawało mu się wystarczać.

Ta zarazem niepozorna i pewna siebie miejscowość zwała się Grasse i od kilku dziesiątków lat była niekwestionowaną stolicą branży substancji aromatycznych, artykułów perfumeryjnych, mydeł i olejków. Giuseppe Baldini wymawiał tę nazwę zawsze z pełnym zachwytem rozmarzeniem. To miasto było Rzymem zapachów, ziemią obiecaną perfumerii, i nie zasługiwał na miano perfumiarza, kto nie zdobył tu ostróg.

Grenouille patrzył na miasto Grasse bardzo trzeźwo. Nie szukał obiecanej ziemi perfumerii i serce nie zadrżało mu w piersi na widok gniazdka przytulonego do zbocza po drugiej stronie niecki. Przyszedł tu, ponieważ wiedział, że można się tu lepiej niż gdzie

indziej nauczyć pewnych technik eksploatacji zapachu. Grenouille chciał zaś przyswoić sobie te techniki, gdyż były mu potrzebne dla jego własnych celów. Wydobył z kieszeni swoje pachnidło, uperfumował się oszczędnie i ruszył dalej. W półtorej godziny później, koło południa, był w Grasse.

Zjadł w gospodzie u górnego krańca miasta, na place aux Aires. Plac ten przecięty był strumieniem, przy którym garbarze płukali skóry, a następnie rozkładali je do suszenia. Odór skór był tak ostry, że niektórzy goście tracili apetyt. Nie Grenouille. Grenouille był oswojony z tym odorem, czerpał zeń poczucie bezpieczeństwa. W każdym mieście zaczynał od odszukania kwartału garbarzy. A potem, opuszczając sferę smrodu i penetrując inne dzielnice, nie czuł się już obco.

Przez całe popołudnie włóczył się po mieście. Było niewiarygodnie brudne, pomimo albo może wskutek obfitości wody, bijącej z dziesiątków źródeł i fontann, szemrzającej nie uregulowanymi strumykami i ściekami w dół miasta, podmywającej zaułki albo zalewającej je szlamem. Domy stały h~ niektórych dzielnicach tak gęsto, że na przejścia i schodki zostawał ledwo łokieć wolnej przestrzeni i brodzący w błocie przechodnie musieli się przeciskać jeden obok drugiego. Nawet na placach albo nielicznych szerszych ulicach ledwo mogły zmieścić się obok siebie dwa wozy.

Jednakże, mimo całego brudu, mimo zapuszczenia i ciasnoty, miasto tętniło przedsiębiorczą energią. Podczas swego obchodu Grenouille zauważył nie mniej

niż siedem wytwórni mydła, tuzin warsztatów perfumeryjnych i rękawicznicznych, niezliczone małe destylarnie, wytwórnie pomad i delikatesów, a wreszcie ze siedmiu kupców handlujących pachnidłami *en gros*. Byli to prawdziwi hurtownicy branży perfumeryjnej. Patrząc na ich domy często trudno się było tego domyślić. Fasady od strony ulicy wyglądały po mieszczańsku skromnie. Ale to, co znajdowało się od tyłu, zawartość magazynów i wielkich piwnic, beczułki oliwy, stosy najwykwintniej szych lawendowych mydełek, gąsiory wody kwiatowej, win i alkoholi, bele wonnych skór, worki, pudła i skrzynie przypraw - Grenouille rozpoznawał je po zapachu przez najgrubsze mury - stanowiło bogactwo, jakiego pozazdrościć mogli udziałni władcy. Kiedy zaś Grenouille wwąchał się uważniej, na wskroś przez położone od ulicy prozaiczne pomieszczenia sklepowe i magazyny, odkrył, że na zapleczu tych niepozornych mieszczańskich domów znajdują się najbardziej luksusowe rezydencje. Wokół małych, ale uroczych ogródków, gdzie rosły bujnie oleandry i palmy, a wśród rabat szemrały ozdobne fontanny, ciągnęły się, na ogół w formie zwróconej na południe litery U, właściwe skrzydła mieszkalne: słoneczne sypialnie kryte jedwabnymi tapetami na piętrze, wspaniałe, wybite boazeriami z egzotycznych gatunków drzew salony na parterze i jadalnie, niekiedy tarasowato wysunięte na dwór, gdzie faktycznie, tak jak opowiadał Baldini, jedzono złotymi sztućcami na porcelanowych talerzach. Ludzi, którzy mieszkali za

tymi skromnymi kulisami, czuć było złotem i władzą, ciężkim, dobrze zabezpieczonym bogactwem - w takim stężeniu Grenouille w swej podróży tego zapachu jeszcze nie napotkał.

Przed jednym z tych zamaskowanych *palazzi* zatrzymał się na dłuższą chwilę. Dom znajdował się u początku rue Droite, jednej z głównych ulic, przecinającej miasto wzdłuż, z zachodu na wschód. Dom nie wyróżniał się niczym szczególnym, owszem, fasadę miał szerszą i dostatniejszą niż sąsiednie budynki, ale zgoła nie był imponujący. Przed bramą wjazdową stał wóz pełen beczek, które wyładowywano po drewnianej pochylni. Drugi wóz czekał swojej kolejki. Do kantoru wszedł jakiś mężczyzna z papierami w ręce, wyszedł stamtąd w towarzystwie drugiego i obaj znikli w bramie. Grenouille stał po drugiej stronie ulicy i przyglądał się krzątaniu. To, co się tu akurat odbywało, nie interesowało go. Mimo to nie ruszał się. Coś przykuło go do tego miejsca.

Zamknął oczy i skupił się na zapachach płynących od budynku. Rozpoznawał zapach beczek octu i wina, różnorakie ciężkie wonie z magazynu, woń bogactwa, jaką wydzielały mury niczym delikatny złocisty pot, wreszcie wonie ogrodu, który musiał znajdować się na tyłach domu. Zapachy ogrodowe, subtelniejsze, niełatwo było wychwycić, ponieważ sączyły się ponad dachem w dół na ulicę ledwo cienkimi smużkami. Grenouille rozpoznał magnolię, hiacynty, wilcze łyko i rododendron, ale zdawało mu się, że w ogrodzie jest coś

jeszcze, coś zabójczo dobrego, zapach tak wyborny, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie schwytał w nozdrza, chociaż nie, kiedyś, jeden jedyny raz...' Musiał dobrać się do niego z bliska.

Zastanawiał się, czyby nie wejść po prostu na teren posesji przez bramę. Ale tymczasem zeszło się tylu ludzi do rozładowywania i sprawdzania beczek, że na pewno ktoś by go zauważył. Zdecydował się zawrócić i poszukać uliczki albo pasażu idącego wzdłuż bocznej ściany domu. Po kilku metrach znalazł się przy bramie miejskiej, którą kończyła się rue Droite. Wyszedł tą bramą, skręcił w lewo i posuwał się wzdłuż murów. Niebawem uczuł znowu zapach ogrodu, zrazu słaby, zmieszany jeszcze z powietrzem znad pól, potem coraz mocniejszy. Aż na koniec wiedział, że teraz jest już całkiem blisko. Ogród przytykał do murów. Był tuż-tuż. Cofnąwszy się Grenouille mógł ponad murem zobaczyć czubki drzewek pomarańczowych. Znowu przymknął oczy. Opadły go wonie ogrodu, wyraźne i ostro zarysowane jak barwne wstęgi tęczy. I był wśród nich ten jeden, cudowny, ten, za którym tu przyszedł. Grenouille uczuł, że robi mu się gorąco z rozkoszy i zimno ze strachu. Krew uderzyła mu do głowy, poczerwieniał jak przyłapany smarkacz, a potem pobrał, jak gdyby cała krew odpłynęła ku środkowi ciała, i tak czerwieniał i biał na przemian, i nie mógł na to nic poradzić. Atak zapachu był zbyt nagły. Przez moment, przez chwilę potrzebną na zaczerpnięcie tchu, przez wieczność wydawało mu się, że czas podwoił się

albo znikł w ogóle, bo Grenouille nie wiedział już, czy teraz jest teraz i czy tutaj jest tutaj, czy też może raczej teraz było wtedy, a tutaj było tam, mianowicie na rue des Marais w Paryżu, we wrześniu 1753 roku: z ogrodu dochodził zapach rudowłosej dziewczyny, którą wtedy zamordował. Do oczu napłynęły mu łzy szczęścia, że oto znowu odnalazł ten zapach, i drżał w śmiertelnym strachu, iż może to nieprawda.

Kręciło mu się w głowie, poczuł słabość, musiał oprzeć się o mur i z wolna osuwając się po nim przykucnął na ziemi. W tej pozie, skupiwszy się i opanowawszy, począł wciągać fatalny zapach małymi, mniej ryzykownymi dawkami. I stwierdził, że zapach zza muru wprawdzie niezmiernie przypomina zapach rudowłosej dziewczyny, ale nie jest z nim całkiem tożsamy. Jakkolwiek pochodził też od rudowłosej dziewczyny, co do tego nie było wątpliwości. Grenouille w swoich olfaktorycznych wyobrażeniach widział tę dziewczynę jak na obrazie: nie siedziała spokojnie na jednym miejscu, tylko skakała tu i tam, było jej raz gorąco, raz znowu chłodniej, najwyraźniej bawiła się, i zabawa ta wymagała na przemian szybkich ruchów i chwil spoczynku. Miała olśniewająco białą skórę. Miała zielonkawe oczy. Miała piegi na twarzy, szyi i piersiach... to znaczy -Grenouille zatchnął się na moment, potem wciągnął głębiej powietrze i spróbował przytłumić olfaktoryczne wspomnienie dziewczyny z rue des Marais... - to znaczy, ta dziewczyna w ogóle nie miała jeszcze piersi we właściwym znaczeniu tego

słowa! Miała ledwo pączkujące zawiązki piersi. Miała nieskończenie delikatnie i słabiutko pachnące, usiane piegami wzgóreczki piersi, rozwijające się może ledwo od paru dni, może dopiero od paru godzin... Właściwie dopiero od tej chwili. Jednym słowem: dziewczyna była jeszcze dzieckiem. Ale jakim dzieckiem!

Grenouille'owi pot wystąpił na czoło. Wiedział, że dzieci nie mają żadnego szczególnego zapachu, akurat tyle, co wystrzelające pędy roślin, zanim zakwitną. Ale ta niemal jeszcze nie rozwinięta roślinka zza muru, która ledwo zaczęła wypuszczać pierwsze wonne pędy, czego nie zauważył jeszcze nikt prócz Grenouille'a, pachniała już tak niebiańsko, że kiedy rozwinie się w całej swej okazałości, będzie roztaczała zapach, jakiego świat do tej pory nie wahał. Już teraz pachnie lepiej - myślał Grenouille - niż wtedy ta dziewczyna z rue des Marais, nie tak mocno, nie tak intensywnie, ale subtelniej, rozmaiciej i zarazem naturalniej. A za rok-dwa ten zapach dojrzeje i będzie miał siłę, której nie oprze się żaden człowiek, ani mężczyzna, ani kobieta. Ulegną wszyscy, skapitulują, bezsilni wobec uroku tej dziewczyny, i sami nie będą wiedzieli dlaczego. A ponieważ są głupi i nosy służą im wyłącznie do kichania, za to wydaje im się, że potrafią wszystko zobaczyć i poznać oczyma, powiedzą; że to dlatego, iż dziewczyna ma urodę, grację i wdzięk. Będą w swojej tępcie wysławiali jej regularne rysy, smukłą kibić, kształtne piersi. A jej oczy, powiedzą, są jak szmaragdy, a zęby jak perły, a płeć jak kość słoniowa - i tym

podobne idiotyczne porównania. I zostanie obwołana Królową Jaśminu, i będą ją malowali durni portreciści, i wszyscy będą się gapili na jej wizerunek, i będzie się mówiło, że to najpiękniejsza kobieta we Francji. Młodzi chłopcy będą po całych nocach zawodzili pod jej oknami do wtóru mandolin..., grubi, bogaci, podstarzali mężczyźni będą na kolanach błagali jej ojca o jej rękę..., a kobiety bez względu na wiek będą na jej widok wzdychały i śniły po nocach o tym, by choć przez jeden dzień wyglądać tak uwodzicielsko jak ona. I nie będą wiedzieli, że w gruncie rzeczy ulegają wcale nie jej wyglądowi, wcale nie jej rzekomo nieskazitelnej zewnętrznej piękności, ale jej niezrównanemu, cudownemu zapachowi! Tylko on będzie to wiedział, Grenouille, on jeden. Wiedział to już dziś.

Ach! Chciał mieć ten zapach! Zdobyć go, ale nie poczynić sobie tym razem tak nieskutecznie i niezdarnie jak wtedy na rue des Marais. Tamtym zapachem upił się tylko, wchłonał go w siebie i tym samym go zniszczył. Nie, zapach dziewczyny zza muru chciał sobie naprawdę przyswoić, ściągnąć go z dziewczyny jak skórę i uczynić swym własnym zapachem. Jak to zrobić, tego sam jeszcze nie wiedział. Ale miał przed sobą dwa lata, by się nauczyć. W gruncie rzeczy nie mogło to być trudniejsze niż zawłaszczanie zapachu rzadkich kwiatów.

Wstał. Niemal z nabożeństwem, jak gdyby opuszczał święte miejsce albo uśpioną kobietę, oddalił się, zgarbiony, ostrożnie, aby nikt go nie dojrzał, nikt nie

dosłyszał, nikt nie zainteresował się jego cennym znaleziskiem. Powędrował wzdłuż murów aż na przeciwległy kraniec miasta, gdzie zapach dziewczyny ostatecznie się zatracił, a Grenouille wszedł z powrotem w obręb murów przez Porte des Feneants. Przystanął w cieniu domów. Cuchnące wyziewy uliczek dodały mu pewności siebie i pomogły opanować namiętność, jaka nim owładnęła. Po kwadransie był już całkiem spokojny. Przede wszystkim, pomyślał, nie wróci już w pobliże ogrodu przy murach. Nie trzeba. To go zanadto podnieca. Roślinka dojrzeje i bez jego pomocy, a co z niej wyrośnie i tak już wiedział. Nie powinien się przedwcześnie upajać jej zapachem. Musi się wziąć do roboty. Musi rozszerzyć swoją wiedzę i udoskonalić fachowe umiejętności, aby być gotowym, gdy przyjdzie czas zbiorów. Ma przed sobą jeszcze dwa lata.

Opodal Porte des Feneants, na me de la Louve, Grenouille znalazł niewielki warsztat perfumeryjny i spytał. o robotę.

Okazało się, że właściciel, *maitre parfumeur* Honoriusz Arnulfi, zmarł ubiegłej zimy, a wdowa po nim, żwawa czarnowłosa kobieta lat mniej więcej trzydziestu, prowadzi interes sama przy pomocy czeladnika.

Madame Arnulfi, wylawszy z siebie potok skarg na złe czasy i własną sytuację materialną, oświadczyła, że wprawdzie nie może sobie pozwolić na drugiego czeladnika, ale znowuż przy nawale pracy pilnie czeladnika potrzebuje; że ponadto dla drugiego czeladnika nie ma w domu miejsca, ale znowuż rozporządza małą szopą w ogrodzie oliwnym za klasztorem Franciszkanów - niecałe dziesięć minut stąd - gdzie niewymagający młody człowiek mógłby od biedy nocować; dalej że jako porządna majstrowa poczuwa się do odpowiedzialności za fizyczną kondycję swoich czeladników, ale znowuż nie widzi możliwości zapewnienia dwóch gorących posiłków dziennie; jednym słowem: *madame* Arnulfi - co zresztą Grenouille dawno już wyniuchał - była kobietą niezgorzej sytuowaną i mającą niezgorszy zmysł do interesów. A że jemu samemu na pieniądzach nie zależało i gotów był się zadowolić dwoma frankami tygodniowo oraz przyjąć resztę oferowanych mu skromnych warunków, szybko doszli do porozumienia. Zawołano pierwszego czeladnika, olbrzymiego wzrostu mężczyznę

nazwiskiem Druot, Grenouille zaś natychmiast odgadł, że człowiek ten zwykł dzielić łożę majstrowej i że w pewnych sprawach *madame* nie podejmuje decyzji bez zasięgnięcia jego opinii. Druot, rozstawiwszy szeroko nogi i rozsiewając wokół woń spermy, stanął przed Grenouille'em - który przy tym wielkoludzie wyglądał wprost śmiesznie niepokaznie - zmierzył go wzrokiem, przypatrzył mu się badawczo, jak gdyby chciał przeniknąć ewentualne nieszczerze zamiary intruza lub odkryć w nim rywala, na koniec pogardliwie wyszczerzył zęby i kiwnięciem głowy wyraził swoją zgodę.

Tym samym rzecz została załatwiona. Grenouille otrzymał uścisk dłoni, zimną kolację, derkę i klucz do szopy, małej komórki bez okna, gdzie mile pachniało zastarzałym łajnem owczym i sianem, i gdzie urządził się jak mógł najwygodniej. Następnego dnia przystąpił do pracy w firmie *madame* Arnulfi.

Była to pora narcyzów. *Madame* Arnulfi hodowała te kwiaty na własnej niedużej parceli, jaką posiadała w dole na dnie wielkiej niecki, a także kupowała je od chłopów, z którymi targowała się zajadle o każdego centa. Kwiaty dostarczano jak najwcześniej, sypano je koszami na podłogę w warsztacie, dziesiątki tysięcy, w wielkich, ale lekkich jak piórko snopach. Druot w ogromnym kotle topił tłuszcz wieprzowy i wołowy na gęstą zupę, do której wrzucał pękami świeże kwiaty, a Grenouille mieszał w kotle długą jak miotła kopyścią. Kwiaty leżały przez sekundę na powierzchni, jak

śmiertelnie przerażone oczy, i blakły w momencie, gdy łopata zagarniała je i zanurzała w gorącym tłuszczu. I niemal w tej samej chwili wiotczały i więdły, i śmierć przychodziła najwyraźniej tak szybko, iż nie pozostawało im nic innego, tylko oddać ostatnie wonne tchnienie temu właśnie żywiołowi, który je zatapiał, gdyż - Grenouille zauważył to ku swemu nieopisanemu zachwytowi -im dłużej mieszał kwiaty w kotle, tym silniej pachniał tłuszcz. Nie, żeby pachniały nadal martwe kwiaty zanurzone w tłuszczu - nie, sam tłuszcz przyswajał sobie woń kwiatów.

Tymczasem zupa zanadto gęstniała i trzeba było szybko precedzić ją przez wielkie sita, uwolnić od wyługowanych zwłok i przygotować na przyjęcie świeżych kwiatów. Potem mieszała i przegarniali dalej, cały dzień, bez przerwy, gdyż praca ta nie cierpiała najmniejszej zwłoki, aż do wieczora, aż wszystkie kwiaty przeszły przez tłuszczową kąpiel. Odpadki - aby nic się nie zmarnowało - zalewano wrzątkiem i za pomocą śrubowej prasy wyżymano do ostatniej kropli. Ale gros zapachu, dusza owego morza kwiatów pozostawała w kotle, zamknięta i zakonserwowana w szarawym, z wolna krzepnącym tłuszczu.

Następnego dnia macerowanie, jak nazywano ten proces, szło dalej, znowu rozpalano pod kotłem, topiono tłuszcz i sypano doń nowe kwiaty. I tak przez wiele dni, od rana do wieczora. Była to wyczerpująca praca. Gdy Grenouille włókł się wieczorem do swojej szopy, ramiona ciążyły mu jak z ołowiu, miał pęcherze na

rękach i bolał go krzyż. Druot, choć pewnie trzy razy od niego silniejszy, ani przez chwilę nie zmieniał go przy mieszaniu, tylko zadowalał się sypaniem leciutkich snopów kwiatnych, dogładaniem ognia i wyskakiwaniem od czasu do czasu na jakąś szklaneczkę, z powodu gorąca. Ale Grenouille nie narzekał. Bez słowa skargi mieszał kwiaty w tłuszczu, od rana do wieczora i niemal nie czuł przy tym zmęczenia, ponieważ wciąż na nowo fascynował go proces zachodzący na jego oczach i pod jego nosem: szybkie więdnienie kwiatów i absorpcja zapachu.

Po jakimś czasie Druot orzekł, że tłuszcz już się nasycił i nie może wchłonąć więcej zapachu. Zgasili ogień, po raz ostatni przecedzili gęstą zupę i wylali ją do kamionkowego tygla, gdzie natychmiast zastygła w cudownie aromatyczną pomadę.

Teraz nadchodził czas *madame* Arnulfi, która zjawiała się, aby skontrolować cenny produkt, przykleić etykietkę i dokładnie odnotować w księdze ilość i jakość. Osobiście zamknąwszy tygielek, opieczętowawszy go i zaniósłszy do chłodnej piwnicy, wdziewała czarną suknię, czarny wdowi welon i wyruszała na obchód kupców i firm perfumeryjnych. W przejmujących słowach odmalowywała swoją sytuację kobiety samotnej, zbierała oferty, porównywała ceny, wzdychała i na koniec sprzedawała - albo i nie sprzedawała. Pomada przechowywana w chłodnym miejscu trzymała się długo. A jeżeli w danym momencie ceny pozostawiały coś do życzenia - kto wie, może zimą

albo następnej wiosny znowu skoczą w górę. Należało się też zastanowić, czy zamiast wdawać się w transakcje z tymi rekinami nie warto by do spółki z innymi drobnymi wytwórcami wysłać statkiem ładunku pomady do Genui albo wziąć udział w dostawie na jesienne targi w Beaucaire - przedsięwzięcie ryzykowne, zapewne, ale w razie powodzenia bardzo popłatne. Otóż *madame* Arnulfi starannie rozważała te rozmaite możliwości, a czasem obierała rozwiązanie kombinowane i pewną część swoich skarbów sprzedawała, inną przechowywała, a jeszcze inną handlowała na własną rękę. Jeżeli zaś zasięgnąwszy wieści nabrała przeświadczenia, że rynek pomady jest nasycony i w dającym się przewidzieć czasie nie zmieni się na jej korzyść, powiewając welonem śpieszyła do domu i polecała Druotowi poddać cały produkt laważowaniu i obrócić go *w essence absolue*.

Wówczas przynoszono pomadę z piwnicy, ostrożnie podgrzewano ją w zamkniętych garnkach, rozcieńczano najlepszym alkoholem i za pomocą przyrządu do mieszania, obsługiwanego przez Grenouille'a, gruntownie mieszano i płukano. Mieszanka ta, zniesiona z powrotem do piwnicy, szybko stygła, alkohol oddzielał się od krzepnącego tłuszczu pomady i można było go ściągnąć do butelek. Stawał się poniekąd perfumą, ale niezwykle intensywną, podczas gdy pozostała pomada traciła większość swego aromatu. Zapach kwiatów ponownie więc przechodził w inny żywioł. Ale nie był to jeszcze koniec operacji. Po

gruntownym filtrowaniu przez płaty gazy, zatrzymujące najdrobniejsze grudki tłuszczu, Druot przelewał nasycony aromatem alkohol do niedużego alembika i na małym ogniu powoli go destylował. Po ulotnieniu się alkoholu w butli zostawała niewielka ilość bladej cieczy, którą Grenouille dobrze znał, ale w postaci tak doskonałej i czystej nie widział jej ani u Baldiniego, ani u Runela: czysty olejek kwiatowy, nagi zapach, skondensowany w paru kroplach *essence absolue*. Esencja ta wcale nie pachniała przyjemnie. Miała woń intensywną aż do bólu, ostrą i gryzącą. A przecież wystarczyła jedna jej kropla rozpuścić w litrze alkoholu, aby znowu ją ożywić i ujrzeć zmartwych powstające olfaktorycznie pole kwiatów.

Ilościowo rezultat był przerażająco nikły. Ciecz z destylatora wypełniała ledwo trzy małe flakony. Z zapachu setek tysięcy kwiatów nie pozostawało nic prócz trzech małych flakoników. Ale flakoniki te warte były majątek, nawet tu, w Grasse. A co dopiero, gdyby je wysłać do Paryża, do Lyonu, do Grenoble, do Genui czy do Marsylii! Oczy *madame* Arnulfi piękniały rzewnie przy oglądaniu tych flaszeczek, pieściła je wzrokiem, a gdy je brała w ręce i zamykała szczelnie przylegającymi szklanymi zatyczkami, wstrzymywała oddech, aby nie uronić nic z cennej zawartości. A żeby także po zakorkowaniu nie wyparował z wnętrza ani atom zapachu, pieczętowała zatyczki płynnym woskiem i otulała rybim pęcherzem, który następnie mocno obwiązywała wokół szyjki buteleczki. Potem

umieszczala flakoniki w wymoszczonym wata puzderku i zamykala na siedem spustow w piwnicy.

37

W kwietniu macerowalo sie janowiec i kwiat pomarańczy, w maju stopy róż, których woń osnuwała miasto na cały miesiąc niewidzialną, cikliwą mgiełką. Grenouille harował jak wół. Potulnie, z niemal niewolniczą skwapliwością wykonywał wszystkie najpodrzedniejsze roboty, jakie zlecal mu Druot. Ale podczas gdy na pozor bezmyślnie mieszal, rozcieral, szorowal kociołki, sprzatal warsztat albo taszczył drzewo na opal, uwagi jego nie uchodzil zaden moment z zasadniczej procedury, zaden szczegol z metamorfozy aromatow. Dokladniej niz Druot, mianowicie wuchem, sledzil i kontrolowal wędrowkę zapachu od platkow przez tłuszcz i alkohol aż do cennych malych flakonikow. Umial wywuszyc, na dlugo zanim spostrzegal to Druot, kiedy tłuszcz za mocno sie rozgrzewa, wyczuwal, kiedy kwiaty oddaly juz z siebie wszystko, kiedy zupa nasycy sie wonia, co dzieje sie wewnatrz kadzi i w ktorym dokladnie momencie nalezy zakonczyc proces destylacji. I niekiedy zdradzal sie z tym, wprawdzie niezobowiazujaco i nie zmieniajac swej pokornej postawy. Cos mu sie wydaje, mowil, ze tłuszcz za bardzo sie rozgrzal; wyglada, ze mozna by niedlugo odcedzac; tak jakos czuje, ze alkohol w alembiku juz odparowal... A Druot, który nie blyszczal wprawdzie inteligencja, ale nie byl tez idiotą, zorientowal sie z

czasem, że wszystko idzie najskładniej wtedy, *gdy* on sam robi lub zarządza wedle tego, co Grenouille'owi „się zdawało” albo co „tak jakoś czuł”. A że Grenouille nie wyrażał nigdy tego, co mu się zdawało albo co czuł, tonem zbyt głośnym albo pewnym siebie, i nigdy też a już na pewno nie w obecności *madame* Arnulfi! - choćby żartem nie podawał w wątpliwość autorytetu Druota i jego dominującej pozycji pierwszego czeladnika, Druot nie widział powodu, by nie iść za radami Grenouille'a, ba - z czasem pozostawiał coraz więcej spraw do jego uznania.

Coraz częściej zdarzało się, że Grenouille już nie tylko mieszał w kotle, ale jednocześnie sypał kwiaty, dorzucał do ognia i precedzał, podczas gdy Druot zniknął jednym susem „Pod Czterema Delfinami”, aby łyknąć wina, albo na górze u *madame*, aby tam zrobić swoje. Wiedział, że może się zdać na Grenouille'a. I Grenouille, aczkolwiek wykonywał podwójną robotę, korzystał z tych chwil samotności, aby wprawiać się w nowym kunszcie i przy okazji trochę poeksperymentować. I z tajemną radością stwierdzał, że sporządzona przez niego pomada jest nieporównanie lepsza, że jego *essence absolue* jest o oczko czystsza niż to, co robił razem z Druotem.

Pod koniec lipca przyszła pora na jaśminy, a w sierpniu na tuberozy. Oba gatunki kwiatów miały zapach tak wyborny i zarazem delikatny, że nie tylko trzeba było je zrywać przed wschodem słońca, ale wymagały też bardzo szczególnej, delikatnej obróbki. Zapach ich zanikał pod wpływem ciepła, nagłe zanurzenie w

gorącym tłuszczu do macerowania zniszczyłoby go do cna. Te najszlachetniejsze z kwiatów nie dawały sobie tak łatwo odebrać duszy, trzeba było ją od nich wyłudzać. W specjalnych komorach nawonniających układało się je na wysmarowanych zimnym tłuszczem płytach albo owijało luźno w nasączone olejem płótno, gdzie z wolna usypiały śmiertelnym snem. Dopiero po trzech albo czterech dniach wędły i wydawały ostatnie tchnienie woni, wchodzące w tłuszcz i olejek. Wtedy zbierało się je ostrożnie i rozkładało nowe kwiaty. Zabieg ten powtarzało się dziesięć, dwadzieścia razy, i nim pomada się nasyciła, a z płótna można było wycisnąć aromatyczny olejek, zrobił się wrzesień. Efekt był ilościowo jeszcze skromniejszy niż przy macerowaniu. Ale jakość pasty jaśminowej albo *huile antique de tubereuse* uzyskanych w drodze *enfleurage* na zimno przewyższał wszelkie wytwory kunsztu perfumeryjnego doskonałością i wiernością oryginałowi. Zwłaszcza gdy chodzi o jaśmin, zdawało się, że zniewalający, erotyczny zapach kwiatów odbił się na natłuszczonych płytkach jak w zwierciadle i promieniuje z nich całkiem naturalnie - acz *cum grano salis*. Albowiem nos Grenouille'a rozpoznawał oczywiście różnicę między zapachem kwiatów a ich zakonserwowanym aromatem: własny zapach tłuszczu, choćby najczystsze, kładł się niczym przejrzysty woal na zapachowym obrazie oryginału, łagodził go, poskramiał jego bujność, może zresztą zwykli ludzie tylko w tej postaci mogli znieść jego piękno... W każdym

razie *enfleurage* na zimno była to najbardziej wyrafinowana i skuteczna technika chwytania delikatnych zapachów. Lepszej nie było. I jeśli ta metoda nie mogła w pełni przekonać nosa Grenouille'a, Grenouille wiedział, że wystarcza aż nadto, by zwieść świat nosów tępych i niedorozwiniętych.

Już po niedługim czasie, podobnie jak przy macerowaniu, prześcignął swego nauczyciela Druota w sztuce *enfleurage* na zimno i swym sprawdzonym, pokornie dyskretnym sposobem mu to uświadomił. Druot chętnie powierzał mu czynności takie jak wyprawy do rzeźni i wybieranie najodpowiedniejszych tłuszczów, następnie ich oczyszczanie, topienie, filtrowanie i ustalanie proporcji w mieszaniu - czynności, które Druotowi zawsze sprawiały kłopot i których się bał, gdyż tłuszcz zanieczyszczony, zjełczały albo nazbyt zalatujący świniną, baraniną lub wołowiną mógł zrujnować najlepszą pomadę. Powierzał mu decyzje co do odstępu między płytami z tłuszczem, momentu wymiany kwiatów i stopnia nasycenia pomady, powierzał mu wkrótce wszystkie trudniejsze decyzje, które on, Druot, podobnie jak swego czasu Baldini, podejmować mógł tylko w przybliżeniu, wedle wyuczonych reguł, które Grenouille natomiast podejmował wedle wskazań swego nosa - czego wszakże Druot już nie wiedział.

- Ma szczęśliwą rękę - mawiał Druot. - Ma dobre wyczucie. Czasem zaś myślał: „Jest po prostu daleko zdolniejszy niż ja, jest sto razy lepszym perfumiarzem”.

A zarazem uważał go za skończonego durnia, ponieważ Grenouille, zdaniem Druota, nie wyciągał żadnych korzyści ze swego talentu, gdy tymczasem on, mniej zdolny Druot, miał niebawem zostać majstrem. I Grenouille robił wszystko, by utwierdzić go w tym przekonaniu, pilnie udawał głupca, nie wykazywał śladu ambicji, udawał, że nie ma pojęcia o własnym geniuszu, i jak gdyby działał tylko wedle rozkazów o ileż doświadczeńszego Druota, bez którego sam byłby niczym. W ten sposób ich wzajemne stosunki układały się znakomicie.

Potem przyszła jesień i zima. W warsztacie zrobiło się spokojnie. Kwietne zapachy spoczywały w piwnicy, uwięzione w tygielkach i flakonach, i jeżeli *madame* nie poleciła akurat wypłukać tej czy innej pomady albo przedestylować woreczka suszonych korzeni, nie było zbyt wiele do roboty. 'Owszem, były oliwki, co tydzień kilka koszy. Wyciskali z nich dziewiczy sok, a resztki oddawali do tłoczarni. I wino, którego część Grenouille destylował na spirytus i rektyfikował.

Druot pokazywał się coraz rzadziej. Wypełniał swoje obowiązki w łóżku *madame*, a gdy się zjawiał na dole, cuchnący potem i spermą, to tylko po to, by zaraz potem zniknąć „Pod Czterema Delfinami”. *Madame* także rzadko schodziła na dół. Pochłaniały ją sprawy majątkowe i przerabianie garderoby na okres po żałobie. Grenouille często całymi dniami widywał jedynie służącą, która w południe wydawała mu zupę, a wieczorem chleb i oliwki. Rzadko się gdzieś wybierał. W

życiu bractwa, zwłaszcza w okresowych zebraniach i pochodach czeladników uczestniczył akurat na tyle, aby nie zwracać uwagi ani nieobecnością, ani obecnością. Nie miał przyjaciół ani bliższych znajomych, ale pilnie zważał, by nie wydać się arogantem albo outsiderem. Nie przeszkadzało mu, że inni czeladnicy mają go za nijakiego i nieatrakcyjnego towarzysko. Umiał po mistrzowsku rozsiewać nudę i prezentować się jako niezdarny gamoń - oczywiście bez przesady; nie do tego stopnia, by z satysfakcją strojono sobie zeń żarty lub obierano na ofiarę rubasznych figli cechowych. Wystarczało mu uchodzić za osobnika całkiem nieciekawego. Zostawiano go w spokoju. A o to właśnie mu chodziło.

38

Spędzał czas w warsztacie. Wobec Druota utrzymywał, że chce znaleźć formułę wody kolońskiej. W rzeczywistości jednak eksperymentował z całkiem innymi pachnidłami. Perfumy, które sporządził sobie w Montpellier, wyczerpywały się stopniowo, chociaż używał ich bardzo oszczędnie. Tworzył więc nowe. Tym razem jednak nie zadowolili się *byle* jaką imitacją zasadniczej woni ludzkiej, złożonej z pośpiesznie dobranych substancji, ale włożył całą ambicję w nadanie sobie indywidualnego zapachu, czy raczej wielu indywidualnych zapachów.

Najpierw zrobił sobie zapach niepozorności, zapach kogoś, kto się nie rzuca w oczy, mysioszary strój

zapachowy na co dzień, gdzie wprowadzie obecna jeszcze była serowo-kwaśna woń ludzka, ale uzewnętrzniała się tylko jak gdyby przez grubą warstwę lnianej i wełnianej odzieży, włożonej na wyschłą skórę starca. Tak pachnąc mógł się swobodnie poruszać wśród ludzi. Zapach był dość silny, by olfaktorycznie podbudowywać istnienie osoby, a zarazem tak dyskretni; że nie zwracał niczyjej uwagi. Grenouille był w ten sposób węchowco właściwie nieobecny, a jednocześnie usprawiedliwiony w swej skromnej prezencji - stan pośredni, bardzo przydatny zarówno w domu *madame* Arnulfi jak przy sporadycznych wędrówkach po mieście.

Niekiedy jednak ów skromny zapach okazywał się przeszkodą. Kiedy na zlecenie Druota miał dokonać jakichś sprawunków albo na własny użytek zakupić u handlarza nieco cybetu czy kilka ziaren piżma, mogło się zdarzyć, że nie rzucał się w oczy tak doskonale, iż nie dostrzeżono go i nie obsłużono, albo nawet i dostrzeżono, ale obsłużono niewłaściwie czy też w trakcie obsługi znowu o nim zapomniano. Na takie okazje sporządził sobie nieco ostrzejsze, lekko tracące potem pachnidło, z pewnymi olfaktorycznymi zadrami i chropowatościami, które nadawało mu prezencję nieco brutalną, a na innych sprawiało wrażenie, że Grenouille widać się śpieszy i gnają go niecierpiące zwłoki sprawy. Również imitacja Druotowej *aurae seminalis*, którą umiał do złudzenia naśladować, perfumując natłuszczone płótno pomadą ze świeżych jaj kaczych i

sfermentowanej mąki pszennej, dawała niezłe rezultaty, gdy zależało mu na tym, by ściągnąć na siebie uwagę. Dalszą pozycją w jego arsenale był zapach wzbudzający litość, skuteczny na kobiety w średnim i podeszłym wieku. Trącił rozwodnionym mlekiem i czystym białym drewnem. Grenouille - nawet jeżeli zjawiał się nie ogolony, z ponurą miną i w wierzchnim okryciu - sprawiał wówczas wrażenie zabiedzonego, bledziutkiego chłopaczka w postrzępionej kurtce, któremu koniecznie trzeba pomóc. Przekupki na rynku, poruszone tym zapachem, wtykały mu orzechy i suszone gruszki, ponieważ wydawał im się wygłodzony i bezradny. Rzeźniczka zaś, skądinąd kawał jędzy, pozwalała mu wybierać stare cuchnące ochłapy mięsa i kości, i zabierać to sobie *gratis*, ponieważ ów zapach niewinności wzruszał jej macierzyńskie serce. Z tych znowu odpadków Grenouille w drodze bezpośredniego trawienia alkoholem uzyskiwał główne składniki pachnidła, którego używał, gdy chciał, by za wszelką cenę zostawiono go w spokoju i obchodzono z daleka. Zapach ten tworzył wokół niego atmosferę lekko obrzydliwą, zgniły opar, jaki bije po obudzeniu z ust niechlujnych staruchów. Działał tak skutecznie, że nawet niezbyt wrażliwy Druot mimowolnie odwracał się i wychodził na dwór, nie zdając sobie wszelako sprawy, co go tak mierzi. Kilka zaś kropli owego środka odstraszającego wylanych na próg szopy wystarczało, by trzymać z daleka ewentualnych intruzów, tak ludzi jak zwierzęta.

Pod osłoną tych rozmaitych woni, które zmieniał wedle okoliczności jak ubrania i dzięki którym ludzie nie naprzykrzali mu się i nie mogli rozpoznać jego rzeczywistej natury, Grenouille oddawał się swojej prawdziwej namiętności: wyrafinowanym łowom na zapachy. A że przed nosem majaczył mu doniosły cel i miał jeszcze ponad rok na jego osiągnięcie, do ostrzenia broni, uszlachetniania technik i stopniowego doskonalenia metod przystępował nie w gorączce zapału, ale niezwykle systematycznie i planowo. Zaczął od tego, na czym skończył u Baldiniego: od pozyskiwania zapachu rzeczy nieożywionych: kamieni, metalu, szkła, drewna, soli, wody, powietrza...

To, co wtedy, przy użyciu prymitywnej procedury destylacji zakończyło się sromotną klęską, udało się teraz dzięki silnie absorpcyjnym właściwościom tłuszczu. Grenouille na kilka dni obłożył wołowym łojem mosiężną gałkę u drzwi, której wystąpił, chłodny, tracący pleśnią zapach mu się podobał. I oto, kiedy potem zdrapał łój i zbadał go - łój pachniał, wprawdzie bardzo nieznacznie, ale jednak pachniał właśnie mosiężną gałką. I zapach ten utrzymał się nawet po przepłukaniu alkoholem, nieskończenie delikatny, odległy, przytłumiony oparem spirytusu i uchwytny na całym świecie tylko dla subtelnego nosa Grenouille'a - ale trwał, a to znaczy: zasadniczo można było się nim posłużyć. Gdyby mieć tysiąc mosiężnych gałek i złożyć je na tysiąc dni w łoju, można by uzyskać maleńką kroplę *essence absolue* zapachu mosiężnej gałki, tak

intensywnego, że każdemu zdawałoby się, iż ma pod nosem oryginał.

To samo udało mu się z wapiennym zapachem porowatego kamienia, który znalazł na polu oliwek przed swoją szopą. Zmacerował go i uzyskał maleńką grudkę kamiennej pomady, której nieskończenie nikły zapach niewymownie go cieszył. Skombinował go z innymi zapachami, wydobywanymi z wszystkich przedmiotów, jakie znajdowały się wokół jego szopy, i pomалу stworzył miniaturowy model olfaktoryczny owego gaju oliwnego za klasztorem Franciszkanów, który zamknął następnie w malutkim flakonie, nosił zawsze ze sobą i mógł, ilekroć mu się spodobało, węchowo przywrócić go do życia.

Dokonywał cudów zapachowej wirtuozerii, produkował urocze cacka, które rzecz jasna docenić albo zgoła zauważyć mógł tylko on sam. Ale on sam zachwycał się ich niedorzeczną doskonałością i nigdy przedtem ani nigdy potem nie zaznał w życiu momentów tak prawdziwie niewinnego szczęścia, jak w czasach, gdy z zapalem oddawał się tworzeniu zapachowych krajobrazów, martwych natur oraz wizerunków poszczególnych przedmiotów. Albowiem wkrótce przeszedł do obiektów żywych.

Polował na zimowe muchy, larwy, szczury, małe koty i topił je w gorącym tłuszczu. Nocami zakradał się do obór i chlewów, aby na kilka godzin spowić krowy, kozy i prosiaki w nasączone tłuszczem płachty lub owinąć oleistym bandażem. Albo wślizgiwał się do

zagrody dla owiec, aby ukradkiem ostrzyć jagnię, którego pachnącą wełnę laważował następnie w spirytusie. Rezultaty nie były zrazu zadowalające. Albowiem w przeciwieństwie do cierpliwych przedmiotów martwych, gałek i kamieni, zwierzęta bardzo niechętnie dawały odbierać sobie zapach. Świnie zdzierały bandaż o belki chlewu. Owce beczały, kiedy w ciemności zbliżał się z nożem w ręku. Krowy uparcie zrzucały z wymion natłuszczone szmaty. Schwytane chrabąszcze wydzielały, gdy chciał je poddać obróbce, wstrętne cuchnącą substancję, a szczury, zapewne ze strachu, srały mu w olfaktorycznie arcywrażliwe pomady. Zaś zwierzęta, które próbował macerować, w przeciwieństwie do kwiatów nie oddawały zapachu bez jednej skargi albo najwyżej z bezgłośnym westchnieniem, ale broniły się rozpaczliwie przed śmiercią, za nic w świecie nie pozwalały się zanurzyć w tłuszczowej kąpieli, opierały się, walczyły i wydzielały przy tym nieproporcjonalnie duże ilości potu towarzyszącego stanom lękowym lub śmierci, co nadmiernie zakwaszało gorący tłuszcz i psuło go. W ten sposób rzecz jasna nie można było sensownie pracować. Obiekty należało wpierw uspokoić na dobre, i to tak szybko, by nie zdążyły się przestraszyć ani obronnie nastroszyć. Grenouille musiał je uprzednio zabijać. Na początek spróbował z małym psiakiem. W pobliżu rzeźni za pomocą ochłapu mięsa odciągnął go daleko od matki i podczas gdy zwierzę z radosnym merdaniem chwyciło mięso z lewej ręki Grenouille'a, ten

trzymanym w prawej ręce drewnianym polanem zadał mu szybki cios w tył głowy. Śmierć nastąpiła tak prędko, że na pyszczku i w oczach trwał niezmiennie wyraz szczęścia, gdy szczeniak od dawna już leżał na ruszcie między dwiema płytami tłuszczu i promieniował czystym, niezmaconym wonią strachu psim zapachem. Należało jednak bardzo uważać! Zwłoki, podobnie jak zerwane kwiaty, szybko ulegają zepsuciu. Toteż Grenouille czuwał przy swojej ofierze dobre dwanaście godzin, aż zauważył, że ciało zwierzęcia poczyną rozsiewać pierwsze smugi wprawdzie przyjemnego, ale fałszującego całość odoru trupiego. Natychmiast przerwał *enfleurage*, usunął zwłoki i umieścił nieco przesiąkniętego zapachem tłuszczu w kotle, gdzie starannie go wypłukał. Destylował alkohol do chwili, gdy na dnie został może naparstek cieczy i przelał tę resztkę do małej szklanej zlewki. Substancja wydzielala wyraźnie ostrawy zapach wilgotnej, przetłuszczonej psiej sierści, zapach zdumiewająco mocny. I kiedy Grenouille dał to do powąchania starej suce z rzeźni, wybuchła radosnym ujadaniem, piszczała i nie chciała oderwać nozdrzy od zlewki. Ale Grenouille zatkał ją dokładnie, schował w zanadrze i długo jeszcze nosił przy sobie na pamiątkę owego dnia triumfu, kiedy to po raz pierwszy udało mu się wydrzeć żywej istocie wonną duszę.

Potem, bardzo powoli i z najwyższą ostrożnością, począł przymierzać się do ludzi. Najpierw zasadzał się z bezpiecznego dystansu z wielkooką siecią, gdyż nie tyle

zależało mu na obfitych łupach, ile na tym, by wypróbować zasadę swojej myśliwskiej techniki.

Zamaskowany delikatnym zapachem niepozorności wmieszał się wieczorem w tłum gości „Pod Czterema Delfinami” i przyczepił strzępki nasączonej tłuszczem i olejem materii pod ławami, pod stołami i w niewidocznych zakamarkach. W kilka dni później zebrał je i zbadał. W istocie, oprócz wszelkich możliwych zapachów kuchni, dymu tytoniowego i oparów wina, zawierały też odrobinę zapachu ludzkiego. Zapach ten był jednak bardzo mglisty i przytłumiony, przypominał raczej zaduch tłumy niż jakąś woń indywidualną. Taką aurę masy, choć nieco czystsza i tracącą raczej potem uwznioślenia, można było uzyskać w katedrze, gdzie 24 grudnia Grenouille rozwiesił pod ławkami swoje doświadczalne chorągiewki i pozbierał znowu 26 grudnia, czyli po tym, jak przesiedziano na nich nie mniej niż siedem mszy: na szmatkach odcisnął się straszliwy konglomerat spoconych pośladków, krwi miesięcznej, wilgotnej skóry pod kolanami i kurczowo zaciśniętych rąk, wymieszany z oddechem tysiąca śpiewających chórem i mamroczących zdrowaśki gardzieli oraz z duszącą wonią kadzidła i mirry - straszliwy, bo zgęszczony w mętny, rozmyty, mdlący, a przecież bezsprzecznie ludzki opar.

Pierwszy zapach indywidualny zdobył Grenouille w Hospicjum Miłosierdzia. Udało mu się ściągnąć przeznaczone właściwie do spalenia prześcieradło po świeżo zmarłym na suchoty czeladniku kaletniczym, w

które ten leżał owinięty przez dwa miesiące. Płótno tak przesiąkło własnym tłuszczem kaletnika, że chłonęło jego wyziewy niczym pasta używana przy *enfleurage'u* i można je było od razu poddać płukaniu. Rezultat był upiorny. Pod nosem Grenouille'a z alkoholowego roztworu wyłonił się olfaktorycznie zmartwychwstały kaletnik i unosił się w powietrzu. Wprawdzie wskutek tej szczególnej metody reprodukcji oraz licznych miazmatów choroby zmieniony w cień, ale doskonale rozpoznawalny jako zindywidualizowana struktura zapachowa: nie-duży mężczyzna lat trzydziestu, jasnowłosa, o kartoflowatym nosie, krótkich kończynach, płaskich serowatych stopach, nabrzmiętym penisie, śledziennicznym temperamencie i mdłym odorze z ust - ów kaletnik olfaktorycznie doprawdy nie prezentował się pięknie i nie warto było go dłużej konserwować jak choćby tamtego szczeniaczka. A mimo to Grenouille pozwolił mu przez całą noc unosić się widmowo po swojej izdebce i coraz to go niuchał, uszczęśliwiony i upojony poczuciem władzy, jaką zdobył nad aurą innego człowieka. Następnego dnia wylał go precz.

Jeszcze jedną próbę podjął w te zimowe dni. Niemej żebraczce, która włóczyła się po mieście, zapłacił franka za to, by przez cały jeden dzień nosiła na gołej skórze szmatki impregnowane różnymi mieszankami tłuszczowymi i oleistymi. Okazało się, że do wchłaniania ludzkiego zapachu najlepiej nadaje się kombinacja tłuszczu z jagnięcych nerek oraz

wielokrotnie sklarowanego smalcu wieprzowego i łożu wołowego w proporcji dwa do pięciu do dwóch z dodatkiem nieznacznej ilości dziewiczej oliwy z oliwek. Na tym Grenouille poprzestał. Zrezygnował z prób całkowitego zawładnięcia żywym człowiekiem i zużytkowania go dla celów perfumeryjnych. Coś takiego wiązało się zawsze z pewnym ryzykiem, a nie wniosłoby też nic nowego. Grenouille wiedział, że opanował już techniki pozwalające wydrzeć człowiekowi zapach i nie musiał sobie tego na nowo udowadniać.

Sam w sobie zapach ludzki był mu zupełnie obojętny. Umiał dostatecznie dobrze imitować zapach ludzki przy użyciu surogatów. Czego pożądał, to zapachu pewnych ludzi: tych nader rzadkich ludzi, którzy wzbudzają miłość. Tych upatrzył sobie na ofiary.

W styczniu wdowa Arnulfi poślubiła swego pierwszego czeladnika Dominika Druota, który tym sposobem awansował na *maitre gantier et parfumeur*. Wydano wielki bankiet dla cechowych mistrzów, nieco skromniejszy dla czeladników, *madame* nabyła nowy materac na łożę, które teraz już oficjalnie dzieliła z Druotem, i wydobyła z szafy barwne stroje. Poza tym wszystko zostało po dawnemu. *Madame* zachowała stare dobre nazwisko Arnulfich, zatrzymała całość majątku; finansowe kierownictwo nad firmą i klucze do piwnicy; Druot wypełniał codziennie swoje seksualne obowiązki, a potem pokrzepiał się winem; a Grenouille, choć był teraz pierwszym i jedynym czeladnikiem, wykonywał

większość roboty za niezmiennie skąpe wynagrodzenie, skromny wikt i nędzny dach nad głową.

Rok zaczął się powodzią żółtych kasji, hiacyntami, fiołkami i narkotycznymi narcyzami. Pewnej marcowej niedzieli - mogło to być mniej więcej w rok po jego przybyciu do Grasse - Grenouille postanowił skontrolować sytuację w ogrodzie przy murach po drugiej stronie miasta. Tym razem przygotowany był na ten zapach, wiedział dosyć dokładnie, co go czeka..., a jednak, kiedy go zwęszył, już koło Porte Neuve, a ledwie w połowie drogi do owego miejsca przy murach, serce zabiło mu głośniejsze i poczuł, że krew w jego żyłach musuje ze szczęścia: niezrównanej piękności roślina była tam nadal, bez szkody przetrwała zimę, pulsowała życiem, urosła, rozwinęła się, wypuściła precudne pąki! Tak jak się tego spodziewał, jej zapach nasilił się, nie tracąc nic na subtelności. To, co jeszcze przed rokiem ledwie kapało delikatnie i sączyło się po kropelce, zgęstniało teraz niejako w rzęsiasty strumień woni, który mienił się tysiącem odcieni, a mimo to wiązał i trzymał mocno każdy z nich. A zasilalo ten strumień - uszczęśliwiony Grenouille stwierdził to ponad wszelką wątpliwość - coraz potężniej bijące źródło. Jeszcze rok, jeszcze tylko rok, jeszcze tylko dwanaście miesięcy, a źródło wystąpi z brzegów, a on będzie mógł przyjść i zagarnąć dla siebie burzliwy wylew jego wonności.

Doszedł do wiadomego sobie miejsca przy murze, za którym znajdował się ogród. Choć dziewczyna najwyraźniej nie przebywała w ogrodzie, tylko w domu,

w komnatce za zamkniętymi oknami, zapach jej wionął na zewnątrz jak nieustanna, łagodna bryza. Grenouille stanął nieruchomo. Nie był oszołomiony ani odurzony jak wtedy, gdy zwietrzył ją pierwszy raz. Wypełniało go szczęście kochanka, który z dala słyszy głos swej wybranej albo obserwuje jej postać i wie, że za rok będzie należała do niego. Zaiste, Grenouille, samotny kleszcz Grenouille, potwór Grenouille, nieludzki Grenouille, który nigdy przedtem nie żywił miłości ani nie umiał jej wzbudzić, stał owego marcowego dnia przy murach miasta Grasse i kochał, i był do głębi uszczęśliwiony tą miłością.

Nie była to co prawda miłość do człowieka, nie kochał dziewczyny z domu za murem. Kochał zapach. Jedynie zapach i nic poza nim, a zapach jedynie jako przyszły własny zapach. Za rok zapach będzie należał do niego, przysiągł to sobie na śmierć i życie. I złożywszy ten osobliwy ślub, przyrzekłszy wierność samemu sobie i swemu przyszłemu zapachowi, zaręczywszy się z nim, Grenouille oddalił się z pogodnym sercem i przez Porte du Cours wrócił do miasta.

Leżąc nocą w szopie raz jeszcze przywołał w myślach ten zapach - pokusa była zbyt silna - i pogrążył się w nim, pieścił go i czuł jego pieśczętę, tak blisko, tak cudownie blisko, jak gdyby naprawdę już go posiadał, jak gdyby miał zapach, własny zapach, i przez dłuższą chwilę, cudowną, upojną chwilę kochał ten zapach w sobie i kochał siebie poprzez ten zapach. I chciał nadal tak się kochać w sennych marzeniach. Ale właśnie gdy

zamykał oczy i przy następnym oddechu już już miał zasnąć, uczucie to opuściło go, nagle odeszło i zamiast niego wokół roztaczał się zimny, ostry zapach chlewu.

Grenouille przeraził się. „A co - pomyślał - kiedy ten zapach, który posiadam, wyczerpie się? Tylko we wspomnieniach wszystkie zapachy są nieprzemijalne. Rzeczywisty zapach zużywa się w świecie. Jest ulotny. A kiedy się zużyje, źródła, z którego go zaczerpnę, już nie będzie. I będę stał goły jak przedtem i będę musiał się obywać surogatami. Będzie nawet jeszcze gorzej niż przedtem! Bo tymczasem zaznam go i posiadam, będę miał własny, cudowny zapach, i potem nie będę mógł go zapomnieć, bo nigdy nie zapominam żadnego zapachu. I do końca życia będę usychał na wspomnienie o tym zapachu, jak teraz usycham od przecucia tego zapachu, który dopiero mam osiąść... Więc po co mi w ogóle ten zapach?”

Myśl ta była dla Grenouille'a w najwyższym stopniu przykra. Przerazało go bezmiernie, że gdy już posiadał zapach, którego na razie jeszcze nie posiadał, będzie musiał go nieuchronnie utracić. Jak długo zdoła go utrzymać? Kilka dni? Parę tygodni? Może miesiąc, przy bardzo oszczędnym używaniu? A co potem? Widział siebie, jak wytrząsa ostatnie krople z flaszeczki, przepłukuje ją spirytusem, aby ani odrobina się nie zmarnowała, i widział potem, czuł węchem, jak ukochany zapach ulatnia się nieodwołalnie i na zawsze. Będzie to tak jak powolne konanie, coś w rodzaju

odwrotności duszenia się, męka stopniowego rozplywania się własnej istoty w odrażającym świecie. Zrobiło mu się zimno. Naszła go chęć, by wyrzec się swoich planów, wyjść po ciemku i odejść stąd. Powędruje przez ośnieżone góry, bez wytchnienia, sto mil stąd do Owernii, tam wczołga się do swojej jaskini i zaśnie na wieki. Ale nie uczynił tego. Siedział bez ruchu i nie ulegał pokusie, choć była tak silna. Nie ulegał, ponieważ pokusa, by odejść stąd i zaszyć się w tamtej jaskini, nawiedzała go już dawno. To już znał. Czego natomiast nie znał, to posiadania ludzkiego zapachu, tak cudownego jak zapach dziewczyny zza muru. I jakkolwiek wiedział, że za posiadanie tego zapachu i nieuchronną jego utratę będzie musiał zapłacić potworną cenę, to jednak posiadanie - choćby ze stratą - korciło go bardziej niż trzeźwa rezygnacja z jednego i drugiego. Wyrzeczeń bowiem zaznawał przez całe życie. Nigdy jeszcze natomiast nie zaznał posiadania i straty.

Zwątpienie stopniowo mijało, a wraz z nim uczucie chłodu. Czuł, że znowu rozgrzewa go strumień ciepłej krwi i powraca wola dokonania tego, co sobie zaplanował. I to z większą siłą niż przedtem, gdyż wola ta nie płynęła już z czystego pożądania, ale ponadto także z wyważonej decyzji. Kleszcz Grenouille postawiony wobec wyboru, czy ma się w sobie zasuszyć czy też puścić się gałęzi, zdecydował się na to drugie - wiedząc dobrze, że będzie to jego ostatni ruch. Wrócił na posłanie, umościł się wygodnie na słomie, umościł się

wygodnie pod derką i sam sobie wydawał się wielkim bohaterem.

Grenouille nie byłby jednak Grenouille'em, gdyby miał się dłużej zadowolić owym fatalistyczno-heroicznym samopoczuciem. Miał na to zbyt silną wolę pokazania światu, kim jest, zbyt przebiegłą naturę i zbyt wyrafinowany umysł. Zdecydował się posiąść zapach dziewczyny zza muru - dobrze. I jeżeli po kilku tygodniach znowu go utraci i z powodu tej straty umrze, też dobrze. Ale lepiej byłoby nie umierać, a mimo to posiadać zapach, albo przynajmniej odwlekać jego utratę tak długo jak się da. Trzeba ten zapach utrwalić. Trzeba poskromić jego ulotność, nie odbierając mu jego charakteru - problem czysto perfumistyczny.

Niektóre zapachy utrzymują się przez dziesiątki lat. Szafa natarta piżmem, nasączony olejkiem cynamonowym płat skóry, bryłka ambry, szkatułka z drzewa cedrowego mają zapachowo żywot niemal wieczny. Inne znowu - olejek lunetowy, bergamotka, ekstrakty narcyzów i tuberozy oraz wiele innych aromatów kwiatowych - jeśli występują w czystej postaci, nie utrwalone, ulatniają się w powietrzu już po paru godzinach. Perfumiarz radzi sobie z tą biedą w ten sposób, że aromaty zbyt lotne spaja aromatem bardziej trwałym, niejako nakłada im więzy, które powściągają ich pęd do wolności, cały zaś dowcip polega na tym, że pęta muszą być na tyle luźne, by związany zapach pozornie zachował swą wolność, a jednak dość ciasne, by nie mógł uciec. Otóż ta sztuka udała się raz

Grenouille'owi doskonale z olejkiem tuberozowym, którego efemeryczny zapach spętał odrobiną cybetu, wanilii, labdanum i cyprysu, i tym sposobem dopiero należycie go uwypuklił. Dlaczego coś podobnego nie mogłoby się udać także z zapachem dziewczyny? Czemu Grenouille miałby tego najcenniejszego i najwrażliwszego ze wszystkich zapachów używać i trwonić w czystej postaci? Co za prostactwo! Co za brak wyrafinowania! Czyż nie szlifuje się diamentów? Czy złoto zawiesza się na szyi w postaci bryłek? Czy on, Grenouille, jest może prymitywnym złodziejem zapachów jak Druot i inni maceratorzy, destylatorzy i dusiciele kwiatów? Czyż nie jest największym perfumiarzem świata?

Palnął się w głowę, oburzony, że nie wpadł na to już wcześniej: rzecz jasna, tego niepowtarzalnego zapachu nie należy używać w surowej postaci. Trzeba go oprawić jak najszlachetniejszy klejnot. Musi wykuć diadem aromatów, w którym na pierwszym miejscu, zarazem złączony z innymi zapachami i królując nad nimi, będzie promieniał jego zapach. Skomponuje pachnidło wedle wszelkich reguł sztuki, a zapach dziewczyny zza muru będzie stanowił jego motyw główny.

Jednakże w charakterze adiuwancjów, jako dominanta, motyw wyjściowy, motyw towarzyszący czy utrwalacz nie nadawały się piżmo, cybet, olejek różany bądź neroli, to jasne. Do wykonania takiego pachnidła, ludzkiego pachnidła, trzeba było innych składników.

W maju tego roku znaleziono na polu róż w połowie drogi między Grasse i położoną na wschód osadą Opio, nagie zwłoki piętnastoletniej dziewczyny. Zginęła od ciosu pałąką w tył głowy. Wieśniak, który znalazł zwłoki, był tak przerażony makabrycznym odkryciem, że sam ściągnął na siebie podejrzenia, ponieważ na policji zameldował drżącym głosem, iż czegoś tak cudownego w życiu jeszcze nie widział - gdy właściwie chciał powiedzieć, że nigdy jeszcze nie widział czegoś tak potwornego.

Dziewczyna była rzeczywiście niezwyklej piękności. Należała do owego typu kobiet bujnych, jak ulanych z ciekłego miodu, gładkich, słodkich i straszliwie ponętnych; do tych, co to jednym płynnym gestem, jednym strząśnięciem włosów, jednym powolnym smagnięciem spojrzenia natychmiast zdobywają władzę nad otoczeniem, a jednocześnie pozostają spokojne jak w oku cyklonu, pozornie nieświadome, że same stanowią ośrodek grawitacji, przyciągający nieodparcie tęsknoty i dusze zarówno mężczyzn, jak kobiet. I była młoda,, całkiem młodziutka, właściwy jej typowi urok nie rozplynął się jeszcze w obfitości kształtów. Jej pełne ciało było jeszcze gładkie i jędrne, piersi świeżo wyklute, a miękka twarz, okolona bujnymi czarnymi splotami włosów, miała jeszcze najdelikatniejsze rysy i najskrytsze tajemnice. Samych włosów zresztą już nie miała. Morderca obciął je i zabrał, tak samo jak suknie.

Podjezwano Cyganów. Po Cyganach można się było wszystkiego spodziewać. Wiadomo, że Cyganie tkają dywany ze starych ubrań i napychają poduszki ludzkimi włosami, a ze skóry i zębów wisielców sporządzają małe lalczki. W przypadku tak perfidnego mordu w rachubę wchodzili tylko Cyganie. Ale o tej porze nie było tu w promieniu wielu mil żadnych Cyganów, po raz ostatni przeciągali tędy w grudniu.

W braku Cyganów podejzwano tedy wędrownych robotników włoskich. Ale Włochów akurat też nie było, na Włochów było jeszcze za wcześnie, pojawią się dopiero w czerwcu, na zbiory jaśminu, nie mogli więc być to Włosi. Podejzienie padło na perukarzy, u których przeprowadzono rewizje w poszukiwaniu włosów zamordowanej. Na próżno. Przerzucono wobec tego podejzienia na Żydów, potem na ponoć jurnych mnichów z klasztoru Benedyktynów - ci jednak byli wszyscy już dobrze po siedemdziesiątce - potem przyszła kolej na cystersów, wolnomularzy, psychicznie chorych z Hospicjum Miłosierdzia, węglarzy, żebraków, a na koniec na rozpustną szlachtę, zwłaszcza na markiza de Cabris, który był już po raz trzeci żonaty, urządzał, jak powiadano, w podziemiach zamku orgiastyczne msze i pił przy tym dziewiczą krew, dla wzmocnienia potencji. Nie było świadków morderstwa, sukni i włosów zamordowanej nie znaleziono. Po kilku tygodniach namiestnik policji wstrzymał poszukiwania. W połowie czerwca nadciągnęli Włosi, wielu wraz z rodzinami, szukając zarobku przy zbiorach. Chłopi

godzili ich wprawdzie, ale, pomni morderstwa, zakazywali żonom i córkom wszelkiego kontaktu z przybyszami. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Gdyż jakkolwiek wyrobnicy faktycznie nie byli odpowiedzialni za tamten mord, to w zasadzie mogli być i dlatego lepiej uważać.

Wkrótce po rozpoczęciu zbiorów jaśminu nastąpiły dwa dalsze morderstwa. Ofiarami były znowu śliczne dziewczęta, należące znów do owej kategorii bujnych brunetek, znowu znaleziono je nagie i ostrzyżone, z raną tłuczoną na karku, na polach kwiatów. Po mordercy znowu nie było ani śladu. Wieść szerzyła się jak ogień, już groziły akty wrogości wobec przybyszów, gdy dowiedziano się, że obie ofiary były Włoszkami, córkami wyrobnika z Genui.

Nad okolicą zawisła groza. Ludzie nie wiedzieli już, przeciw komu obrócić bezsilny gniew. Niektórzy podejrzewali nadal wariatów albo złowrogiego markiza, ale w gruncie rzeczy nikt w to nie wierzył, wariaci bowiem znajdowali się pod stałym dozorem, a markiz już jakiś czas temu wyjechał do Paryża. Wobec tego zwarto szeregi. Wieśniacy udostępnili przybyszom, do tej pory obozującym pod gołym niebem, swoje stodoły. Mieszkańcy miasta zorganizowali w każdej dzielnicy nocne patrole. Namiestnik policji wzmocnił strażę przy bramach. Ale wszystkie te środki na nic się zdały. W kilka dni po podwójnym morderstwie znaleziono znowu zwłoki dziewczyny, oprawione tak samo jak poprzednie. Tym razem ofiarą była praczka z Sardynii,

zatrudniona w biskupim pałacu, którą zamordowano w pobliżu wielkiego zbiornika wody przy Fontaine de la Foux, czyli tuż pod bramami miasta. I chociaż konsulowie na skutek nalegań wzburzonych obywateli podjęli dalsze kroki -surowsza kontrola przy bramach, wzmocnienie nocnych straży, zakaz opuszczania domów po zapadnięciu zmroku dla osób płci żeńskiej - nie było tego lata tygodnia, żeby nie znaleziono zwłok jakiejś młodej dziewczyny. I zawsze ofiarami były dziewczęta ledwo co dojrzałe, i zawsze najpiękniejsze, i przeważnie należące do owego typu ciemnych, zniewalających kobiet. Jakkolwiek morderca niebawem nie gardził już także dominującym wśród miejscowej ludności typem miękkich, nieco pulchnych dziewcząt o jasnej skórze. Ofiarą jego padały szatynki lub zgoła ciemne blondynki, byle nie nadto szczupłe. Umiał je dopaść wszędzie, nie tylko za murami, ale także w środku miasta, ba - po domach. Córkę pewnego stolarza znaleziono zamordowaną w jej izdebce na czwartym piętrze, a nikt w domu nie słyszał najmniejszego hałasu, żaden z psów, które normalnie wietrzyły i zapowiadały szczekaniem każdego intruza, nie wydał głosu. Morderca zdawał się nieuchwytny, bezcielesny, niczym duch.

Ludzie oburzali się i pomstowali na władze. Byle pogłoska prowadziła do rozruchów. Wędrowny handlarz, sprzedający proszek miłosny i inne cudowne środki, został niemal zmasakrowany, ponieważ rozeszła się plotka, że jego specyfiki zawierają zmielone włosy

panieńskie. Były próby podpalenia pałacu de Cabris i Hospicjum Miłosierdzia. Sukiennik Aleksander Misnard zastrzelił własnego sługę, wracającego nocą do domu, biorąc go za osławionego mordercę. Kto tylko mógł sobie na to pozwolić, wysyłał dorastające córki gdzieś daleko do krewnych albo na pensję do Nicei, Aix czy Marsylii. Namiestnik policji został na żądanie rady miejskiej usunięty ze stanowiska. Jego następcą polecił kolegium lekarzy zbadać ostrzyżone piękności na okoliczność dziewictwa. Okazało się, że wszystkie były nietknięte.

Co szczególniejsze, wiadomość ta, zamiast zmniejszyć grozę, raczej ją spotęgowała, gdyż w duchu wszyscy przyjmowali, że dziewczęta zostały zgwałcone. To bowiem tłumaczyłoby przynajmniej motyw mordercy. A tak nie rozumiano nic, ludzie byli kompletnie bezradni. Kto wierzył w Boga, szukał ratunku w błagalnej modlitwie, by Opatrzność zechciała chociaż jego własny dom zachować od nieszczęścia.

Rada miejska, gremium złożone z trzydziestu najbogatszych i najbardziej szanowanych mieszczan oraz szlachty z Grasse, w większości ludzie oświeceni i nastawieni antyklerykalnie, którzy dotychczas nie przejmowali się zanadto biskupem, a klasztory i opactwa najchętniej przerobiliby na składy albo fabryki - otóż ci dumni, możni panowie w biedzie zdecydowali się wysłać do biskupa pokornie sformułowaną petycję, by zechciał owego mordującego dziewczęta potwora, z którym świecka władza nie dawała sobie rady, wykląć i

obłożyć ekskomuniką, podobnie jak jego dostojny poprzednik uczynił w roku 1708 ze straszliwą szarańczą, która wówczas zagrażała okolicy. I faktycznie pod koniec września dziewicobójca z Grasse, który do tej chwili zgładził nie mniej niż dwadzieścia cztery co piękniejsze panny ze wszystkich warstw społecznych, został pisemnym obwieszczeniem oraz ustnie ze wszystkich ambon miasta, łącznie z amboną Notre-Dame-de-Puy, osobiście przez biskupa solennie wyklęty i obłożony ekskomuniką.

Rezultat był natychmiastowy. Morderstwa ustały z dnia na dzień. Październik i listopad minęły bez trupów. Na początku grudnia nadeszły wieści z Grenoble, że od niedawna grasuje tam dziewicobójca, który dusi swoje ofiary, zdiera z nich ubranie i pęczkami wyrywa im włosy z głowy. I jakkolwiek te brutalne zbrodnie nie rymowały się zupełnie z czyściutko przeprowadzanymi zabójstwami w Grasse, cały świat był przekonany, iż chodzi o jednego i tego samego sprawcę. Mieszkańcy Grasse żegnali się trzykrotnie z ulgą, że bestia szaleje już nie wśród nich, ale w odległym o siedem dni drogi Grenoble. Urządzili pochód z iluminacją na cześć biskupa, a 24 grudnia odprawili uroczystą mszę dziękczynną. 1 stycznia 1766 roku rozluźniono środki bezpieczeństwa i zniesiono godzinę policyjną dla kobiet. Życie prywatne i publiczne wracało do normy z niezwykłą szybkością. Strach rozwiązał się, nikt już nie mówił o grozie, która jeszcze kilka miesięcy temu panowała w mieście i okolicy. Nie mówiono o tym

nawet w poszkodowanych rodzinach. Tak jak gdyby biskupia klątwa przepłoszyła nie tylko mordercę, ale również wspomnienie o nim. I ludziom było z tym dobrze.

Tylko ten, czyja córka dochodziła akurat owego szczególnego wieku, niechętnie pozwalał się jej oddać bez dozoru, lękał się, gdy zapadał zmierzch, a rano, gdy widział ją zdrową i rześką, był uszczęśliwiony - nie przyznając się zresztą nawet przed samym sobą dlaczego.

Żył jednak w Grasse pewien człowiek nieufny. Zwał się Antoni Richis, piastował urząd drugiego konsula i mieszkał w okazałej rezydencji u początku rue Droite. Richis był wdowcem i miał córkę imieniem Laura. Choć zaledwie czterdziestoletni i pełen wigoru, nie śpieszył się z ponownym ożenkiem. Chciał pierwiej wydać za mąż córkę. I to nie za byle kogo, ale za kogoś z pozycją. Był oto baron de Bouyon, mający syna oraz dobra w okolicach Vence, ustaloną reputację i kiepską sytuację materialną, i Richis układał się z nim już w kwestii przyszłego małżeństwa dzieci. Gdy zaś wyswata już Laure, zamierzał sam wyciągnąć zalotne czułki w stronę wielce szanowanych domów Dree, Maubert albo Fontmichel - nie, iżby był próżny i gotów diabłu zaprzedać duszę za wstęp do utytułowanej łożnicy, ale ponieważ chciał założyć dynastię i otworzyć swoim potomkom drogę do najwyższych społecznych honorów i politycznych wpływów. Do tego potrzeba mu było jeszcze przynajmniej dwóch synów, z których jeden przejąłby firmę, a drugi poprzez karierę prawniczą i parlament w Aix sam dostałby się w szeregi szlachty. Z takimi ambicjami jednak Richis, jako człowiek swego stanu, miał szansę powodzenia tylko pod warunkiem, że najściślej powiąże swoją osobę i rodzinę ze szlacheckimi domami Prowansji.

Do snucia tak górnych projektów upoważniało go zresztą własne bajeczne bogactwo. Antoni Richis był bezsprzecznie najmajątniejszym obywatelem w okolicy.

Posiadał nie tylko latyfundia pod Grasse, gdzie uprawiał pomarańcze, oliwki, pszenicę i konopie, ale także ziemie pod Vence i w stronie Antibes, które puszczał w dzierżawę. Posiadał domy w Aix, domy na wsi, udziały w statkach pływających do Indii, stały kantor w Genui i największy we Francji skład pachnidła, delikatesów, olejków i skór.

Najcenniejszą jednak rzeczą, jaką posiadał, była córka. Była jego jedynym dzieckiem, ukończyła dopiero szesnaście lat, miała ciemnorude włosy i zielone oczy. Twarz jej była tak zachwycająco piękna, że odwiedzający dom Richisa goście, bez względu na wiek i płeć, na jej widok zastygali w bezruchu i nie mogli od niej oderwać wzroku, wprost lizali jej twarz oczyma, niczym lody językiem, a na ich obliczach malowało się wówczas charakterystyczne dla czynności lizania głupawe zapamiętanie. Sam Richis łapał się na tym, że przyglądając się własnej córce na nieokreślony czas, na kwadrans, na pół godziny zapomina o Bożym świecie i o interesach - co skądinąd nie zdarzało mu się nawet we śnie - pogrąża się ze szczętem w błogiej kontemplacji dziewczęcia, a potem nie umie powiedzieć, co właściwie robił. Od niedawna zaś - uświadamiał sobie to z niechęcią - wieczorem, gdy odprowadzał ją na spoczynek, albo rano, gdy przychodził ją zbudzić, ona zaś leżała jeszcze uśpiona, jak gdyby ułożyły ją dłonie samego Boga, i pod woalem nocnej koszuli rysowały się kształty jej bioder i piersi, a z partii między piersią, pachą, łokciem i gładkim ramieniem, w którego zgięciu

chowala twarzyczkę, wzbijał się jej spokojny, ciepły oddech... - Richis czuł, że żołądek ściska mu się boleśnie, że dławi go w gardle, że przetyka ślinę i Bóg świadkiem! - przeklinał siebie, że jest ojcem tej kobiety, a nie kimś obcym, nie mężczyzną, który by na nią patrzył, tak jak on na nią patrzy, i który bez chwili wahania mógłby się ułożyć przy niej, na niej, w niej, i dać upust swemu pożądaniu. I biły na niego poty, i drżały mu członki, kiedy tłumił w sobie tę złowrogą żądzę i pochylał się nad dziewczyną, by zbudzić ją niewinnym ojcowskim pocałunkiem.

W ubiegłym roku, w czasie fali mordów, nie odczuwał jeszcze tej fatalnej pokusy. Urok, jakim tchnęła podówczas dla niego córeczka, był - chciał przynajmniej w to wierzyć - urokiem jeszcze dziecięcym. I dlatego nie żywił też poważnych obaw, by Laura mogła paść ofiarą owego mordercy, który, jak wiadano, nie atakował dzieci ani kobiet, lecz wyłącznie ledwo dojrzałe dziewczęta. Wzmocnił wprawdzie strażę przy domu, kazał zaopatrzyć okna piętra w nowe kraty i polecił niańce dzielić z Laurą sypialnię. Ale bronił się przed odesłaniem dziewczyny z Grasse, jak czynili jego stanowi druchowie ze swymi córkami, a nawet całymi rodzinami. Gardził takim postępowaniem i uważał je za niegodne członka rady i drugiego konsula, który jego zdaniem winien swym współobywatelom dawać przykład otuchy, odwagi i niezłomności. Ponadto był człowiekiem, który nie pozwala, by mu ktokolwiek - spanikowana tłuszcza czy tym bardziej jakiś bezimienny

łajdak - dyktował, co ma robić. Toteż przez cały ten okropny czas był jednym z nielicznych w mieście, którzy ustrzegli się gorączki strachu i zachowali chłodny umysł. O dziwo, ten stan rzeczy uległ teraz zmianie. Gdy mianowicie inni ludzie - jak gdyby morderca już był zawieszony na szubienicy - świętowali koniec jego zbrodniczych poczynań, a rychło zapomnieli w ogóle o przeżytej grozie, Antoni Richis czuł, że serce zatruwa mu ohydny strach. Długo nie chciał przyznać przed samym sobą, że to ze strachu odkłada od dawna planowane podróże, niechętnie opuszcza dom, skraca wizyty i posiedzenia, aby jak najszybciej znaleźć się w domu z powrotem. Sam przed sobą tłumaczył to niedyspozycją i przepracowaniem, przyznawał też chętnie, że jest nieco zatroskany, jak zresztą każdy ojciec, mający córkę na wydaniu, całkiem normalna troska... Czyż sława jej urody nie rozeszła się już po kraju? Czy nie wyciągały się szyje, gdy w niedzielę szedł z nią do kościoła? Czy niektórzy panowie w radzie nie czynili mu już awansów, w imieniu własnym albo syna...?

O tóż pewnego marcowego dnia Richis siedział w salonie i patrzył, jak Laura wychodzi do ogrodu. Miała na sobie błękitną suknię, na którą spływały jej rude włosy, lśniące w słonecznym blasku - nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie. Znikła wśród krzewów. I wystarczyło, że nie wynurzyła się z za owych krzewów dłużej, niżby się spodziewał, dłużej może o czas dwóch

uderzeń serca - a Richis przeląkł się śmiertelnie, przez ten czas myślał bowiem, że utracił Laurę na zawsze.

Tej samej nocy zbudził się z potwornego snu, którego treści nie mógł sobie przypomnieć, ale miało to coś wspólnego z Laurą, i popędził do jej pokoju, pewien, iż leży tam martwa, zamordowana, zbezczeszczona i z ogoloną głową - i znalazł ją nietkniętą.

Wrócił do swej sypialni mokry od potu i drżący z podniecenia, nie, nie z podniecenia, tylko ze strachu, teraz wreszcie wyznał sam sobie, że schwycił go nagi strach, a gdy to sobie wyznał, uspokoił się nieco i trochę mu się rozjaśniło w głowie. Szczerze mówiąc, od początku nie wierzył w skuteczność biskupiej klątwy ani w to, że morderca przeniósł się teraz do Grenoble, ani w to, że w ogóle opuścił Grasse. Nie, morderca był tutaj, wśród mieszkańców miasta, i któregoś dnia znowu uderzy. W sierpniu i we wrześniu Richis widział kilka spośród owych zamordowanych dziewcząt. Widok ten przeraził go i zarazem, jak musiał przyznać, zafascynował, ponieważ wszystkie - każda na swój sposób - odznaczały się niepowседневną pięknnością. Nigdy by nie przypuszczał, że w Grasse jest tyle nieznanych piękności. Morderca otworzył mu oczy. Morderca miał świetny gust. I miał też system. Wszystkich morderstw dokonano w ten sam solidny sposób, co więcej, także wybór ofiar świadczył o jakiejś niemal ekonomicznej kalkulacji. Richis nie wiedział wprawdzie, czego właściwie morderca chciał od swoich ofiar, ponieważ tego, co miały najlepszego: urody i

czaru młodości, nie mógł im być wydrzeć, no bo jak? W każdym razie, jakkolwiek absurdalnie by to brzmiało, odnosił wrażenie, że mordercą powoduje nie pasja niszczycielska, ale pasja skrzętnego zbieracza. Jeżeliby mianowicie - myślał Richis - wyobrazić sobie owe ofiary nie jako poszczególne egzemplarze, ale jako elementy jakiegoś wyższego porządku, a ich swoiste właściwości wyobrazić sobie *idealiter* stopione w jedną całość, mozaika powstała z kombinacji pojedynczych kamyków stanowiła obraz piękności jako takiej i tchnęła czarem już nie ludzkiej, lecz boskiej natury. (Jak widzimy, Richis był człowiekiem myślącym na sposób oświecony, nie cofającym się przed wnioskami wręcz bluźnierczymi, i jeżeli nawet nie rozumował w kategoriach węchowych, tylko optycznych, to przecież był bardzo bliski prawdy.) Załóżmy tedy - myślał dalej Richis - że morderca jest kolekcjonerem piękności i pracuje nad stworzeniem doskonałego wizerunku, choćby tylko w chorobliwych rojeniach swego mózgu; załóżmy dalej, że jest człowiekiem o wyrobionym smaku i znakomitej metodzie, jakim w istocie się wydaje - to w takim razie wykluczone, by miał się wyrzec najcenniejszego klejnotu do tej mozaiki, jaki można było znaleźć na ziemi: piękności Laury. Jego zbrodnicze dzieło byłoby bez niej nic nie warte. Była zwornikiem całej konstrukcji.

Wyciągając te straszliwe wnioski Richis siedział w nocnej koszuli na skraju łóżka i dziwił się własnemu spokojowi. Nie trząsał się już i nie dygotał. Nieokreślony strach, który dręczył go od tygodni, znikł i ustąpił

miejsca świadomości konkretnego zagrożenia: zamysły mordercy krystalizowały się najwyraźniej wokół Laury od samego początku. I wszystkie dotychczasowe morderstwa były jedynie krokami wstępnymi do tego ostatniego, wieńczącego całość mord. Pozostawało wprawdzie niejasne, jaki był materialny cel tych morderstw i czy w ogóle miały taki cel. Ale Richis przeniknął istotę rzeczy: mianowicie systematyczną metodę mordercy i jego ideowy motyw. Im więcej też o tym myślał, tym bardziej podobała mu się ta metoda i ten motyw, i tym więcej szacunku żywił dla mordercy - szacunku, który wprawdzie natychmiast odbijał się, niczym w gładkim zwierciadle, i zwracał ku niemu samemu, gdyż bądź co bądź to właśnie on sam, Richis, zdołał w drodze subtelnej analizy przejrzeć plany przeciwnika.

Gdyby on, Richis, był mordercą, opętanym namiętą ideą tamtego, postępowałby dokładnie tak samo, jak postępował tamten, i podobnie jak tamten zrobiłby wszystko, aby uwieńczyć swoje obłąkane dzieło zamordowaniem Laury, cudownej, niezrównanej Laury. Ta ostatnia myśl szczególnie przypadła mu do smaku. Jeżeli myślowo był w stanie postawić się w położeniu przyszłego mordercy własnej córki, to znaczy, że miał nad mordercą przewagę. Morderca bowiem - to nie ulegało wątpliwości - przy całej swojej inteligencji na pewno nie był w stanie postawić się w jego położeniu, już choćby dlatego, że nie był w stanie się domyślić, iż Richis od dawna wstawił się w położenie jego,

mordercy. W gruncie rzeczy mechanizm dokładnie ten sam, co w świecie interesów - *mutatis mutandis*, rozumie się. Miało się przewagę nad konkurentem, jeżeli przejrzało się jego zamysły; taki konkurent nie mógł już człowiekowi popsuć szyków; zwłaszcza jeśli człowiek nazywał się Antoni Richis, z niejednego pieca chleb jadał i miał bojową naturę. W końcu ten największy we Francji skład artykułów perfumeryjnych, to całe bogactwo i urząd drugiego konsula nie spadły mu z nieba, ale wywalczył je, zdobył uporem i sprytem, zawczasu orientując się w niebezpieczeństwach, przemyślnie odgadując plany konkurencji i usuwając przeciwników. I tak samo osiągnie swoje przyszłe cele, potęgę i szlachecki dyplom dla swoich potomków. I tak samo będzie umiał pokrzyżować plany owego mordercy, konkurującego z nim o posiadanie Laury - już choćby dlatego, że Laura miała być zwornikiem jego własnych planów. Kochał ją, to jasne; ale ponadto była mu potrzebna. A czego potrzebował do urzeczywistnienia swoich najszczytniejszych ambicji, tego nie dawał sobie nikomu wydrzeć, tego umiał się trzymać zębami i pazurami.

Teraz zrobiło mu się lepiej. Kiedy udało mu się sprowadzić nocne rozważania dotyczące walki z demonem na płaszczyznę konfliktu interesów, poczuł się dumy, ba wręcz zadufany w sobie. Resztki strachu ulotniły się, znikło uczucie zwątpienia i dojmującej troski, w jakiej grzął przedtem niczym niedołączny starzec, rozwiała się mgielka posępnych obaw, w której błąkał się na oślep od

tygodni. Znalazł się na dobrze znanym terenie i nie lękał się żadnego wyzwania.

43

Z ulgą, niemal z zadowoleniem wyskoczył z łóżka, pociągnął za sznur dzwonka i rozkazał nieprzytomnemu ze snu słudze spakować ubranie i prowiant, zamierza bowiem o świcie razem z córką jechać do Grenoble. Potem odział się i wygonił z łóżek resztę personelu.

W środku nocy dom przy rue Droite zbudził się do gorączkowego życia. W kuchni rozpalono ogień, po korytarzach przemykały podniecone służące, lokaj biegał w górę i na dół po schodach, w piwnicy szczękały klucze ochmistrza, na dziedzińcu płonęły pochodnie, parobcy uwijali się przy koniach, inni wyprowadzali ze stajni muły, zaprzęgano, siodłano, krzątano się i ładowano - można by pomyśleć, że oto jak *anno* 1746 pałac i plądrując nadciągają austrosardyńskie hordy, i pan domu zbiera się do ucieczki. Bynajmniej! Pan domu siedział władczo niczym marszałek Francji przy biurku swego kantoru, popijał kawę z mlekiem i wydawał polecenia coraz to wbiegającym domownikom. Jednocześnie pisał listy: do burmistrza i do pierwszego konsula, do swego notariusza, do swego adwokata, do swego bankiera w Marsylii, do barona de Bouyon i do rozmaitych kontrahentów.

Około szóstej rano korespondencja była załatwiona i wszystkie niezbędne dyspozycje wydane. Richis zatknął

sobie w zanadrze dwa małe podróżne pistolety, przypiął trzos i zamknął biurko. Potem poszedł obudzić córkę.

O ósmej mała karawana ruszyła w drogę. Na czele jechał konno Richis, prezentował się wspaniale w haftowanej złotem kurcie barwy czerwonego wina, czarnym redingocie i czarnym kapeluszu z zawadiackim pióropuszem. Za nim jechała córka, ubrana skromniej, ale tak promiennie piękna, że ludzie na ulicy i w oknach patrzyli wyłącznie na nią, przez tłum przechodziły nabożne westchnienia, a mężczyźni zdejmowali kapelusze -pozornie przed drugim konsulem, ale naprawdę przed nią, królową. Dalej jechała niańka, nie zwracając już ni-czyjej uwagi, potem służący z dwoma jucznymi końmi wzięcie wozu było niemożliwe z uwagi na znany powszechnie fatalny stan drogi do Grenoble - a koniec orszaku stanowiło dwanaście mułów, obładowanych wszelkimi możliwymi towarami, pod dozorem dwóch parobków. Przy Porte du Cours strażę sprezentowały broń i opuściły ją dopiero, *gdy* przedreptał ostatni z szeregu muł. Jeszcze przez dobrą chwilę biegły za nimi dzieci i machały kawalkadzie, która oddalała się z wolna stromą, krętą drogą pod górę. Na ludziach wyjazd drugiego konsula z córką zrobił osobliwie głębokie wrażenie. Jak gdyby byli świadkami archaicznego pochodu ofiarnego. Rozeszła się wieść, że Richis jedzie do Grenoble, a więc do miasta, gdzie od niedawna szalał potwór dziewicobójca. Ludzie nie wiedzieli, co o tym myśleć. Czy Richis dopuścił się oto karygodnej lekkomyślności, czy też dawał dowód

imponującej odwagi? Chciał rzucić wyzwanie bogom czy też przebłagać ich gniew? Niejasno przeczuwali, że nie ujrzą już więcej pięknej dziewczyny o rudych włosach. Przeczuwali, że Laura Richis jest stracona.

Przeczucia te miały okazać się trafne, jakkolwiek opierały się na zgoła fałszywych przesłankach. Richis mianowicie nie pojechał wcale do Grenoble. Majestatyczny wyjazd z miasta był tylko fortelem. Półtorej mili na północny zachód od Grasse, w pobliżu wioski Saint-Vallier, Richis zatrzymał kawalkadę. Wręczył służącemu pełnomocnictwa oraz pisma przewodnie i rozkazał, mu samemu, z pomocą dwóch parobków, poprowadzić karawanę mułów do Grenoble. Sam z Laurą i niańką zwrócił się w kierunku Cabris, gdzie zarządził południowy popas, a potem ruszył na przełaj przez masyw Tanneron na południe. Droga była niezwykle uciążliwa, ale pozwalała szerokim łukiem ku zachodowi ominąć Grasse i całą nieckę, a wieczorem tego samego dnia niepostrzeżenie dotrzeć nad morze... Następnego dnia - tak sobie zaplanował Richis - przeprawi się wraz z Laurą na wyspy Lerins. Na mniejszej z nich znajdował się dobrze obwarowany klasztor św. Honorata. W klasztorze gospodarzyła gromadka wiekowych, ale całkiem jeszcze dziarskich mnichów, z którymi Richis znał się dobrze, gdyż od lat już skupował i rozprowadzał całość produkowanego w klasztorze likieru eukaliptusowego, orzeszków pinii i olejku cyprysowego. Otóż w tym klasztorze, będącym oprócz lochów Chateau d'If i państwowego więzienia na

wyspie Świętej Małgorzaty niewątpliwie najbezpieczniejszym miejscem w całej Prowansji, zamierzał na razie ulokować córkę. On sam bezzwłocznie wróci na ląd, ominie tym razem Grasse od wschodu, przez Antibes i Cagnes, i jeszcze wieczorem tego samego dnia dotrze do Vence. Tam zamówił był już notariusza w celu spisania z baronem de Bouyon umowy dotyczącej małżeństwa ich dzieci, Laury i Alfonsa. Myślał złożyć baronowi ofertę nie do odrzucenia: mianowicie przejęcie jego długów w wysokości 40 000 liwrów, drugie tyle w posagu, a ponadto dobra ziemskie, tłoczarnie oliwy pod Maganosc, 3000 liwrów rocznej renty dla młodej pary. Stawiał tylko jeden warunek - małżeństwo ma być zawarte w ciągu dziesięciu dni i skonsumowane w dniu wesela, po czym młoda para ma zamieszkać w Vence.

Richis wiedział, że przez ten pośpiech niepomiarnie podbija cenę połączenia swego domu z domem de Bouyon. Gdyby zaczekał, kosztowałyby go to znacznie mniej. Baron błagałby, aby wolno mu było wywyższyć ponad stan córkę zwykłego hurtownika przez małżeństwo ze swoim synem, gdyż sława piękności Laury roślaby dalej, a też potęgowałyby się bogactwo Richisa i finansowy upadek barona. Ale pał to sześć! Nie baron był w tym przypadku przeciwnikiem, ale nieznanym mordercą. I mordercy trzeba było popsuć interes. Kobieta zamężna, pozbawiona dziewictwa lub wręcz już brzemienna, nie pasowała do jego ekskluzywnej galerii. Ostatnie miejsce w mozaice

pozostanie puste. Laura utraci dla mordercy wszelką wartość, jego dzieło pójdzie na marne. I morderca pozna tę stratę w całej rozciągłości! Richis chciał wyprawić wesele w Grasse, z wielką pompą i na oczach wszystkich. I nawet jeśli nie zna swego przeciwnika i nigdy go nie pozna, jakże miło było pomyśleć, że ten będzie świadkiem wydarzenia i będzie musiał na własne oczy widzieć, jak mu sprzed nosa sprzątają najcenniejszą zdobycz.

Plan był starannie obmyślony. Raz jeszcze wypada złożyć hołd przenikliwości drugiego konsula. Albowiem w istocie zaślubiny Laury Richis z synem barona de Bouyon dla dziewicobójcy z Grasse musiałyby oznaczać druzgocącą klęskę. Ale plan nie został jeszcze urzeczywistniony. Richis nie zdążył jeszcze oddać córki w zbawcze zamęcie. Jeszcze nie zawiózł jej do bezpiecznego klasztoru św. Honorata. Troje jeźdźców przedzierało się jeszcze przez niegościnnie masyw Tanneron. Niekiedy droga stawała się tak marna, że trzeba było zsiadać z koni i iść pieszo. Posuwali się bardzo powoli. Pod wieczór spodziewali się dotrzeć do morza przy La Napoule, małej miejscowości na zachód od Cannes.

44

W chwili, gdy Laura Richis opuszczała wraz z ojcem Grasse, Grenouille znajdował się na drugim końcu miasta w warsztacie Arnulfich i macerował żonkile. Był sam i był w dobrym humorze. Jego pobyt w Grasse

dobiegał końca. Dzień triumfu był bliski. W szopie w wysłanym wata pudelczku spoczywały dwadzieścia cztery małe flakoniki ze skroploną aurą dwudziestu czterech dziewic - najwspanialsze esencje, jakie Grenouille sporządził ubiegłego roku przez *enfleurage* na zimno ciał, wytrawianie włosów i sukni, laważowanie i destylację. Dwudziestą piątą, najcenniejszą, zdobędzie dzisiaj. Tygielek z doskonale sklarowanym tłuszczem, ręcznik z najcieńszego płótna i gąsior wysoko rektyfikowanego alkoholu na ten ostatni połów czekały przygotowane. Teren był najdokładniej spenetrowany. Księżyc stał w nowiu.

Grenouille wiedział, że próba włamania się do dobrze zabezpieczonej rezydencji przy rue Droite nie ma sensu. Toteż zamierzał już o zmroku, przed zamknięciem bramy, wśliznąć się do wewnątrz pod osłoną własnej bezwonności, która niczym czapka-niewidka pozwalała mu ująć uwagi ludzi i zwierząt, i ukryć się w jakimś zakamarku domu. Potem, gdy wszyscy zasną, pójdzie za igłą magnetyczną swego nosa do komnatki, gdzie leżał uspijony jego skarb. Natychmiast przetworzy go w nasączonym tłuszczem płótnie. Zabierze jak zwykle tylko włosy i ubranie, ponieważ te elementy można było płukać bezpośrednio w alkoholu, co wygodniej było robić w warsztacie. Na końcową obróbkę pomady i wydestylowanie koncentratu wyznaczył sobie następną noc. A jeśli wszystko pójdzie dobrze - nie miał zaś najmniejszego powodu, by o tym wątpić - pojutrze znajdzie się w posiadaniu wszystkich esencji do

sporządzenia najlepszego pachnidła świata i opuści Grasse jako najwspanialej pachnący człowiek na ziemi.

Około południa uporał się z żonkiliami. Zgasił ogień, przykrył kocioł z tłuszczem i wyszedł na dwór, aby się nieco orzeźwić. Wiał zachodni wiatr.

Ledwo zaczerpnąwszy tchu zauważył, że coś jest nie w porządku. Coś się nie zgadzało w atmosferze. W olfaktorycznej szacie miasta, w owym gęsto utkanym woalu brakowało złotej nici. W ciągu ostatnich tygodni ta nić aromatu tak się nasiliła, że Grenouille postrzegał ją i wyraźnie nawet za miastem w swojej chałupce. Teraz zaś znikła, przepadła, nie pomagało najusilniejsze węszenie. Grenouille był niemal sparaliżowany ze strachu.

Umarła, pomyślał. A potem, z jeszcze większym przerażeniem: ktoś mnie ubiegł. Kto inny zerwał mój kwiat i zabrał sobie jego zapach! Nie, Grenouille nie zawył, na to był zbyt wstrząśnięty, akurat na tyle, by zapłakać, i oto w kącikach jego oczu nabrzmiały łzy i nagle spłynęły z obu stron nosa.

Druot wrócił na obiad z karczmy „Pod Czterema Delfinami” i opowiedział *en passom*, że rankiem tego dnia drugi konsul z dwunastoma mułami i córką wyruszył do Grenoble. Grenouille przełknął łzy i popędził przez miasto do Porte du Cours. Na placu przed bramą zatrzymał się i jął węszyć. I w czystym, nie zanieczyszczonym przez miejskie zapachy wietrze zachodnim faktycznie odnalazł znowu swoją złotą nić, wprawdzie wątłą i słabą, ale nie do pomylenia z niczym

innym. Wszelako ukochany zapach nie szedł z północ-zachodu, od strony gościńca ku Grenoble, ale raczej z kierunku na Cabris - jeżeli rue zgoła z południowego zachodu.

Grenouille zapytał strażę, którędy pojechał drugi konsul. Wartownik wskazał na północ. Nie drogą do Cabris? Albo tą drugą, idącą na południe w stronę Auribeau i La Napoule? - Na pewno nie, odrzekł wartownik; widział to na własne oczy.

Grenouille popędził z powrotem przez miasto do swojej szopy, wrzucił do podróżnej sakwy płótno, garnuszek z tłuszczem, szpatułkę, nożyczki oraz niedużą, gładką pałkę z oliwnego drzewa i bezzwłocznie wyruszył w drogę - nie do Grenoble, ale tam, gdzie wskazywał mu jego nos: na południe.

Droga ta - bezpośrednia droga do La Napoule - wiodła wzdłuż wysuniętych jeziorów Tanneronu, przez wąwozy Frayere i Siagne. Była wygodna. Grenouille posuwał się szybko naprzód. Gdy z prawej strony ujrzał Auribeau, zawieszony wysoko na krągłym wierzchołku góry, wyniuchał, że niemal już dogonił uciekających. Niebawem znalazł się na tej wysokości co oni. Teraz zwęszył ich wyraźnie, dobiegał go nawet zapach potu ich wierzchowców. Mogli się znajdować najwyżej o pół mili dalej na zachód, gdzieś wśród lasów Tanneronu. Kierowali się na południe, ku morzu. Dokładnie tak samo jak on.

Około piątej po południu Grenouille dotarł do La Napoule. Zaszedł do gospody, zjadł, wypił i poprosił o

tani nocleg. Jest czeladnikiem garbarskim z Nicei, oświadczył, i idzie do Marsylii. Powiedziano mu, że może przenocować w stajni. Grenouille ułożył się w kącie stajni i wypoczywał. Czuł zapach trojga zbliżających się podróżnych. Wystarczało czekać.

W dwie godziny potem - było już dość ciemno przybyli na miejsce. Aby zachować *incognito*, zmienili odzież. Obie kobiety miały na sobie ciemne suknie i szale, Richis - czarny surdut. Podał się za szlachcica jadącego z Castellane; jutro chciałby się przeprawić na wyspy, niech więc oberżysta wystara mu się o łódź na rano o wschodzie słońca. Czy poza nim i jego towarzyszkami są tu jeszcze jacyś inni goście? Nie, odrzekł oberżysta, tylko garbarski czeladnik z Nicei, który nocuje w stajni. Richis wysłał kobiety do pokojów. Sam poszedł do stajni, aby wziąć jeszcze coś z juków, jak powiedział. Zrazu nie mógł wcale dostrzec owego czeladnika i musiał pożyczyć od stajennego latarnię. Wtedy ujrzał go, leżącego w kącie na słomie, przykrytego starą derką, i z głową opartą na sakwie, pogrążonego w głębokim śnie. Wyglądał tak bardzo niepozornie, że Richis w pierwszej chwili odniósł wrażenie, iż wcale go nie ma, iż ma przed sobą tylko majak powstały z cieni rzucanych przez latarnię. W każdym razie nabrał przekonania, że ze strony tej niemal wzruszająco niewinnej istoty nie trzeba obawiać się najmniejszego niebezpieczeństwa, ' oddalił się cicho, aby nie zakłócać jej snu, i wrócił do oberży.

Kolację spożył razem z córką w pokoju. Nie wyjawiał jej przedtem celu tej dziwnej podróży, i teraz też tego nie uczynił, choć go o to prosiła. Jutro ją wtajemniczy, powiedział, na razie zaś niech będzie spokojna, że cokolwiek ojciec planuje i robi, to dla jej dobra i przyszłego szczęścia. Po jedzeniu zagrali kilka partyjek lombra i Richis przegrywał raz za razem, gdyż zamiast w karty patrzył ciągle na oblicze córki i delectował się jej urodą. Około dziewiątej zaprowadził ją do jej pokoju, po drugiej stronie korytarza, pocałował na dobranoc i zamknął od zewnątrz drzwi. Potem sam położył się do łóżka.

Nagle poczuł się bardzo zmęczony po trudach dnia i minionej nocy, i jednocześnie bardzo zadowolony z siebie i z obrotu rzeczy. Bez cienia troski, bez żadnych posępnych przeczuć, jakie jeszcze do wczoraj dręczyły go, gdy tylko gasił światło, i nie pozwalały spać, usnął natychmiast i nic mu się nie śniło, nie jęczał przez sen, nie drgał spazmatycznie, nie przewracał się nerwowo na pościeli. Po raz pierwszy od dawna Richis zaznał głębokiego, spokojnego, pokrzepiającego snu.

O tej samej godzinie Grenouille podniósł się ze swego legowiska w stajni. On też był zadowolony z siebie i z obrotu, jaki przybrały rzeczy, i czuł się zupełnie rześko, choć nie spał ani sekundy. Gdy Richis zaszedł do stajni, by go obejrzeć, udawał tylko uśpienie, by niewinne wrażenie, jakie i tak wywoływał dzięki zapachowi niepozorności, uczynić jeszcze dobitniejszym. I jeśli Richis w czasie tych oględzin nie wyrobił sobie pojęcia o

Grenouille'u, to Grenouille za to wyrobił sobie o Richisie pojęcie nader dokładne, mianowicie olfaktoryczne, i ulga, jaką tamten uczuł na jego widok, bynajmniej nie uszła jego uwagi.

Tak więc obaj przy tym krótkim spotkaniu przekonali się wzajem o swojej nieszkodliwości, jeden słusznie, drugi niesłusznie, i zdaniem Grenouille'a tak było dobrze, *gdyż* jego własna pozorna nieszkodliwość i rzeczywista nieszkodliwość Richisa znakomicie ułatwiały jego, Grenouille'a, przedsięwzięcie - Richis zresztą w odwrotnym przypadku w pełni podzielałby ten pogląd.

45

Z zawodową ostrożnością Grenouille przystąpił do dzieła. Otworzył sakwę, wyjął płótno i szpatułkę, rozpostarł płótno na derce, na której przedtem leżał, i wziął się do nakładania tłuszczu. Praca ta wymagała sporo czasu, chodziło bowiem o to, by tłuszcz nanieść tu grubiej, tam cienie, w zależności od tego, jakiej części ciała miała dotykać dana partia płachty. Usta i pachy, piersi, organy płciowe i stopy wydzielały więcej woni niż na przykład golenie, plecy i łokcie; wewnątrz dłoni więcej niż grzbiet dłoni; brwi więcej niż powieki itd. - toteż trzeba było przewidzieć na nie więcej tłuszczu. Grenouille modelował zatem na płótnie coś w rodzaju zapachowego diagramu ciała, które miało być poddane zabiegom, i ta część pracy dawała mu w gruncie rzeczy największą satysfakcję, gdyż była to technika

artystyczna, zaprzatająca w równej mierze wyobraźnię i rękę, a ponadto *idealiter* dawała przedsmak oczekiwanego rezultatu końcowego.

Gdy zużył cały garnczek pomady, dokonał jeszcze gdzieś tam poprawek, tu ujął nieco tłuszczu, tam dodał, wyretuszował, sprawdził raz jeszcze wymodelowany krajobraz tłuszczowy - nosem zresztą, a nie oczyma, gdyż cała operacja odbywała się w całkowitych ciemnościach, co zapewne było kolejnym powodem spokojnego, radosnego nastroju Grenouille'a. W tę noc nowiu nic nie odwracało jego uwagi. Świat składał się wyłącznie z zapachów i lekkiego szumu morza. Grenouille był w swoim żywiole. Potem zwinął płótno tak jak się zwija tapetę, aby powierzchnie natłuszczone nie stykały się ze sobą. Robił to z przykrością, wiedział bowiem dobrze, że nawet przy największej ostrożności fragmenty wymodelowanych konturów spłaszczają się i zacierają. Ale tylko w ten sposób można było płótno przetransportować. Gdy złożył je tyle razy, że mógł je bez trudu przerzucić sobie przez ramię, schował za pazuchę szpatułkę, nożyce i pałkę z oliwnego drzewa i wymknął się na dwór.

Niebo było zachmurzone. W domu nie paliło się już ani jedno światło. W nieprzeniknionych ciemnościach drgał tylko wąty blask na wieży fortu Świętej Małgorzaty, o milę stąd, jak lśniąca szpilka wpięta w czarną płachtę. Lekki powiew z zatoki niósł zapach ryb. Psy spały.

Grenouille podszedł do drabiny, przystawionej od zewnątrz do okna sąsiada. Dźwignął ją i trzymając

pionowo, z trzema szczeblami zaklinowanymi pod wolną prawą ręką, z resztą przyciśniętą do prawego barku, przeniósł przez dziedziniec aż pod jej okno. Było uchylone. Wchodząc po drabinie, wygodnie niczym po schodach, powinszował sobie, że ma okazję zebrać zapach dziewczyny tu, w La Napoule. W Grasse bowiem, przy okratowanych oknach i dobrze strzeżonym domu, wszystko byłoby znacznie trudniejsze. Tutaj dziewczyna spała w dodatku sama. Nie musiał nawet likwidować niańki.

Popchnął okienne skrzydło, wemknął się do wewnątrz i odłożył całun. Potem zwrócił się w stronę łóżka. Dominował zapach jej włosów, leżała bowiem na brzuchu, a twarz, osłoniętą zgiętym ramieniem, wcisnęła w poduszki, tak że tył głowy wystawiony był wprost idealnie na cios maczugi.

Uderzenie rozległo się głuchym chrzęstem. Nienawidził tego. Nienawidził tego już choćby z tej przyczyny, że był to dźwięk, dźwięk w jego skądinąd bezgłośnej operacji. Mógł wytrzymać ten ohydny odgłos tylko z zaciśniętymi zębami, a kiedy przebrzmiał, Grenouille przez chwilę jeszcze stał sztywny i napięty, z ręką ściskającą kurczowo pałkę, jak gdyby lękał się, że dźwięk może powrócić odbitym gdzieś echem. Ale dźwięk nie wracał, do izby wróciła cisza, nawet spotęgowana cisza, gdyż nie było już słycać oddechu dziewczyny. I z Grenouille'a natychmiast opadło napięcie (które można by też interpretować jako postawę pełną nabożeństwa albo z wysiłkiem

wytrzymywaną minutę milczenia), a jego ciało odprężyło się.

Odłożył maczugę i wziął się żwawo do pracy, pochłonięty już tylko kolejnymi czynnościami. Przede wszystkim rozpostarł płótno, rozwiesił je luźno spodnią stroną na stole i krześle, uważając, by strona natłuszczona niczego nie dotykała. Potem odrzucił kołdrę. Czarowny zapach dziewczyny, jaki buchnął nagle ciepłą, przemożną falą, nie zrobił na nim wrażenia. Znał go już, a rozkoszować się nim, rozkoszować się aż do upojenia, zdąży później, kiedy już go naprawdę posiadzie. Teraz chodziło o to, by jak najwięcej schwytać, jak najmniej uronić, teraz należało działać w skupieniu i szybko.

Pośpieszonymi cięciami nożyc rozerwał nocną koszulę, ściągnął ją z dziewczyny, ujął natłuszczony całun i narzucił na obnażone ciało. Potem podniósł ją, podścielił pozostałą część płótna, zrolował ją tak, jak piekarz roluje strucle; złożył końce, opatulił ją od stóp do głowy. Z zawoju mumii wystawały jeszcze tylko włosy. Uciął je tuż przy skórze, zawinał w nocną szatkę i związał w tłumoczek. Na koniec przykrył wolnym kawałkiem płótna ostrzyżoną czaszkę, wygładził zwisający koniec, poprawił go delikatnie palcem. Sprawdził uważnie cały tobolek. Nie było żadnej szparki, żadnej szczeliny, żadnej rozchylonej fałdki, któreby zapach dziewczyny mógłby się wymykać na zewnątrz. Była dokładnie opakowana. Nie pozostawało nic innego jak czekać przez sześć godzin, aż do świtu.

Wziął mały stołek, na którym leżało jej ubranie, przysunął go do łóżka i usiadł. Luźna czarna suknia tchnęła jeszcze resztką jej zapachu, zmieszana z zapachem anyżkowych placuszków, które miała w kieszeni jako prowiant na drogę. Oparł nogi o skraj łóżka, w pobliżu jej stóp, okrył się jej suknią i jadł anyżkowe placki. Był zmęczony. Ale nie chciał spać, nie wypadało bowiem spać przy pracy, nawet jeżeli praca polegała tylko na czekaniu. Przypomniawszy sobie noce spędzone przy destylowaniu w warsztacie Baldiniego: uczerniony sadzą alembik, pełgający ogień, cichy dźwięk kapania, gdy destylat poczynął spływać z chłodzącej rurki do flaszki. Od czasu do czasu trzeba było poprawić ogień, dolać wody, podstawić nową flaszkę, wymienić wyczerpany surowiec. A jednak zawsze miał wrażenie, że czuwa się nie ze względu na te sporadyczne czynności, ale że to czuwanie ma jakiś własny sens. Nawet tu, w tym pokoju, kiedy proces odbywał się sam z siebie, a niewczesne sprawdzanie, odwrócenie i poruszenie wonnego tobołka mogłoby tylko zaszkodzić, nawet teraz - zdawało się Grenouille'owi - jego czuwanie było czymś ważnym. Sen naraziłby na szwank ducha pomyślności.

Zresztą mimo zmęczenia czuwanie i czekanie przychodziło mu z łatwością. Tak i e czekanie lubił. Lubiał je też przy tamtych dwudziestu czterech dziewczętach, ponieważ nie było to żadne tępe odczekiwanie ani tęskne wyczekiwanie, lecz czekanie towarzyszące, pełne sensu, poniekąd czynne. W czasie

tego czekania coś się dokonywało. Dokonywała się rzecz najważniejsza. I chociaż nie on sam tego dokonywał, to jednak dokonywało się to za jego sprawą. Dał z siebie, co miał najlepszego. Użył całego swego kunsztu. Nie popełnił najmniejszego błędu. Było to niezrównane dzieło. I uwieńczył je sukces... Musi tylko jeszcze parę godzin poczekać. To czekanie dawało mu najgłębszą satysfakcję. Nigdy w życiu nie czuł się tak dobrze, nie był tak spokojny, tak wewnętrznie uładowany, w takiej zgodzie z samym sobą - nawet wtedy, w górskiej jaskini - jak w czasie tych godzin zawodowego przestoju, kiedy w najgłębszą noc siedział przy swoich ofiarach i czuwając czekał. Jedynie w tych momentach w jego posępnym mózgu rodziły się myśli niemal pogodne. Rzecz dziwna, myśli te nigdy nie wybiegały w przyszłość. Nie myślał o zapachu, jaki zbierze za parę godzin, nie myślał o perfumach, na które złożą się aury dwudziestu pięciu dziewcząt, nie myślał o dalszych planach. Przypominał sobie kolejne etapy swego życia, od domu *madame* Gaillard i wilgotno-gorącego tchnienia drewna aż po swą dzisiejszą wyprawę do małej, woniejącej rybami wioski La Napoule. Wspominał garbarza Grimala, wspominał Giuseppe Baldiniego, markiza de la Taillade-Espinasse. Wspominał miasto Paryż, jego potężny, mieniący się tysiącem odcieni odór, wspominał rudowłosą dziewczynę z rue des Marais, otwarte przestrzenie, lekkie podmuchy wiatru, lasy. Wspominał także górę w Owernii - bynajmniej nie unikał tego wspomnienia - swoją jaskinię, bezludny

przestwór. Wspominał także swoje sny. I wszystko wspominał z wielkim upodobaniem. Ba, kiedy tak cofał się pamięcią wstecz, zdawało mu się, iż jest człowiekiem obdarzonym wyjątkowym szczęściem i że przeznaczenie wiodło go wprawdzie pokrętnymi, ale koniec końców właściwymi drogami - czyż inaczej mógłby znaleźć się tutaj, w tej ciemnej izbie, u celu swych pragnień? Tak, jeżeli się dobrze zastanowić, był zaiste jednostką uprzywilejowaną.

Zdjęło go wzruszenie, uczucie pokory i wdzięczności. „Dziękuję ci - rzekł cicho - dziękuję ci, Janie Baptysto Grenouille, że jesteś taki, jaki jesteś!” Tak przejęty był samym sobą.

Potem zamknął powieki - nie po to, by spać, ale by w zupełnym spokoju oddać się tej świętej nocy. Pokój zstąpił w jego serce. Ale zdawało mu się, że pokój panuje także dookoła niego. Pachniało spokojnym snem niańki w sąsiedniej izbie, pełnym satysfakcji snem Antoniego Richisa z drugiej strony korytarza, błogim snem oberżysty, parobków, psów, zwierząt w stajni, całej wioski i morza. Wiatr ustał. Wszędzie panowała cisza. Nic nie mąciło spokoju.

Raz wygiął stopę w bok i dotknął delikatnie stopy Laury. A właściwie nie jej stopy, tylko spowijającego ją płótna nasączonego tłuszczem, który chłonał teraz jej zapach, jej cudowny zapach, jego zapach.⁴⁶

Gdy odezwały się pierwsze głosy ptasie - a więc jeszcze na dobrą chwilę przed brzaskiem - wstał i dokonał ostatnich czynności. Rozwinął płótno i ściągnął je z

nieżywej dziewczyny jak plaster. Tłuszcz odlepił się łatwo od skóry. Tylko w zakamarkach przylgnęły jakieś resztki, i te musiał zebrać szpatułką. Pozostałe ślady tłuszczu usunął własną koszulką Laury, którą na koniec wytarł jeszcze całe ciało od stóp do głowy, tak dokładnie, że ze skóry starły się nawet drobne kluseczki wydzieliny porów, a wraz z nimi ostatnie strzępki i kosmyczki jej wonności. Teraz dopiero była dla niego naprawdę martwa, wyblakła i zwiędła jak odpadki kwiatów.

Cisnął koszulkę na uwonnione płótno, w którym i tylko w nim - żyła jeszcze Laura, dorzucił nocny strój, włosy i zwinął wszystko w mały, szczelny tłumoczek, który wetknął sobie pod pachę. Nie zadał sobie trudu, by przykryć leżące na łóżku zwłoki. I chociaż czerń nocnego nieba przeszła już w szary granat poranku, a w pokoju poczęły się rysować kontury sprzętów, nie rzucił w stronę łóżka ani jednego spojrzenia, aby przynajmniej raz w życiu zobaczyć ją oczyma. Nie interesowała go jej postać. Jako ciało już dla niego nie istniała, jedynie jako bezcielesny zapach. A ten miał pod pachą i zabierał ze sobą.

Cicho wysliznął się na gzyms pod oknem i zszedł po drabinie na dół. Na dworze znowu wiał wiatr, a niebo rozjaśniło się i zalewało okolicę chłodnym, ciemnobłękitnym światłem. W pół godziny później służąca zaczęła rozpalać pod kuchnią. Gdy wyszła przed dom po drzewo, zobaczyła przystawioną drabinę, ale była zbyt zaspana, by jej to dało do myślenia. Tuż po

szóstej wzeszło słońce. Wynurzało się z morza ogromne i złocistoczerwone spomiędzy dwóch wysp. Niebo było bezchmurne. Zaczynał się wspaniały wiosenny dzień.

Richis, którego pokój położony był od zachodu, obudził się o siódmej. Po raz pierwszy od miesiący wyspał się naprawdę znakomicie i wbrew swoim zwyczajom przez kwadrans jeszcze leżał, przeciągał się i wzdychał z rozkoszy oraz nasłuchiwał przyjemnych odgłosów z kuchni. Gdy potem wstał, otworzył okno na roścież, zobaczył, że jest piękna pogoda, odetchnął rześwym, aromatycznym powietrzem poranka, usłyszał szum fal, jego dobry humor spotęgował się wprost bez miary, i Richis stulił wargi i zagwizdał wesołą melodię. Pogwizdywał przy ubieraniu się i nadal pogwizdując wyszedł z pokoju i lekkim krokiem, jak na skrzydłach, przebył korytarz dzielący go od drzwi córki. Zapukał. Zapukał jeszcze raz, cicho, aby jej nie przestraszyć. Nie było odpowiedzi. Richis uśmiechnął się. Nie zdziwiło go wcale, że Laura jeszcze śpi.

Ostrożnie wsunął klucz do dziurki i odsunął rygiel, cicho, zupełnie cicho, w trosce, aby jej nie zbudzić, pragnąc niemal namiętnie zastać ją jeszcze we śnie, z którego obudzi ją pocałunkiem, jeszcze raz, ostatni raz, nim odda ją innemu mężczyźnie.

Drzwi odskoczyły, Richis wszedł do środka i promienie słońca ugodziły go prosto w twarz. Zdawało się, że pokój wypełniony jest płynnym srebrem, wszystko lśniło, i z bólu na moment musiał zamknąć oczy.

Gdy je znowu otworzył, zobaczył Laurę leżącą na łożku, nagą, martwą, ostrzyżoną do gołej skóry i olśniewająco białą. Tak jak w koszmarnym śnie, który nawiedził go poprzedniej nocy w Grasse i o którym zdążył już zapomnieć, a który teraz poraził go znowu jak grom. Wszystko było dokładnie tak jak we śnie, tylko o wiele jaśniejsze.

Wiść o zamordowaniu Laury Richis rozchodziła się po okolicach Grasse tak szybko jak wiadomość w rodzaju „Król umarł!”, albo „Wybuchła wojna!”, albo „Piraci wylądowali!” i wywoływała podobną albo i większą zgrozę. Starannie pogrzebany w niepamięci strach wrócił znowu, zaraźliwy jak poprzedniej jesieni, ze wszystkimi objawami towarzyszącymi: paniką, oburzeniem, wściekłością, histerycznymi podejrzeniami, rozpaczą. Ludzie wieczorem nie wysuwali nosa z domu, zamykali swoje córki, barykadowali się, podejrzewali się wzajemnie i nie mogli spać. Każdy był przekonany, że teraz zacznie się wszystko od nowa, co tydzień morderstwo. Jak gdyby czas cofnął się o pół roku.

Strach paraliżował jeszcze bardziej niż pół roku temu, gdyż nagły powrót niebezpieczeństwa, które, jak mniemano, zostało już zażegnane, szerzył wśród ludzi uczucie bezsilności. Skoro zawiodła nawet biskupia kłątwa! Skoro Antoni Richis, wielki Richis, najbogatszy obywatel miasta, drugi konsul, człowiek potężny i rozważny, rozporządzający wszelkimi środkami, nie zdołał uchronić swego własnego dziecka! Skoro dłoń mordercy nie zadrżała nawet w obliczu świętej

piękności Laury - gdyż dla wszystkich, którzy ją znali, Laura była świętą, zwłaszcza teraz, *ex post*, gdy już nie żyła. Czyż można było jeszcze wierzyć w ocalenie? Morderca był gorszy niż dżuma, przed dżumą można było uciec, przed mordercą zaś nie, jak tego dowodził przypadek Richisa. Morderca miał najwyraźniej nadprzyrodzone właściwości. Na pewno sprzymierzył się z diabłem, jeżeli sam nie był wcielonym diabłem. I wielu też, zwłaszcza co bardziej prostodusznych obywateli, nie widziało innego sposobu, jak udać się do kościoła i modlić, każdy cech do swego patrona, ślusarze do świętego Alojzego, tkacze do świętego Kryspina, ogrodnicy do świętego Antoniego, perfumiarze do świętego Józefa. Zabierali ze sobą żony i córki, modlili się razem, jedli i spali w kościele, nawet w ciągu dnia nie opuszczali świątyni, przeświadczeni, że pod osłoną zrozpaczonej wspólnoty i pod okiem Madonny są jeszcze jako tako bezpieczni, choć i to rzecz niepewna. Inni, zmyślniejsi i pomni, że kościół raz już zawiodł w tej sprawie, tworzyli okultystyczne grupy, za ogromne sumy zgodzili renomowaną czarownicę z Gourdon, zapuszczali się w jedną z licznych wapiennych grot w podziemiach Grasse i odprawiali czarne msze, aby zjednać sobie przychyłność Księcia Ciemności. Jeszcze inni, głównie członkowie miejskiego patrycjatu i oświeconej szlachty, stawiali na nowocześniejsze metody naukowe. Magnetyzowali swoje domy, hipnotyzowali swoje córki, tworzyli fluidalne kręgi milczenia w salonach i usiłowali za

pośrednictwem zbiorów wytwarzanych emisji myślowych telepatycznie zakląć ducha mordercy. Bractwa cechowe urządziły procesję pokutną z Grasse do La Napoule i z powrotem. Mnisi z pięciu klasztorów miasta odprawiali nieprzerwanie msze błagalne z nieustającymi śpiewami, tak że to w tym, to w tamtym końcu Grasse stale rozlegał się lament, za dnia i w nocy. Pracy w zasadzie zaprzestano.

Ludność Grasse trwała w gorączkowej bezczynności, niemal niecierpliwie wyczekiwała kolejnego morderstwa. Że do niego dojdzie, nikt nie wątpił. I w duchu każdy z utęsknieniem wyglądał potwornej wieści, z tą jedynie nadzieją, iż będzie ona dotyczyła nie jego samego, ale kogoś innego.

Jednakże władze miasta, okręgu i prowincji nie dały się tym razem zarazić histerycznymi nastrojami. Po raz pierwszy od chwili pojawienia się dziewicobójcy doszło do planowej i owocnej współpracy między okręgami Grasse, Draguignan i Tuluonu na szczeblu magistratu, policji, intendentury, parlamentu i marynarki.

Przyczyną tego solidarnego wystąpienia zwierzchności była z jednej strony obawa przed powszechnym powstaniem ludowym, z drugiej strony fakt, że dopiero morderstwo na Laurze Richis dało sposobność do wszczęcia systematycznego śledztwa. Tym razem bowiem widziano mordercę. Bez wątpienia był nim ów złowieszczy czeladnik garbarski, który noc zabójstwa spędził w stajni oberży w La Napoule, a następnego ranka zniknął bez śladu. Wedle zgodnych zeznań

oberżysty, stajennego i Richisa był to niepozorny, niedużego wzrostu mężczyzna odziany w brunatny surdut i z sakwą podróżną z grubego płótna. I chociaż poza tym wspomnienia tych trzech świadków były zdumiewająco mgliste - nie umieli na przykład opisać twarzy, koloru włosów albo sposobu wystawiania się owego osobnika oberżysta dorzucił jeszcze, że o ile się nie myli, to w postawie i chodzie przybysza było coś niezdarnego, kalekiego, jak gdyby miał zranioną nogę albo wykoślawioną stopę.

Zaopatrzone w te dane dwa oddziały straży marszałkowskiej już w południe dnia zbrodni ruszyły na poszukiwanie zbrodniarza w kierunku Marsylii - jeden posuwał się wzdłuż wybrzeża, drugi drogą idącą bardziej w głąb lądu. Zgłaszający się na ochotnika cywile przeczesywali bliższe okolice La Napoule. Dwóch komisarzy okręgowego sądu Grasse pojechało do Nicei, aby zarządzić poszukiwanie czeladnika garbarskiego. We Frejus, Cannes i Antibes kontrolowano wszystkie opuszczające port statki, na granicy z Sabaudią zamknięto wszystkie drogi, legitymowano podróżnych. Dla tych, którzy umieli czytać, wywieszono list gończy z rysopisem sprawcy na wszystkich bramach miejskich w Grasse, Vence, Gourdon oraz na drzwiach kościołów okolicznych wiosek. List ten trzy razy dziennie publicznie odczytywano. Historia z domniemaną szpotawą nogą wzmocniła co prawda pogląd, iż sprawcą jest sam diabeł, i w efekcie przyniosła raczej panikę niż użyteczne wskazówki.

Dopiero gdy prezes sądu w Grasse na polecenie Richisa wyznaczył nagrodę w wysokości okrągłych dwustu liwrów za informacje pomocne w ujęciu sprawcy, donosy spowodowały uwięzienie kilku czeladników garbarskich w Grasse, Opio i Gourdon, z których jeden nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności faktycznie kulał. Mimo potwierdzonego przez licznych świadków alibi chciano go już poddać torturom, kiedy w dziesięć dni po morderstwie do magistratu zgłosił się człowiek ze straży miejskiej i złożył następujące zeznanie: w południe owego dnia on sam, Gabriel Tagliasco, kapitan straży, sprawujący jak zwykle służbę przy Porte du Cours, został zagadnięty przez osobnika, do którego, jak Tagliasco obecnie wie, dość dokładnie pasuje rysopis z listu gończego. Osobnik ów kilkakrotnie i w sposób natarczywy wypytywał, w jakim kierunku udał się rankiem drugi konsul ze swą karawaną. Tagliasco nie przywiązywał do tego zdarzenia najmniejszej wagi ani wtedy, ani potem, osobnika tego z całą pewnością zaś nie umiałby już sobie przypomnieć - wyglądał tak niepozornie - gdyby przypadkiem nie zobaczył go ponownie wczoraj, i to tutaj, w Grasse, przy rue de la Louve, przed warsztatem mistrza Druota *i madame Arnulfi*, przy której to okazji rzuciło mu się też w oczy, że człowiek ten, wracając do warsztatu, wyraźnie utykał.

W godzinę później Grenouille został aresztowany. Oberżysta i chłopak stajenny z La Napoule, dla identyfikacji podejrzanych sprowadzeni do Grasse,

rozpoznali w nim natychmiast garbarskiego czeladnika, który wówczas nocował w oberży: to on, ten człowiek i nikt inny musi być poszukiwanym mordercą.

Przeszukano warsztat, przeszukano szopę w ogrodzie oliwnym za klasztorem Franciszkanów. W kącie, niedbale ukryte, leżały nocny strój, koszulka i rude włosy Laury Richis. A kiedy przekopano klepisko, po trochu ukazywały się suknie i włosy pozostałych dwudziestu czterech dziewcząt. Znalazła się drewniana maczuga, którą morderca zabijał swoje ofiary, i płócienna sakwa podróżna. Poszlaki były niezbite. Rozbrzmiały kościelne dzwony. Prezes sądu kazał obwołać i otrąbić, że osławiony dziewicobójca, którego poszukiwano niemal od roku, został nareszcie ujęty i osadzony w areszcie.

48

Ludzie zrazu nie dowierzali obwieszczeniu. Uważano to za wybieg, jakim władze chciały pokryć własną nieudolność i uspokoić niebezpiecznie podniecone nastroje. Zbyt dobrze jeszcze pamiętano czas, kiedy mówiło się, że morderca wyniósł się do Grenoble. Strach zbyt mocno wżarł się w ludzkie dusze.

Dopiero gdy nazajutrz na placu kościelnym przed starostwem wystawiono dowody rzeczowe - widok iście potworny, dwadzieścia pięć sukni i dwadzieścia pięć pęków włosów, zawieszonych niczym strachy na wróble na drągach, szeregiem, od frontowej strony placu naprzeciw katedry - opinia publiczna uległa zmianie.

Setki ludzi defilowały przed makabryczną galerią. Krewni ofiar, rozpoznając suknie, wybuchali zawodem. Pozostali, po części z żądzy sensacji, po części aby się upewnić, chcieli zobaczyć mordercę. Domagano się tego niebawem tak głośno, a podniecenie na małym, falującym od ludzi placu przybrało rozmiary tak groźne, że prezes sądu nakazał wyprowadzić Grenouille'a z celi i pokazać go z okna pierwszego piętra starostwa.

Kiedy Grenouille stanął w oknie, krzyki ustały. Nagle zaległa cisza tak zupełna, jak w południe upalnego dnia letniego, kiedy wszyscy są w polu albo chronią się w cień domów. Nie słychać było kroków, kaszlnięć, oddechów. Tłum patrzył z otwartymi ustami, minuty płynęły. Nikt nie mógł pojąć, że drobny, mały, przygarbiony człeczyna w oknie, ten żłosny pokurcz, popełnił dwa tuziny morderstw. Po prostu nie wyglądał na mordercę. Wprawdzie nikt nie umiałby powiedzieć, jak sobie wyobrażał to monstrum, ale wszyscy zgadzali się co do jednego: na pewno nie tak! A jednak - choć morderca tak bardzo odbiegał od ludzkich wyobrażeń, a zatem wystawienie go na widok publiczny nie powinno, zdawałoby się, nikogo przekonać, paradoksalnie sama cielesna obecność człowieka w oknie i fakt, że właśnie jego i nikogo innego prezentowano jako mordercę, zadziałała przekonująco. Wszyscy myśleli: to nie może być prawda! - a jednak wiedzieli, że to musi być prawda.

Dopiero kiedy strażę odciągnęły człowieczka, w głąb pokoju, kiedy więc przestał być obecny i widoczny, ale istniał już tylko, i to niedługo, jako wspomnienie - chciałoby się niemal rzec: jako pojęcie w ludzkich mózgach -dopiero wtedy osłupienie ustąpiło miejsca bardziej stosownej reakcji: usta zamknęły się, tysiące oczu znowu się ożywiło. A potem rozległ się jeden grzmiący okrzyk wściekłości i zemsty: „Wydajcie go!” I ludzie szykowali się już do ataku na starostwo, by własnymi rękami udusić mordercę, rozerwać na sztuki, poćwiartować. Straże z największym wysiłkiem zdołały zamknąć bramę i odeprzeć motłoch. Grenouille'a co prędzej odprowadzono do lochu. W oknie ukazał się prezes sądu i przyrzekł przeprowadzić postępowanie szybko i z przykładną surowością. Mimo to upłynęło jeszcze dobre kilka godzin, nim tłum się rozszedł, dobre parę dni, nim do miasta powrócił względny spokój.

W istocie proces Grenouille'a odbył się niesłychanie szybko, ponieważ nie tylko miano w ręku niezbite dowody, ale sam oskarżony w trakcie przesłuchań bez wykrętów przyznał się do zarzucanych mu mordów.

Jedynie na pytanie o motywy nie umiał dać zadowalającej odpowiedzi. Powtarzał tylko, że dziewczęta były mu potrzebne i dlatego je zabijał. Do czego były mu potrzebne i co to w ogóle znaczy „potrzebne” - tu oskarżony milczał. Poddano go torturom, powieszono go na długie godziny głową w dół, wpompowano weń siedem kwart wody, ściskano mu nogi klamrami - bez najmniejszego rezultatu. Ten

człowiek zdawał się niewrażliwy na fizyczne cierpienie, nawet nie pisnął, a na ponowne zapytanie rzekł: „Były mi potrzebne”. Sędziowie uznali go za chorego umysłowo. Przerwali tortury i postanowili bez dalszych przesłuchań doprowadzić postępowanie do końca.

Jedyna zwłoka wynikała na skutek prawniczego sporu z magistratem Draguignan, w którego okręgu leżała La Napoule, oraz z parlamentem w Aix, oba miasta chciały bowiem przywłaszczyć sobie proces. Ale sędziowie z Grasse nie dali sobie wydrzeć tej gratki. Wszak oni ujęli sprawcę, na ich terenie popełniono większość morderstw i im zagrażał gniew ludu, gdyby przekazali mordercę innemu sądowi. Jego krew musiała popłynąć w Grasse.

15 kwietnia 1766 roku zapadł wyrok i został odczytany oskarżonemu w celi: „Czeladnik perfumeryjny Jan Baptysta Grenouille - brzmiała sentencja - ma w ciągu czterdziestu ośmiu godzin być zawieszony na plac przed bramą miejską i tam, twarzą do nieba, przywiązany do drewnianego krzyża, otrzymać dwanaście ciosów żelaznym drągiem, które zmiążdżą mu wiązania ramion, nóg, bioder i barków, po czym pozostanie wystawiony na krzyżu aż nastąpi śmierć”. Katowi zakazano zwyczajowego *coup de grace*, czyli uduszenia delikwenta sznurem po zadaniu mu ciosów, nawet gdyby zapasy ze śmiercią przeciągnęły się do kilku dni. Zwłoki miały być zakopane nocą na placu przed szlachtuzem, bez oznaczenia miejsca pochówku.

Grenouille przyjął wyrok bez drgnienia. Sądowy sługa zapytał go o ostatnie życzenie. „Nic” - odparł Grenouille, ma wszystko, czego mu trzeba.

Do celi przyszedł ksiądz, aby go wyspowiadać, ale już po kwadransie wyszedł, niczego nie wskórawszy. Na wzmiankę o Bogu skazaniec popatrzył na niego wzrokiem wyrażającym taki brak zrozumienia, jak gdyby usłyszał to imię po raz pierwszy, potem wyciągnął się na pryczy i natychmiast w najlepsze zasnął. Szkoda było tracić słów.

W ciągu następnych dwóch dni przychodziło wielu ludzi, aby zobaczyć z bliska osławionego mordercę. Strażnicy pozwalali patrzeć przez klapę w drzwiach celi i żądali sześć soldów od spojrzenia. Miedziorytnik, który chciał sporządzić rycinę, musiał zapłacić dwa franki. Obiekt prezentował się raczej nieciekawie. Więzień, któremu łańcuch krępował ręce i nogi, leżał cały czas na pryczy i spał. Twarz miał odwróconą do ściany i nie reagował na stukanie ani wołania. Wejście do celi było publiczności surowo wzbronione i mimo kuszących propozycji strażnicy nie odważyli się złamać zakazu. Obawiano się, że krewny któregoś z ofiar mógłby przedwcześnie zgładzić więźnia. Z tegoż względu nie wolno mu też było przynosić nic do jedzenia. Pokarmy bowiem mogłyby być zatrute. Przez cały czas uwięzienia Grenouille otrzymywał strawę z czeladnej kuchni pałacu biskupiego, a naczelnik więzienia musiał uprzednio wszystkiego kosztować. Przez ostatnie dwa dni Grenouille nie przyjmował zresztą żadnych

posiłków. Leżał i spał. Od czasu do czasu rozlegał się szcęk łańcuchów, a gdy strażnik podbiegał do klapy w drzwiach, mógł zobaczyć, jak Grenouille pociąga łyk wody z butelki, rzuca się znowu na pryczę i zasypia. Wydawało się, że człowiek ten jest tak znużony życiem, że nie chce przeżyć świadomie i przytomnie nawet swych ostatnich godzin.

Tymczasem przygotowywano miejsce stracenia. Cieśle wznieśli szafot o powierzchni trzy na trzy metry i wysoki na dwa metry, z poręczą i solidnymi schodami tak wspaniałego szafotu w Grasse dotąd jeszcze nie było. Ponadto drewnianą trybunę dla *honoratiores* i płot broniący dostępu pospólstwu, które wołano trzymać w pewnej odległości. Miejsca w oknach domów na lewo i prawo od bramy zostały od dawna wynajęte za astronomiczne sumy. Nawet w nieco z boku położonym Hospicjum Miłosierdzia pomocnik kata wytargował pomieszczenia od chorych i ze znacznym zyskiem odnajał spragnionym widowiska. Przekupnie lemoniady przygotowali na zapas kadzie wody lukrecjowej, miedziorytnik odbił swoją naszkicowaną w więzieniu, a potem z wyobraźni nieco podkoloryzowaną rycinę w setkach egzemplarzy, tuzinami ściągali do miasta uliczni sprzedawcy, piekarze wypiekali pamiątkowe placki.

Kat, *monsieur* Papom który od lat już nie miał okazji łamać kości żadnemu delikwentowi, kazał sobie wykuć ciężki żelazny drąg i udał się z nim do rzeźni, aby poćwiczyć rękę na zwłokach zwierząt. Miał zadać dwanaście ciosów, aby zmiażdżyć niechybnie dwanaście

stawów, a nie uszkodzić przy tym cennych części ciała, jak na przykład pierś albo głowa - niełatwa sztuka, wymagająca ogromnego wyczucia.

Mieszkańcy Grasse szykowali się na to wydarzenie jak na wielkie święto. Było rzeczą oczywistą, że tego dnia nikt nie będzie pracował. Kobiety prasowały odświętne suknie, mężczyźni trzepali surduty i kazali czyścić sobie buty do połysku. Kto miał jakąś szarżę wojskową albo sprawował urząd, kto był mistrzem cechowym, adwokatem, notariuszem, starszym bractwa czy inną znaczącą osobistością, przywdziewał uniform albo strój urzędowy z orderami, wstęgami, łańcuchami i kredowobiałą upudrowaną peruką. Wierzący zamierzali *post festum* spotkać się na nabożeństwie, czciciele szatana na smakowitej czarnej mszy dziękczynnej, oświecona szlachta na magnetycznym seansie w pałacach Cabris, Villeneuve i Fontmichel. W kuchniach pieczono i duszono mięsiwa, z piwnic przynoszono wino, a z targu kwiaty do przybrania pokojów. Organista i chór kościelny odbywali próby.

W domu przy rue Droite panował spokój. Richis wyprosił sobie wszelkie przygotowania do „dnia wyzwolenia”, jak pospólstwo zwało dzień egzekucji. Wszystko napawało go odrazą. Brzydził go nagle wybuchły wśród ludzi strach, brzydziło go ich gorączkowe, radosne oczekiwanie. Brzydzili go sami ludzie, wszyscy razem. Nie asystował przy demonstracji sprawcy i jego ofiar na placu przed katedrą, nie uczestniczył w rozprawie ani w obrzydliwej defiladzie

żądnej sensacji gawiedzi przed całą skazańca. Dla zidentyfikowania włosów i sukni swojej córki sprowadził sąd do siebie do domu, złożył krótkie i zwięzłe zeznanie i poprosił, by zostawiono mu te przedmioty jako relikwie - tak też się stało. Zaniósł je do pokoju Laury, położył pociętą koszulę nocną i staniczek na łóżku, rude włosy rozpostarł na poduszce, usiadł i przez dzień i noc nie opuszczał pokoju, jak gdyby chciał przez to nedorzeczne czuwanie odkupić to, czego zaniedbał owej nocy w La Napoule. Obrzydzenie do świata i do samego siebie przepelniało go tak bardzo, że nie był w stanie zapłakać.

Także morderca budził w nim obrzydzenie. Nie chciał go już oglądać jako człowieka, chciał go zobaczyć dopiero w charakterze prowadzonej na śmierć ofiary. Chciał go zobaczyć dopiero przy egzekucji, kiedy będzie leżał rozpięty na krzyżu i kiedy spadnie na niego dwanaście ciosów - wtedy chce go zobaczyć całkiem z bliska, kazał sobie zarezerwować miejsce w pierwszym rzędzie. A kiedy gawieź już się rozejdzie, po paru godzinach, Richis wejdzie do niego na okrwawione rusztowanie i siądzie przy nim, i będzie przy nim czuwał, w noc i w dzień, aż do końca, i będzie mu patrzył w oczy, będzie patrzył w oczy mordercy swojej córki i sączył w nie całe obrzydzenie, jakie się w nim nagromadziło, niczym żrący kwas będzie wylewał swoje obrzydzenie na ostatnie chwile tego nędznika, aż nędznik sczeźnie...

A potem? Co będzie robił potem? Tego nie wiedział. Może wróci do dawnego trybu życia, może się ożeni, może spłodzi syna, może nie będzie nic robił, może umrze. Było mu to całkowicie obojętne. Zastanawiać się nad tym wydawało mu się czymś równie niedorzecznym jak zastanawiać się, co ma robić po swojej własnej śmierci: oczywiście nic. Nic takiego, o czym mógłby już teraz mieć pojęcie.

Egzekucja wyznaczona była na piątą po południu. Już rano zjawili się pierwsi gapie i zajęli miejsca. Przynieśli ze sobą stołki i składane siedzenia, poduszki, prowiant, wino i swoje dzieci. Gdy około południa poczęli ze wszystkich stron masowo nadciągać okoliczni wieśniacy, plac był już tak zatłoczony, że nowo przybyli musieli rozmieścić się na pnących się po zboczu tarasach ogrodów i pól oraz na gościńcu wiodącym do Grenoble. Przekupnie zbierali niezgorsze żniwo, jedzono, pito, było tłoczno i gwarnie jak na jarmarku. Wkrótce zgromadziło się tu dobre dziesięć tysięcy ludzi, więcej niż na święto Królowej Jaśminu, więcej niż na największe pro-cesje, więcej niż to się kiedykolwiek przedtem w Grasse zdarzyło. Ciżba ludzka sięgała wysoko w górę zboczy. Ludzie wieszali się na drzewach, przysiadali na murach i dachach, tłoczyli się po dziesięciu, po dwunastu w oknach. Tylko na środku placu, za ochronną palisadą, pozostawało jeszcze wolne miejsce - jak po wykrojonej z tortu porcji - gdzie stała trybuna i szafot, który teraz wydawał się całkiem nieduży, jak zabawka albo jak scenka kukielkowego

teatrzyku. Wolne było też przejście wiodące od placu egzekucji przez bramę na rue Droite.

Tuż po trzeciej zjawiał się *monsieur* Papon i jego pomocnicy. Przyjęto ich owacyjnie. Wnieśli na szafot sporządzony z drewnianych belek krzyż świętego Andrzeja i, aby było im wygodnie pracować, podparli go czterema stolarskimi kozłami. Stolarski czeladnik przybił krzyż do kozłów. Każdy ruch katowczyków i stolarza nagradzany był przez tłum oklaskami. Kiedy zaś wystąpił Papon ze swoim żelaznym drągiem, obszedł krzyż dookoła, wymierzył kroki i jął to z tej, to z tamtej strony zadawać wyimaginowane ciosy, tłum nie posiadał się wprost z entuzjazmu.

O czwartej poczęła zapełniać się trybuna. Można było podziwiać liczne znakomitości, bogatych panów z lokajami i dobrymi manierami, piękne damy, wielkie kapelusze, błyszczące toalety. Obecna była cała szlachta z miasta i okolic. Panowie rada przybyli w zwartym szyku, poprzedzani przez obu konsulów. Richis miał na sobie czarny strój, czarne pończochy, czarny kapelusz. Za radą szedł magistrat, pod przewodem prezesa sądu. Na ostatku zjawiał się biskup w otwartej lektyce, w błyszczącym fioletowym ornacie i zielonym nakryciu głowy. Kto dotąd nie zdjął jeszcze czapki, ściągał ją teraz. Zrobiło się uroczyście.

Potem przez jakieś dziesięć minut nie działo się nic. Osobistości zajęły miejsca, pospólstwo zastygło w bezruchu, nikt już nie jadł, wszyscy czekali. Papon i jego pacholki stali na podwyższeniu szafotu jak

przyśrubowani. Nad masywem Esterel wisało wielkie żółte słońce. Z niecki niósł się ciepły wiatr i rozsiewał zapach kwiatu pomarańczy. Było bardzo gorąco i wprost niewiarygodnie cicho.

Wreszcie, kiedy zdawało się, że napięcie nie może trwać już ani sekundy dłużej, bo wybuchnie straszliwą wrzawą, tumultem, bijatyką albo innym masowym incydentem, usłyszano w ciszy odgłos końskich kopyt i trzeszczenie kół.

Po rue Droite sunął zamknięty powóz zaprzężony w dwa konie, powóz namiestnika policji. Minał bramę miejską i ukazał się, teraz widoczny już dla wszystkich, w wąskim przejściu prowadzącym na miejsce stracenia. Namiestnik policji nalegał na taki a nie inny rodzaj transportu, sądząc, że inaczej nie zdoła zagwarantować bezpieczeństwa delikwenta. Nie była to bynajmniej zwykła praktyka. Więzienie znajdowało się ledwo o pięć minut drogi od szafotu i jeśliby skazaniec z jakiegokolwiek powodu nie mógł pokonać tej drogi pieszo, wystarczyłby otwarty wózek ciągnięty przez osiołka. Nie widziano jeszcze, żeby ktoś jechał na własną egzekucję w karecie, z furmanem, sługami w liberii i konną asystą.

Mimo to tłum nie okazał niepokoju ani niechęci, przeciwnie. Ludzie byli zadowoleni, że coś w ogóle się dzieje, uważali, że z karetą to dobry pomysł, podobnie jak w teatrze publiczność przyjmuje z uznaniem zaskakująco nową inscenizację znanej sztuki. Wielu uważało nawet, że ów przepych jest na miejscu. Tak

wyjątkowo ohydному złoczyńcy należało się wyjątkowe traktowanie. Nie można go było zawlec w kajdankach na plac i zatłuc jak pierwszego lepszego rzezimieszka. Nie byłoby w tym nic sensacyjnego. Natomiast przywiezienie go w wyściełanym ekwipażu do stóp krzyża świętego Andrzeja - taka procedura odznaczała się nierównie bardziej wyrafinowanym okrucieństwem.

Kareta zatrzymała się między szafotem a trybuną. Lokaje zeskoczyli, otworzyli drzwiczki i opuścili składany schodek. Wsiadł namiestnik policji, za nim oficer straży, a na koniec Grenouille. Miał na sobie błękitny surdut, białą koszulę, białe jedwabne pończochy i czarne trzewiki ze sprzączkami. Nie miał kajdan. Nikt go nie prowadził. Wsiadł z karety jak człowiek wolny.

I wtedy stał się cud. Czy też coś w rodzaju cudu. Mianowicie coś tak niepojętego, niesłychanego i niewiarygodnego, że wszyscy świadkowie *ex post* określiliby to jako cud, gdyby kiedykolwiek w ogóle szepnęli choć słówko na ten temat, co nie miało wszelako miejsca, gdyż później wszyscy wstydzili się, że w ogóle wzięli w tym udział.

Zdarzyło się mianowicie, że dziesięć tysięcy ludzi na placu i okolicznych wzgórzach powzięło w jednej chwili niewzruszoną pewność, iż nieduży mężczyzna w błękitnym surducie, który właśnie wysiadł z karety, nie może być mordercą. Nie, iżby powątpiewali o jego tożsamości! Nie, stał przed nimi ten sam człowiek,

którego parę dni przedtem oglądali w oknie starostwa na placu przed kościołem i którego, gdyby tylko mogli go wtedy dostać w swoje ręce, zlinczowaliby z dziką nienawiścią. Ten sam człowiek, który dwa dni wcześniej został prawomocnie skazany. Ten sam, którego egzekucji jeszcze przed chwilą chciwie wyczekiwali. Ten sam człowiek, ponad wszelką wątpliwość!

A jednocześnie to nie był on, to nie mógł być on, to nie mógł być morderca. Człowiek, który stał na szafocie, był wcieleniem niewinności. W jednej chwili uświadomili sobie to wszyscy, od biskupa po sprzedawcę lemoniady, od markizy po małą praczkę, od prezesa sądu po ulicznika.

Uświadomił sobie to także Papon. I jego ręce, ściskające drąg, zadrżały. Naraz poczuł, jak słabną mu krzepkie ramiona, miękną kolana, serce wypełnia dziecinna trwoga. Nie podniesie drąga, nigdy w życiu nie będzie miał siły, aby zamachnąć się tym drągiem na niewinnego człowieka, ach, z przerażeniem oczekiwał chwili, gdy skazańca wprowadzą na szafot, chwiał się, musiał się wesprzeć na swoim morderczym narzędziu, aby ze słabości nie osunąć się na kolana - Papom kawał chłopa!

Nie inaczej było z dziesięcioma tysiącami zgromadzonych dookoła mężczyzn, kobiet, dzieci i starców: czuli słabość niczym młode dziewczyny, ulegające czarowi kochanka. Owładnęła nimi przemożna tkliwość, czułość, szaleńcze, dziecinne zadurzenie, ba - miłość do mordercy, i nie mogli, nie

chcieli nic na to poradzić. Było to jak płacz, od którego człowiek nie może się powstrzymać, jak długo tłumiony płacz, który wydobywa się aż z brzucha i rozsadza wszelkie zapory, wszystko w sobie rozpuszcza i unosi. Ludzie rozpłynęli się, ich umysły i serca roztopiły się w tej powodzi, przeistoczyli się w amorficzny ciekły żywioł, i czuli już tylko, jak gdzieś w głębi niepowstrzymanie tłuką im się serca, i składali te serca, każdy swoje, w ręce małego człeczyny w błękitnym surducie: kochali go.

Grenouille stał już od kilku minut w otwartych drzwiczkach karety i nie ruszał się. Lokaj obok niego osunął się na klęczki i osuwał się dalej, aż do owej całkowicie poddańczej postawy, jaką przybiera się zwyczajowo na Wschodzie przed sułtanem i przed Allachem. I nawet w tej postawie dalej trząsał się i dygotał i chciał osunąć się jeszcze niżej, rozpląszczyć się na ziemi, zapaść się pod ziemię. Chciał zapaść się na drugi koniec świata z czystego oddania. Dowódca straży i namiestnik policji, twardzi mężczyźni, których zadaniem było teraz wprowadzenie skazańca na szafot i wydanie karu, nie mogli zdobyć się na żadne skoordynowane działanie. Z płaczem zdjęli kapelusze, nałożyli je znowu, rzucili je na ziemię, padli sobie wzajem w ramiona, rozpletli uścisk, jęli bez sensu wymachiwać rękoma w powietrzu, załamywali dłonie, dygotali i wykrzywiali twarze jak w ataku padaczki.

Znajdujący się nieco dalej *honoratiores* dawali upust swym uczuciom nie mniej otwarcie. Ulegli głosowi

serca. Damy na widok Grenouille'a wciskały sobie ręce głęboko między nogi i wzdychały z rozkoszy; inne, w pożądliwej tęsknocie do cudownego młodzieńca - takim bowiem wydawał im się Grenouille - padały bez zmysłów. Mężczyźni zrywali się z miejsc i siadali z powrotem,

i znowu się zrywali, sapiąc potężnie i zwierając dłonie na rękojeściach sztyletów, jak gdyby chcieli je wyciągnąć, a gdy już ich dobywali, wsuwali je znowu do pochew, z chrzęstem i trzaskiem; inni niemo wznosili oczy ku niebu i splatali kurczowo ręce w geście modlitwy; *monsignore*, biskup, wychylił tułów ku przodowi, jak gdyby zrobiło mu się niedobrze i walnął czołem o kolana, aż spadł mu z głowy zielony biret - a wszak bynajmniej nie było mu niedobrze, tylko po raz pierwszy w życiu pograżył się w religijnym zachwyceniu, gdyż oto na oczach wszystkich dokonał się cud. Bóg we własnej osobie wstrzymał ramię kata, objawiając, że ten, którego miano za mordercę, jest aniołem - och, że też coś podobnego mogło się jeszcze zdarzyć w osiemnastym wieku! Jakże potężny jest Bóg! I jakże mały jest on sam, który swego czasu rzucił tę klątwę, bez przekonania zresztą, a tylko dla uspokojenia ludu! Co za zuchwalstwo, co za małowierność! I oto Pan uczynił cud! Jakaż wspaniała lekcja pokory, jakież słodkie poniżenie, jakiej łaski doznaje biskup w ten sposób skarcony przez Boga.

Tymczasem pospólstwo za barierką poddawało się coraz bezwstydniej osobliwemu upojeniu, w jakie

wprawił je widok Grenouille'a. Kto z początku czuł tylko litość i wzruszenie, teraz wypełniony był nagażą, kto zrazu tylko podziwiał i pożądał, teraz rozpływał się w ekstazie. Wszyscy uważali mężczyznę w błękitnym surducie za najpiękniejszą, najpowabniejszą i najdoskonalszą istotę, jaką tylko można sobie wyobrazić: dla zakonnic był Zbawicielem we własnej osobie, dla czcicieli szatana - promiennym Władcą Ciemności, dla oświeconych Najwyższą Istotą, dla młodych dziewcząt - królewiczem z bajki, dla mężczyzn - idealnym wizerunkiem ich samych. I wszyscy czuli, że ów człowiek w błękitnym surducie rozpoznał i poruszył w nich najbardziej wrażliwe struny, ugodził w ich erotyczne centrum. Jak gdyby człowiek ów miał dziesięć tysięcy niewidzialnych rąk i jak gdyby każdemu z dziesięciu tysięcy ludzi, którzy go otaczali, położył rękę na organach płciowych i pieścił dokładnie tak, jak każdy, mężczyzna czy kobieta, w najskrytszych fantazjach najgoręcej tego pragnął.

W rezultacie planowana egzekucja jednego z najohydniejszych zbrodniarzy swojej epoki przerodziła się w największą orgię, jaką świat widział od czasów drugiego stulecia przed Chrystusem: obyczajne kobiety szarpały na sobie suknie, wśród histerycznych okrzyków obnażały piersi, z zadartymi spódnicami rzucały się na ziemię. Mężczyźni z obłąkanym wzrokiem brnęli przez pole lubieżnie rozkraczonych ciał, drżącymi palcami dobywali ze spodni członki zeszywniałe jak *gdyby* od niewyczuwalnego mrozu,

padali z jękiem byle gdzie, kopulowali w najbardziej niemożliwych pozycjach i kombinacjach, starzec z dziewicą, wyrobnik z małżonką adwokata, terminator z mniszka, jezuita z wolnomyślicielką, jak popadło. Powietrze stało się ciężkie od słodkawych oparów rozkoszy, wokół rozbrzmiewały krzyki, jęki i sapania dziesięciu tysięcy ludzkich bestii. Rozpętało się piekło. Grenouille stał i uśmiechał się. Czy też raczej ludziom, którzy na niego patrzyli, wydawało się, że się uśmiecha najbardziej niewinnym, tkliwym, czarującym i zarazem uwodzicielskim uśmiechem świata. Ale w rzeczywistości jego wargi nie uśmiechały się wcale, tylko składały w ohydny, cyniczny grymas, wyrażający cały bezmiar jego triumfu i pogardy. On, Jan Baptysta Grenouille, urodzony bez zapachu w najbardziej cuchnącym miejscu pod słońcem, płód odpadków, łajna i rozkładu, wyrosły bez miłości, żyjący bez ciepła ludzkiej duszy jedynie przez upór i siłę odrazy, niski, garbaty, kulawy, brzydki, unikany przez wszystkich, potwór od wewnątrz i na zewnątrz - on, Jan Baptysta Grenouille dopiął swego: zjednał sobie przychylność świata. Co tam przychylność! Kochano go! Uwielbiano! Ubóstwiano! Dokonał prometejskiego czynu. Ową boską iskrę, to, co inni dostają za darmo w kolebce, a czego jemu jednemu odmówiono umiał dzięki nieskończonemu wyrafinowaniu sam sobie zdobyć. Mało tego! Własnymi rękami wszczepił sobie tę iskrę. Dokonał czegoś więcej niż Prometeusz. Stworzył sobie aureę, promieniującą i oddziaływującą silniej niż u

wszystkich innych ludzi. I nie zawdzięczał jej nikomu - ani ojcu, ani matce, a już na pewno nie łasce jakiegoś Boga - tylko samemu sobie. Zaiste był swoim własnym Bogiem, i to Bogiem potężniejszym niż tamten cuchnący kadzidłem Bóg, który mieszkał w kościołach. Oto prawdziwy biskup padł przed nim na kolana i popiskiwał z rozkoszy. Bogaci i możni tego świata, wyniośli panowie i panie umierali z uwielbienia, a lud dookoła, w tym także ojcowie, matki, bracia i siostry jego ofiar, na jego cześć i w jego imię świętowali orgię. Jedno jego skinienie, a odstąpią swego Boga i będą oddawali cześć jemu, Grenouille'owi.

Tak, był Wielkim Janem Baptistą Grenouille! Ujrzał to teraz cały świat. Jak kiedyś w natchnionych samouwielbieniem fantazjach, był teraz Wielkim Grenouille'em w rzeczywistości. Przeżywał największy triumf swego życia. I zdjęła go zgroza.

Zdjęła go zgroza, gdyż ani przez chwilę nic z tego nie miał. W momencie, gdy wysiadł z karety na zalany słońcem plac, uperfumowany pachnidłem, które zjednuje ludzkie serca, nad którym pracował dwa lata, pachnidłem, które przez całe życie pragnął posiadać..., w momencie, gdy wzrokiem i węchem przekonał się, jak nieodparcie pachnidło to działa i jak niosąc się wokół z szybkością wiatru zniewala ludzi - w tym momencie znowu wzięło w nim górę obrzydzenie do ludzi i zatręło chwilę triumfu tak gruntownie, że nie tylko nie czuł najmniejszej radości, ale nawet cienia satysfakcji. To, czego zawsze łaknął - by mianowicie ludzie go

kochali w chwili sukcesu stało się dlań nieznośne, albowiem on sam nie kochał ludzi, tylko ich nienawidził. I nagle pojął, że nigdy nie zazna zaspokożenia w miłości, lecz tylko w nienawiści, nienawidząc i będąc nienawidzonym.

Ale nienawiść, jaką czuł do ludzi, nie znajdowała w nich oddźwięku. Im bardziej ich nienawidził, tym bardziej go ubóstwiali, ponieważ postrzegali tylko jego przybraną aurę, jego zapachową maskę, zrabowane pachnidło, pachnidło to zaś w istocie zasługiwało na uwielbienie.

Najchętniej zgładziłby ich wszystkich z powierzchni ziemi, zgładziłby tych ogłupiałych, cuchnących, podnieconych erotycznie ludzi dokładnie tak samo, jak kiedyś w czarnej krainie swojej duszy tępił obce zapachy. I pragnął, aby zauważyli, jak bardzo ich nienawidzi, i aby odwzajemnili to jedyne uczucie, którego naprawdę w życiu doznawał, i aby go zgładzili, jak pierwotnie planowali. Chciał r a z w życiu odsłonić swoje wnętrze. Chciał raz w życiu być jak inni ludzie i uzewnętrznic swoje wnętrze: jak oni uzewnętrzniali swoją miłość i swoje głupkowate uwielbienie, tak on chciał uzewnętrznic swoją nienawiść. Chciał, by raz, jeden jedyny raz, rozpoznano jego prawdziwe jestestwo, i chciał, by ktoś odpowiedział mu na jedyne uczucie, jakie naprawdę żywił - nienawiść.

Ale nic z tego nie wyszło. Nic z tego nie mogło wyjść. A już na pewno nie dzisiaj. Ponieważ był zamaskowany najlepszym pachnidłem świata, a pod tą maską nie miał żadnego oblicza, tylko swoją totalną bezwonność. Nagle

zrobiło mu się słabo, gdyż poczuł, że znowu podnoszą się mgły.

Jak wtedy w jaskini, w marzeniach we śnie w komnacie serca w swojej wyobraźni, poczęły wzbijać się mgły, potworne mgły jego własnego zapachu, którego nie mógł poczuć, ponieważ był bezwonny. I jak wtedy ogarnął go bezmierny lęk i trwoga, i myślał, że się udusi. Ale, inaczej niż wtedy, nie działo się to w marzeniach ani we śnie, lecz w rzeczywistości. I inaczej niż wtedy nie leżał teraz sam w jaskini, tylko stał na placu w obliczu dziesięciu tysięcy ludzi. I inaczej niż wtedy nie mógł mu teraz pomóc krzyk, który by go zbudził i wyzwolił, i nie mogła mu pomóc ucieczka z powrotem w dobry, ciepły, bezpieczny świat. Gdyż to był właśnie świat, tu i teraz był świat, i tu i teraz w świecie urzeczywistnił się jego sen. I on sam był tego chciał.

Nad bagniskiem jego duszy nadal wzbijały się potworne, duszące mgły, podczas gdy dookoła lud jęczał w orgiastycznym i orgastycznym uniesieniu. Biegł ku niemu jakiś mężczyzna, zerwał się z pierwszego rzędu trybuny tak gwałtownie, że z głowy spadł mu czarny kapelusz, a teraz mknął z powiewającymi połami czarnego surduta przez plac niczym czarny kruk albo anioł zemsty. Był to Richis.

Zabije mnie, pomyślał Grenouille. On jeden nie da się zwieść moją maską. On nie może dać się zwieść. Mam na sobie zapach jego córki, zdradziecki jak krew. Musi mnie rozpoznać i zabić. Musi.

I rozpostarł szeroko ramiona na powitanie nadciągającego anioła. Już zdawało mu się, że pierś przeszywa mu łechtliwe ukłucie sztyletu albo miecza, że klinga przenika pancerz zapachu, przebija duszącą mgłę i dosięga jego chłodnego serca - nareszcie, nareszcie poczuje w sercu coś innego niż on sam! Czuł się już niemal wybawiony.

Lecz w chwilę potem Richis legł na jego piersi - nie anioł zemsty, ale wstrząśnięty, żałośnie rozszlochany Richis, który tulił go w uścisku, po prostu wczepiał się w niego, jak gdyby znalazłszy nareszcie oparcie pośród morza błogości. Grenouille nie poczuł wyzwającego pchnięcia sztyletem ani ciosu w serce, nie usłyszał przekleństwa ani choćby okrzyku nienawiści. Zamiast tego poczuł na swoim policzku mokry od łez policzek Richisa i usłyszał rozedrgany szept: „Przebacz mi, mój synu, mój drogi synu, przebacz mi!”

Nagle oczy Grenouille'a powlokły się od wewnątrz bielmem, a zewnętrzny świat stał się czarny jak sadza. Kłęby mgły zbiły się we wzburzoną kipieli, jak wrzące, pieniste mleko. Zalały go, przygniotły nieznośnym ciężarem do wewnętrznych ścian jego ciała, nie znajdując ujścia. Chciał uciec, na miłość Boską uciec, ale dokąd...? Chciał wybuchnąć, eksplodować, aby się nie zadławić samym sobą. Wreszcie osunął się na ziemię i stracił przytomność.

Gdy przyszedł do siebie, leżał w łóżku Laury Richis. Relikwie, suknie i włosy, uprzątnięto. Na nocnym stoliku paliła się świeca. Przez przymknięte okno słyszał

z oddali radosną wrzawę świętującego miasta. Na stołku przy łóżku siedział Antoni Richis i czuwał. Trzymał rękę Grenouille'a i gładził ją.

Grenouille, nim otworzył oczy, wpierw zbadał atmosferę. Wewnątrz był spokój. Nic się nie burzyło i nie przygniatało go. W jego duszy panowała znowu zwyczajna chłodna noc, czego potrzebował, aby ostudzić i rozjaśnić świadomość oraz zwrócić ją na zewnątrz: tam zaś wyniuchał swoje pachnidło. Zmieniło się. Aromat wiodący nieco osłabł i tym wspanialej wybijał się motyw Laury, jak łagodny, ciemny, skrzący się płomień. Grenouille poczuł się bezpieczny. Wiedział, że jeszcze przez wiele godzin jest nietykalny, i otworzył oczy.

Spoczywał na nim wzrok Richisa. Malowała się w tym wzroku cała bezmierna troska, czułość, wzruszenie i bezdenne tępota zakochania.

Richis uśmiechnął się, mocniej ścisnął dłoń Grenouille'a i rzekł:

- Wszystko będzie dobrze. Magistrat skasował wyrok. Świadkowie wycofali zeznania. Jesteś wolny. Możesz robić, co chcesz. Ale ja chcę, abyś został ze mną. Straciłem córkę, chcę mieć w tobie syna. Jesteś do niej podobny. Jesteś piękny jak ona, twoje włosy, twoje usta, twoje ręce... Przez cały czas trzymałem cię za rękę, masz takie same ręce jak ona. A kiedy patrzę w twoje oczy, to tak, jakby ona na mnie patrzyła. Jesteś jej bratem i chcę, abyś został moim synem, moim przyjacielem, moją dumą, moim dziedzicem. Czy twoi rodzice jeszcze żyją?

Grenouille zaprzeczył ruchem głowy i twarz Richisa pokraśniała ze szczęścia.

- A więc zostaniesz moim synem? - wybełkotał i zerwał się ze stołka, aby usiąść na skraju łóżka i schwycić także drugą rękę Grenouille'a. - Zostaniesz moim synem? Chcesz mieć we mnie ojca? Nic nie mów! Nie odzywaj się! Jesteś jeszcze zbyt słaby, żeby mówić. Skiń tylko głową!

Grenouille skinął głową. Teraz Richis ze szczęścia zrobił się cały purpurowy, pochylił się nad Grenouille'em i ucałował go w usta.

- Śpij teraz, mój drogi synu! - powiedział, wyprostowawszy się znowu. - Będę przy tobie czuwał, aż zaśniesz. - I popatrzysz nań przez dłuższą chwilę z niemym uniesieniem, dorzucił: - Dajesz mi tyle, tyle szczęścia!

Grenouille rozciągnął nieco kąciki ust, jak to podpatrzył u ludzi, którzy się uśmiechają. Potem zamknął oczy. Odczekał chwilę, oddychając równomiernie i głęboko, jak śpiący. Czuł na twarzy rozkochany wzrok Richisa. Raz poczuł też, jak Richis pochyła się, by go pocałować, i zaraz cofa się w obawie, by go nie zbudzić. Wreszcie świeca została zdmuchnięta, a Richis na palcach opuścił pokój.

Grenouille leżał póki w domu i w mieście nie zapanowała absolutna cisza. Gdy potem wstał, zaczynało już świtać. Ubrał się i cicho wymknął się na korytarz, cicho ześliznął się po schodach na dół i przez salon wyszedł na taras.

Stąd można było wybiec spojrzeniem poza mury miejskie, zobaczyć całą nieckę Grasse, a przy pogodnym niebie nawet wybrzeże morskie. Teraz nad polami unosiła się rzadka mgła, czy raczej opar, i napływające stamtąd zapachy trawy, janowca i róż były jak gdyby przemyte, czyste, przyjemnie proste. Grenouille przeszedł ogród, wspiął się na mur i zeskoczył na zewnątrz.

Na placu musiał się jeszcze przebić przez zaporę gęstych ludzkich wyziewów, nim wydostał się na świeże powietrze. Cały plac i zbocza przypominały kolosalny obóz wojskowy w stanie rozkładu. Wokół leżeli tysiącami odurzeni, wyczerpani ekscesami nocnego święta ludzie, niektórzy nago, inni na wpół obnażeni, a na wpół okryci sukniami, pod które wczołgali się jak pod kołdrę. Cuchnęło kwaśnym winem, wódką, potem i uryną, dziecinnymi odchodami i zwęglonym mięsem. Tu i tam żarzyły się jeszcze ogniska, przy których niedawno jedzono, pito i tańczono. Tu i tam spomiędzy tysięcznych odgłosów chrapania dobywał się jeszcze bełkot albo śmiech. Może też ten czy ów jeszcze nie spał i winem głuszył resztki świadomości. Ale nikt nie dostrzegł Grenouille'a, który stąpał między rozrzuconymi ciałami, ostrożnie i zarazem szybko, jak przez mokradła. A kto go widział, nie poznawał go. Grenouille już nie pachniał. Cud się skończył.

Dotarłszy na kraniec placu Grenouille nie poszedł w kierunku Grenoble ani Cabris, tylko ruszył polami na przełaj ku zachodowi, nie oglądając się ani razu za

siebie. Gdy wzeszło słońce, tłuste, żółte i kłujące żarem, był już daleko.

Obywatele Grasse obudzili się ze straszliwym kacem. Nawet ci, którzy poprzedniego dnia nie pili, mieli głowy ciężkie jak z ołowiu oraz ohydłą zgagę w żołądku i w duszy. Na placu, w jasnych promieniach słońca, poczciwi wieśniacy szukali części garderoby, które zrzucili z siebie w orgiastycznym uniesieniu, przyzwoite kobiety szukały swoich mężów i dzieci, zupełnie obcy sobie ludzie z przerażeniem wyplątywali się z najczulszych uścisków, znajomi, sąsiedzi, małżonkowie oglądali się wzajemnie w sromotnej publicznej nagości. Dla wielu przeżycie to było tak okropne, tak kompletnie niewytłumaczalne i tak niezgodne z ich zwykłymi odczuciami moralnymi, że dosłownie w tym samym momencie pogrzebali je w niepamięci i wskutek tego także później naprawdę nie mogli sobie niczego przypomnieć. Inni, nie panujący tak suwerennie nad własnym aparatem postrzegania, próbowali ominąć je wzrokiem, słuchem i myślami - co nie było takie proste, gdyż hańba była zbyt jawna i zbyt powszechna. Kto odnalazł swoje manatki i rodzinę, wynosił się możliwie szybko i niepostrzeżenie. Około południa plac był jak wymieciony.

W mieście, jeżeli ktoś w ogóle odważył się opuścić dom, to dopiero wieczorem, aby załatwić najpilniejsze interesy. Przy spotkaniach pozdrawiano się przelotnie, mówiono tylko o najbliższych sprawach. O wydarzeniach minionej doby nie padło ani słowo. Im

swobodniej i rezolutniej poczynano sobie wczoraj, tym większy teraz odczuwano wstyd. I taką postawę przyjęli wszyscy, bo też i wszyscy zawinili. Wśród mieszkańców Grasse nigdy nie panowała taka zgoda i jednomyślność, jak w tym czasie. Żyło się jak w miękkiej wacie.

Niektórzy jednak, z racji swych urzędowych funkcji, musieli zająć się tym, co się wydarzyło, bardziej bezpośrednio. Ciągłość życia publicznego, nienaruszalność prawa i porządku domagały się szybkich posunięć. Już po południu zebrała się rada miejska. Panowie, wśród nich także drugi konsul, uścisnęli się bez słów, jak gdyby chcąc tym spiskowym gestem na nowo ukonstytuować gremium. Potem postanowiono *una anima* i nie wspominając ni słowem o całym zajściu ani nie wymieniając nawet imienia Grenouille'a, „bezzwłocznie rozebrać trybun i szafot, a plac oraz przyległe zdeptane pola przywrócić do stanu poprzedniej schludności”. Wyasygnowano na ten cel sto sześćdziesiąt liwrów.

W tym samym czasie w budynku starostwa obradował sąd. Magistrat postanowił bez dyskusji uznać „sprawę G.” za załatwioną, akta zamknąć i bez wpisania do rejestru zarchiwizować oraz otworzyć nowe postępowanie przeciwko nieznanemu dotychczas mordercy dwudziestu pięciu dziewczic z Grasse i okolicy. Namiestnik policji otrzymał *rozkaz*, natychmiastowego wszczęcia poszukiwań.

Już następnego dnia poszukiwania te zostały uwieńczone sukcesem. Na podstawie jednoznacznych

poszlak aresztowano Dominika Druota, mistrza perfumeryjnego z rue de la Louve; w końcu to w jego szopie znaleziono poprzednio ubrania i włosy wszystkich ofiar. Sędziowie nie dali się zwieść jego początkowym zaprzeczeniom. Po czternastogodzinnych torturach Druot przyznał się do wszystkiego i poprosił nawet o możliwie szybką egzekucję, którą też łaskawie wyznaczono mu już na następny dzień. Został powieszony o świcie, bez większych ceremonii, bez szafotu i trybun, w obecności zaledwie kata, kilku członków magistratu, lekarza i księdza. Gdy tylko zgon nastąpił, został stwierdzony i zaprotokołowany, zwłoki polecono bezzwłocznie usunąć. Na tym sprawa została zakończona.

Miasto zapomniało o niej, i to tak gruntownie, że podróżni, którzy zajeżdżali do Grasse w ciągu następnych dni i przygodnie wypytywali o osławionego dziewicobójcę, nie znaleźli ani jednego rozsądnego człowieka, który byłby w stanie udzielić im informacji. Tylko paru przygłupów z Hospicjum Miłosierdzia, notorycznych wariatów, bełkotało coś o wielkiej uroczystości na placu, z którego to powodu kazano im opuścić pokoje.

Niebawem życie unormowało się zupełnie. Ludzie pracowali pilnie, spali spokojnie, dbali o swoje interesy i czuli się w zupełnym porządku. Jak od wieków z licznych źródełek i fontann sączyła się woda i roznosiła po ulicach błoto. Miasto wznosiło się na zboczu ponad żyzną niecką, jak zawsze brudne i dumne. Słońce

przygrzewało mocno. Wkrótce nadszedł maj. Zaczęto zbierać róże.

CZĘŚĆ CZWARTA

51

Grenouille szedł nocą. Podobnie jak na początku swej podróży omijał z dala miasta, unikał gościńców, o brzasku dnia kładł się spać, wieczorem wstawał i szedł dalej. Jadł to, co mu po drodze wpadło w ręce: źdźbła trawy, grzyby, kwiaty, zdechłe ptaki, dżdżownice. Przemierzył Prowansję, na południe od Orange skradzioną łodzią przepłynął przez Rodan, ruszył z biegiem Ardeche w głąb Sewennów, a potem wzdłuż Allier na północ.

W Owernii wypadło mu przechodzić niedaleko Plomb du Cantal. Widział na zachodzie sylwetę góry, potężną i srebrzystoszarą w świetle księżyca, wdychał zapach wiejącego stamtąd chłodnego wiatru. Ale nie korciło go, by skrócić w tę stronę. Nie tęsknił wcale do życia w jaskini. To doświadczenie należało już do przeszłości i okazało się nie do przeżycia. Podobnie jak inne doświadczenia, mianowicie doświadczenie życia między ludźmi. Tu i tam można się było udusić. Grenouille w ogóle nie chciał już żyć. Chciał iść do Paryża i umrzeć. Tego właśnie chciał.

Od czasu do czasu sięgał do kieszeni i zaciskał rękę na małym szklanym flakoniku z pachnidłem. Flaszeczka była jeszcze prawie pełna. Na występ w Grasse zużył ledwo kropelkę. Reszta wystarczyłaby na oczarowanie

całego świata. Gdyby tylko zechciał, mógłby w Paryżu rzucić na kolana nie dziesięć, ale sto tysięcy; albo przespacerować się do Wersalu, gdzie król ucałowałby jego stopy; wysłać uperfumowany liścik do papieża i objawić się jako nowy Mesjasz; w przytomności królów i cesarzy w Notre-Dame nałożyć sobie sakrę nad-cesarza albo i Boga na ziemi - jeżeli Bogu w ogóle potrzebna jest sakra...

Gdyby tylko zechciał, mógł to wszystko zrobić. Posiadał po temu środki. Dzierżył je w ręku. Miał w swych rękach moc większą niż moc pieniądza, moc strachu czy moc śmierci: niezwyciężoną moc wzbudzania ludzkiej miłości. Ta moc zawodziła tylko w jednym punkcie: nie pozwalała mu poczuć samego siebie. I gdyby nawet za sprawą swego pachnidła objawił się światu jako Bóg to jeżeli nie mógł poczuć sam siebie, a przeto nigdy nie wiedział, kim jest, gwizdał na wszystko, gwizdał na świat, na samego siebie, na swoje pachnidło.

Ręka, którą ścisnął flakonik, pachniała delikatnie i kiedy podtykał ją sobie pod nos i wciągał powietrze, czuł przyływ melancholii, i na parę sekund zatrzymywał się w marszu, przystawał i wahał. Nikt nie wie, jak wspaniałe jest naprawdę to pachnidło, myślał. Nikt nie wie, jak świetnie jest zrobione. Wszyscy ulegają tylko jego działaniu, ba - nie wiedzą nawet, że ulegają mocy i urokowi pachnidła. Ja jeden naprawdę znam całe jego piękno, bo ja sam je zrobiłem. I zarazem mnie jednego nie może to pachnidło oczarować. Dla mnie jednego to pachnidło nie ma żadnego sensu.

A innym razem, już w Burgundii, myślał: kiedy stałem przy murze, w pobliżu ogrodu, gdzie bawiła się dziewczyna o rudych włosach, i jej zapach wionął ku mnie..., czy raczej obietnica jej zapachu, bo jej późniejszy zapach jeszcze wcale nie istniał - może to, co wtedy czułem, podobne było do tego, co czuli ludzie na placu, kiedy poraziłem ich swym pachnidłem...? Ale po chwili odrzucił tę myśl: nie, to nie było to samo. Bo ja wiedziałem, że pożądam zapachu, a nie dziewczyny. A ludzie myśleli, że pożądam m n i e, to zaś, czego naprawdę pożąдали, pozostało dla nich tajemnicą. Potem nie myślał już nic, ponieważ myślenie nie było jego najsilniejszą stroną, a zresztą był już niedaleko Orleanu.

Przeprawił się przez Loarę pod Sully. Następnego dnia schwycił w nozdrza zapach Paryża. 25 czerwca 1767 roku wkroczył do miasta przez rue Saint-Jacques, o szóstej nad ranem.

Był to gorący dzień, najgorętszy do tej pory dzień roku. Tysięczne odory i zapachy sączyły się jak z tysiąca nabrzmiąłych wrzodów. Nie było cienia wiatru. Warzywa na straganach zwiędły jeszcze przed południem. Mięso i ryby psuły się. W zaułkach wisiało zatrute powietrze. Zdawało się, że nawet rzeka nie płynie, tylko stoi w miejscu i cuchnie. Było tak jak w dzień narodzin Grenouille'a.

Przeszedł przez Pont Neuf na prawy brzeg i skierował się dalej w stronę Hal i Cmentarza Niewiniątek. Pod arkadami kostnic ciągnących się wzdłuż rue aux Fers

przysiadł. Teren cmentarzyska leżał przed nim jak zryte pociskami pole bitwy, pobrużdżone, usiane wyrwami, pokryte czaszkami i kośćmi, bez jednego drzewka, krzewu czy źdźbła trawy wysypisko śmierci.

Nie widać było żywego ducha: Fetor zwłok był tak mocny, że wynieśli się stąd nawet grabarze. Wrócili dopiero po zachodzie słońca, aby przy świetle pochodni do późna w noc kopać doły dla zmarłych z następnego dnia.

Dopiero po północy - grabarze już sobie poszli - miejsce zaroilo się od wszelkiej możliwej hołoty, rzezimieszków, morderców, nożowników, kurw, deztererów, młodocianych *desperados*. Rozpalono małe ognisko, żeby ugotować strawę i trochę odegnać smród.

Kiedy Grenouille wyszedł spod arkad i wmieszał się między ludzi, zrazu wcale go nie zauważono. Zdołał przez nikogo nie nagabywany zbliżyć się do ogniska, jak gdyby był jednym z nich. Utwierdziło ich to później w przekonaniu, że musiał być duchem, aniołem albo inną nadprzyrodzoną istotą. Zazwyczaj bowiem byli mocno uczuleni na zbliżanie się obcych.

Ale ten nieduży mężczyzna w błękitnym surducie nagle po prostu tam był, jakby wyrósł spod ziemi, z małą flaszeczką w ręku, którą odkorkował. To była pierwsza rzecz, jaką sobie mogli przypomnieć: że ktoś stał i odkorkowywał flaszeczkę. A potem spryskał się zawartością flaszeczki, jeszcze i jeszcze raz, i nagle objawił się w łunie promiennej piękności.

Na moment cofnęli się ze zgrozą i zdumieniem. Ale *w tym* samym momencie wiedzieli już, że cofają się tylko jak gdyby dla nabrania rozpędu, że zgroza przeradza się w pożądanie, zdumienie w ekstazę. Czuli, że coś ciągnie ich do tej anielskiej postaci. Szła od niego jakaś siła ssąca, potężna jak wielki przypyływ, któremu nikt nie mógł się oprzeć, tym bardziej że nikt nie chciał się opierać, gdyż fala podmyła ich wolę i porwała ze sobą: ku niemu.

Dwadzieścia, trzydzieści osób otoczyło go kołem, i koło zacieśniało się coraz bardziej. Wkrótce nie mieścili się już wszyscy w kręgu, poczęli się tłoczyć, rozpychać, napierać, każdy chciał znaleźć się jak najbliżej centrum.

A potem w jednej chwili przysły wszelkie hamulce, krąg pękł. Runęli ku aniołowi, rzucili się na niego, powalili na ziemię. Każdy chciał go dotknąć, każdy chciał uszczknąć chociaż kawałek, piórko, skrzydełko, jedną iskrę bijącego odeń ognia. Zdarli z niego ubranie, wydarli włosy z głowy, odarli ciało ze skóry, szarpali go, wbijali paznokcie i zęby w ciało, opadli go jak hieny. Ale ludzkie ciało jest łykowate i nie da się tak łatwo rozszarpać, nawet konie z trudem dają mu radę. Wkrótce też błysnęły sztylety i kłudy i darły mięśnie, a siekiery oraz tasaki świstały nad stawami i z trzaskiem rąbały kości. Po sekundzie anioł poszatowany został na trzydzieści kawałków, każdy z członków bandy chwycił po jednym, z lubieżną oskomą wycofał się na stronę i pożerał. W pół godziny później Jan Baptysta Grenouille zniknął z powierzchni ziemi co do okruszyny.

Gdy po spożytym posiłku kanibale zebrali się znowu wokół ogniska, żaden nie odezwał się ani słowem. Ten czy ów czknał, wypluł jakąś kosteczkę, mlasnął z wolna językiem, nogą wepchnął jakiś strzępek błękitnego surduta w płomienie: wszyscy byli odrobinę speszeni i unikali wzajemnie swoich spojrzeń. Wszyscy w tym gronie, zarówno mężczyźni jak kobiety, mieli już na swoim koncie morderstwo albo inną podłą zbrodnię. Ale pożreć człowieka? Do czegoś tak potwornego - myśleli nie byliby nigdy zdolni. I dziwili się, że poszło im to tak gładko, i że przy całym zakłopotaniu nie mają ani trochę wyrzutów sumienia. Przeciwnie! Aczkolwiek odczuwali pewien ciężar w żołądkach, na sercach było im całkiem lekko. W ich posępnych duszach zagościła naraz błogość. A na ich twarzach lśnił dziewczęcy, delikatny blask szczęścia. Może dlatego lękali się podnieść wzrok i spojrzeć sobie wzajem w oczy. Gdy się wreszcie odważyli, zrazu ukradkiem, potem całkiem jawnie, nie mogli powstrzymać się od uśmiechu. Byli niezwykle dumni. Po raz pierwszy zrobili coś z miłości.